

Czterdzieści osiem godzin

MacLean Alistair



calibre 0.8.24

CZTERDZIEŚCI OSIEM GODZIN

Przełożył Mieczysław Derbień

Data wydania oryginalnego: 1966

PONIEDZIAŁEK: OD WIECZORA DO TRZECIEJ NAD RANEM WE WTOREK

Już od ponad stu lat produkuje się colty bez zmian w konstrukcji, a te, które sprzedaje się obecnie, są bliźniaczo podobne do egzemplarza noszonego niegdyś przez Wyatta Earpa w Dodge City. Colt jest najstarszym i z pewnością najbardziej znanym rewolwerem na świecie, a jeśli za kryterium oceniania przyjmiemy skuteczność w okaleczaniu i zabijaniu, to jest to prawdopodobnie najlepszy kiedykolwiek wyprodukowany przyrząd tego rodzaju. Nie jest rzeczą błahą - to prawda - zostać trafionym przez bardziej docenianych konkurentów peacemakera jak luger czy mauser, ale ich pociski - o dużej prędkości początkowej, małym kalibrze i ze stalowym płaszczem - po prostu przechodzą przez ciało, pozostawiając po sobie małą, okrągłą dziurkę i wyładowują większą część swojej energii gdzieś w odległym terenie. Natomiast pozbawiona stalowego płaszcza wielka ołowiana kula wystrzelona z lufy colta zniekształca się w momencie uderzenia w cel, rozrywa straszliwie mięśnie i tkanki i roztrzaskując kości wyładowuje właśnie na nich całą swoją siłę.

Jednym słowem, jeśli dostaniesz kulą peacemakera - na przykład w nogę - nie klniesz uskakując za węgiel domu, aby jedną ręką skręcić sobie papierosa, a drugą trafić przeciwnika bezbłędnie między oczy. Jeśli kula peacemakera zrani twoją nogę, popadasz w głębokie omdlenie, a jeśli uderzy w twoje udo i będziesz miał dosyć szczęścia, aby przetrwać szok i poszarpanie tętnic, to nigdy nie będziesz już chodził bez szcudeł, ponieważ chirurg po całkowitym zdruzgotaniu kości udowej nie ma innej możliwości, jak odciąć nogę.

Tak, więc stałem zupełnie nieruchomo, wstrzymując oddech, ponieważ peacemaker, którego widok wywołał te nieprzyjemne refleksje, był skierowany dokładnie w moje prawe udo.

Jeszcze jedno o peacemakerze: uruchomienie jego półautomatycznego mechanizmu wymaga bardzo mocnego, a jednocześnie pełnego wyczucia nacisku na spust, może być on zatem szalenie niecelny, jeśli nie trzyma go silna i pewna dłoń. W tym przypadku nie mogłem mieć na to nadziei. Ręka trzymająca rewolwer, lekko i zdecydowanie oparta o stolik radiooperatora, była najbardziej pewną ręką, jaką widziałem w życiu. Była dosłownie nieruchoma. Widziałem ją wyraźnie, mimo że światło w kabinie radiowej było przyćmione, a klosz lampy kierował je na metalowy, podrapany blat stołu i mimo że snop żółtego światła przecinał przedramię na wysokości mankietu koszuli. Dłoń, którą widziałem, wydawała się być dłonią marmurowego posągu. Poza kręgiem światła na wpół wyczuwałem, na wpół widziałem sylwetkę człowieka siedzącego w półmroku, opartego o ścianę, z głową lekko przechyloną w jedną stronę, z nieruchomymi oczami połyskującymi pod daszkiem czapki. Znowu skierowałem wzrok na nieruchomą dłoń. Kąt ustawienia colta nie zmienił się nawet o ułamek stopnia. Niemal podświadomie napiąłem mięśnie prawego uda, czekając na uderzenie. Był to rzeczywiście bardzo dobry środek obrony. Prawie tak skuteczny jak zasłonięcie się gazetą. Dlaczego, do diabła, pułkownik Samuel Colt nie zajął się wynalezieniem innych pożytecznych rzeczy, na przykład agrafek?

Bardzo powoli, bardzo spokojnie uniosłem obie ręce na wysokość barków, mając dłonie zwrócone do przodu. Być może mój przeciwnik to człowiek nerwowy, nie chciałem, więc, by pomyślał, że mam zamiar mu się przeciwstawić. Było to jednak zupełnie zbędne, gdyż osobnik trzymający rewolwer sprawiał wrażenie posągu pozbawionego nerwów. Nie powstało mi zresztą w

głowie, aby stawiać opór; stałem w prześwicie otwartych drzwi i sylwetka moja wyraźnie rysowała się na tle bladoczerwonej poświaty, jaką pozostawiło zachodzące słońce na północno-zachodniej stronie horyzontu. Przeciwnik trzymał lewą dłoń na oporniku lampy, którą gotów był mnie w każdej chwili oślepić. Poza tym to nie ja, lecz on trzymał w dłoni colta. Płacono mi za ponoszenie ryzyka, nawet za narażanie się na niebezpieczeństwo, ale nie za to, by grać rolę skończonego idioty o samobójczych skłonnościach. Podniosłem ręce jeszcze parę centymetrów wyżej. Starłem się nadać własnej twarzy wyraz możliwie najbardziej pokojowy i dobrotliwy, co zresztą nie było zbyt trudne w tym stanie ducha.

Człowiek z coltem pozostawał wciąż nieruchomy. Widziałem błysk jego białych zębów. Błyszczące oczy spoglądały na mnie bez zmrużenia powiek. Ten uśmiech, ta przechylona na jedną stronę głowa, ta lekceważąca poza... Emanowała z tej ciasnej kabiny groza tak intensywna, że aż prawie namacalna. Nieruchomość, cisza i zimnokrwista obojętność człowieka z coltem miały w sobie coś złowieszczonego, przeraźliwie nienaturalnego i złego. Czułem śmierć wyciągającą swój lodowaty palec w tej małej kabinie. Pomimo dwóch pradziadków Szkotów w moim rodowodzie nie mam - niestety! - ich daru jasnowidzenia, a na różne bodźce pozazmysłowe reaguję jak bryła ołowiu. A jednak teraz wyraźnie czułem w powietrzu śmierć.

- Wydaje mi się, że się mylimy. Zarówno pan, jak i ja - powiedziałem. - Pan w każdym razie. Być może jesteśmy po tej samej stronie.

Słowa z trudem przeciskały mi się przez gardło, a wysuszone usta i język nie sprzyjały jasności wysławiania się. Mimo to wydawało mi się, że mój głos zabrzmiał przekonująco. Mówiłem cicho, spokojnie i kojąco. Być może mój przeciwnik był tylko szaleńcem. Udobruchać go. Zrobić cokolwiek. Byle tylko pozostać przy życiu. Wskazałem głową taboret stojący przy rogu stołu.

- Miałem ciężki dzień. Czy możemy posiedzieć i porozmawiać? Będę trzymać ramiona w górze, obiecuję!

Reakcja: zupełne zero. Białe zęby i oczy, spokojna nonszalancja i ten żelazny colt w żelaznej dłoni. Czułem, że moje pięści zaciskają się; otwarłem je szybko, ale nie mogłem stłumić fali gniewu, którą poczułem po raz pierwszy. Zmuszając się do przyjaznego i zachęcającego uśmiechu zbliżyłem się do taboretu nie spuszczać wzroku z przeciwnika. Sztuczny uśmiech powodował ból policzków. Ręce trzymałem jeszcze wyżej niż przedtem. Peacemaker zabija wołu z odległości pięćdziesięciu metrów. Co pozostanie ze mnie? Starłem się myśleć o czymś innym. Na próżno. Mam niestety tylko dwie nogi i do obu jestem bardzo przywiązany.

Były jeszcze ciągle całe, gdy dotarłem do taboretu, usiadłem na nim z rękami wysoko w górze i znowu zacząłem oddychać. Od dłuższej już chwili, bowiem w ogóle nie oddychałem, nie zdając sobie z tego sprawy, bo moje myśli były zajęte wyłącznie kulami, upływem krwi i innymi tego rodzaju przyjemnościami silnie oddziałującymi na wyobraźnię.

Colt pozostał nieruchomy. Lufa nie posuwała się za mną, podczas gdy poruszałem się po kabinie, lecz wciąż celowała w to miejsce, w którym stałem dziesięć sekund wcześniej... Skoczyłem w kierunku grożącej mi dłoni, ale nie zrobiłem tego błyskawicznie. Nie musiałem. Byłem prawie pewien, że nie muszę działać szybko. Swój wiek - który mi zawsze przypomina mój szef, zlecając

różne najbardziej niebezpieczne misje - osiągnąłem dzięki temu, że nigdy nie narażałem się bez potrzeby. Odżywiałem się doskonale, jestem bardzo wysportowany, a jeśli żadne towarzystwo asekuracyjne nie kwapi się, żeby mnie ubezpieczyć na życie, to - muszę przyznać - nie z powodu stanu mego zdrowia. Nie udało mi się jednak wyrwać colta. Dłoń była w dotyku jak marmur, tyle że zimniejsza. Miałem rację. Tu była śmierć. Ale kostucha pojawiła się tu już przede mną, dokonała swego dzieła i ulotniła się, pozostawiając trupa. Wstałem, sprawdziłem, czy firanki są zasłonięte, bezszelestnie zamknąłem drzwi, cicho przesunąłem zasuwę i zapaliłem lampę na suficie.

W niemal każdej powieści kryminalnej nie ma wątpliwości co do dokładnej godziny śmierci ofiary znalezionej w starej angielskiej willi. Po pobieżnym zbadaniu i mnóstwie pseudo-medycznych czarów szanowny doktor puszcza przegub nieboszczyka i mówi: „Śmierć nastąpiła ubiegłej nocy o godzinie jedenastej pięćdziesiąt siedem”, czy coś w tym rodzaju, a następnie z pogardliwym i pobłażliwym zarazem uśmiechem, przyznającym, że jest członkiem omylnej rasy ludzkiej, dodaje: „Minutę lub dwie w tę czy tamtą”. W rzeczywistości nawet dobry lekarz - poza stronicami powieści detektywistycznej - ma dużo więcej trudności. Waga, budowa denata, temperatura w pomieszczeniu i przyczyna śmierci w znacznym i często trudnym do przewidzenia stopniu wpływają na ostygnięcie ciała. Jednym słowem - chwila śmierci może być tylko określona w przybliżeniu, z dokładnością do kilku godzin.

Nie jestem lekarzem, a tym bardziej dobrym lekarzem, mogłem więc tylko stwierdzić, że człowiek zza stołu zginął wystarczająco dawno, by wystąpiło pośmiertne stężenie mięśni, lecz nie na tyle dawno, by się cofnęło. Był sztywny jak człowiek, który zamarł podczas syberyjskiej zimy. Śmierć musiała nastąpić wiele godzin temu. Ile - nie wiem.

Miał cztery złote paski na mankietach. A więc był kapitanem statku. Ale... kapitan w kabine radiotelegrafisty? To się nie zdarza zbyt często, a już na pewno kapitanowie nie urzędują za stołem manipulacyjnym. Ten siedział na krześle. Tył jego głowy spoczywał na kurtce zawieszanej na haku wbitym w ścianę grodzi. Policzek miał oparty o ścianę. Trupia sztywność utrzymywała go w tej pozycji. Ale przecież przed zeszywnieniem ciało powinno było osunąć się na podłogę lub spocząć tułowiem na stoliku.

Nie zauważyłem śladów gwałtu, ale przypuszczenie, że kapitan umarł z przyczyn naturalnych dokładnie w tej samej chwili, w której próbował bronić się przy pomocy colta, wydało mi się zbyt naciągane. Postanowiłem więc zbadać sprawę z bliska. Próbowałem podnieść ciało. Bez rezultatu. Zrobiłem to jeszcze raz, silniej. Usłyszałem szelest drącego się materiału. Trup niespodziewanie uniósł się do góry i opadł na lewą stronę stołu kierując colta - niczym oskarżający palec - w sufit.

Teraz już wiedziałem, w jaki sposób umarł i dlaczego dotąd nie opadł. Kapitan został zabity przy pomocy jakiegoś narzędzia tkwiącego jeszcze w jego kręgosłupie - gdzieś między szóstym i siódmym kręgiem. Nie miałem pewności, ale chyba rękojeść narzędzia zaczepiła się na grodzi utrzymując w ten sposób ciało w siedzącej pozycji.

Mój zawód sprawiał, że często stykałem się z martwymi ludźmi, których śmierć bynajmniej nie była naturalna. Nigdy jednak nie widziałem człowieka zabitego za pomocą dłuta. Zwykłego dłuta do drewna o ostrzu szerokości trzynastu milimetrów, tyle że na drewniany trzonek naciągnięto gumowy uchwyt od roweru, na którym nie zostają odciski palców. Ostrze zagłębiło się na głębokość, co

najmniej dziesięciu centymetrów. Morderca musiał być siłaczem, nawet, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że dłuto miało ostrość brzytwy. Próbowałem je wyrwać z rany. Nie udało mi się. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Przebite kości lub chrząstki często klinują ostrze, gdy chce się je wyciągnąć. Nie powtórzyłem próby. Byłem pewien, że chciał to już przede mną zrobić morderca. Ostatecznie takiej pożytecznej zabawki nie zostawia się w ranie. Być może ktoś mu w tym przeszkodził? A może miał tak wielki zapas dęt z drewnianymi rękojeściami, że mógł sobie pozwolić na pozostawianie ich od czasu do czasu w plecach swoich ofiar?

A zresztą niepotrzebne było mi to narzędzie. Miałem swoje własne. Nie dłuto, lecz nóż. Wyciągnąłem go z plastikowej pochwy wszytej w podszewkę mojej kurtki. Na pierwszy rzut oka nie robił najlepszego wrażenia. Rękojeść miała zaledwie dziesięć centymetrów długości, obosieczne ostrze - siedem. Ale był ostry jak lancet i przecinał pięciocentymetrową linię okrętową z taką łatwością, jakby to był cienki sznurek. Spojrzałem na nóż, a następnie skierowałem wzrok na drzwi znajdujące się za stołem. Prowadziły one do kabiny mieszkalnej radiotelegrafisty. Wyciągnąłem z kieszeni na piersiach miniaturową latarkę elektryczną w kształcie wiecznego pióra, zgasilem światło pod sufitem i lampę na stole - i czekałem.

Jak długo? Nie wiem. Może dwie minuty, może pięć. Na co czekałem? Również nie wiem. Powiedziałem sobie, że muszę przyzwyczaić oczy do ciemności, ale wiedziałem, że to nieprawda. Być może czekałem na jakiś hałas, najlżejszy szepc, niespodziewany odgłos... Może czekałem na kogoś, coś, co miało się zdarzyć, albo... Może po prostu bałem się otworzyć te drzwi. Czyżby ogarnął mnie strach o siebie? Możliwe. A może tylko bałem się tego, co znajdę za tymi drzwiami? Przełożyłem nóż do lewej dłoni - nie jestem mańkutom, ale niektóre czynności wykonuję równie dobrze lewą jak i prawą ręką - i uchwyciłem klamkę wewnętrznych drzwi.

Zajął mi dwadzieścia sekund, aby odchylić je na tyle, żeby się móc przez nie prześliznąć. Przy ostatnim centymetrze te przeklęte zawiasy zaskrzypiały. Był to tak delikatny dźwięk, że normalnie nie usłyszałbym go z odległości dwóch metrów, ale w tym stanie napięcia nerwowego, w jakim się znajdowałem, dźwięk ten wydawał mi się głośniejszy niż huk sześciocalowego pocisku wystrzelonego tuż nad moją głową. Zamieniłem się w słup soli, nieruchomy nie mniej niż trup kapitana. Moje serce biło coraz szybciej, jak młot, a ja marzyłem, żeby wreszcie było cicho!

Jeśli po drugiej stronie drzwi czekał ktoś zdecydowany na oślepienie mnie latarką, po to by następnie strzelić do mnie, wbić mi nóż lub pomysłowo pokrajać na części za pomocą dłuta, to wcale nie było mi spieszo. Przez chwilę poddawałem więc swoje płuca działaniu tlenu, potem cicho stąpając wsunąłem się przez uchylone drzwi, stale trzymając latarkę w wyciągniętej dłoni. Jeśli ktoś strzela do osoby trzymającej latarkę czy lampę, to zwykle celuje w miejsce tuż przy źródle światła, gdyż ludzie niedoświadczeni zazwyczaj trzymają je przed sobą. Moje ramię było wyciągnięte w bok. Nauczyłem się tego sposobu już dawno, od pewnego kolegi, któremu wyjęto kulę z płata lewego płuca, ponieważ zapomniał, jak należy trzymać latarkę. W lewej dłoni miałem nóż; była gotowa do ciosu. Wolałem, żeby mój przeciwnik, jeśli jeszcze znajdował się w kabinie, zareagował wolniej niż ja. Włączyłem światło.

I rzeczywiście oczekiwał tam ktoś na mnie. Nie musiałem się jednak obawiać jego reakcji. Już teraz nie. Leżał twarzą w dół na koi. Ułożenie świadczyło o tym, że jest martwy. Szybko zlustrowałem całą kabinę. Był w niej tylko trup. Nie zauważyłem najmniejszego śladu walki.

Zupełnie tak samo jak w kabinie radiowej...

Nie musiałem go nawet dotykać, żeby stwierdzić przyczynę śmierci. Cięcie o szerokości jednego centymetra w jego kręgosłupie sprawiło, że na pościel wyciekło nie więcej niż kilka kropel krwi. Nie można się było spodziewać więcej, gdyż po przecięciu mlecza pacierzowego serce nie bije tak długo, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. Mogło wprawdzie wystąpić jakieś krwawienie wewnętrzne, ale też niewielkie.

Firanka była zasunięta. Zbadałem podłogę, wszelkie zakamarki, umeblowanie. Co chciałem znaleźć? Nie wiem. Co znalazłem? Nic. Wyszedłem, zamknąłem drzwi i obejrzałem tak samo dokładnie kabinę radiotelegrafisty. Bez rezultatu. Nie miałem tu nic więcej do roboty. Znalazłem wszystko, co chciałem znaleźć, i to wszystko, czego nigdy bym znaleźć nie chciał. Nie spojrzałem po raz drugi na twarze obu zabitych. Dlaczego? Siedem dni wcześniej jedliśmy razem obiad. Był z nami szef. Siedzieliśmy w naszej ulubionej londyńskiej piwiarni. Byli weseli, odprężeni, beztroscy, zupełnie jakby nie pracowali w naszej branży. Odstąpili na chwilę od swojej zawodowej czujności, zawodowego spokoju, aby w ciągu kilku godzin radować się dobrymi stronami życia, którymi - niestety - już nigdy nie będą się cieszyć. Po obiedzie opuścili nas, już spokojni i czujni jak zwykle. A jednak drobny błąd sprawił, że nigdy więcej nie będą razem z nami. Przytrafiło im się to, czego prawie nie można uniknąć w tym zawodzie i czego prawdopodobnie nie uniknę i ja, gdy wybije moja godzina, gdy przyjdzie kolej również na mnie.

Nawet człowiek najbardziej zręczny, silny i bezwzględny - wcześniej czy później - spotyka się z przeciwnikiem bardziej zręcznym, silnym i bezwzględnym. Ten drugi mógłby na przykład trzymać w ręku długo o trzynastomilimetrowym ostrzu i wtedy wszystkie lata zbieranych doświadczeń, wiedza i przebiegłość przestałyby się liczyć. Człowiek ten przyniósłby śmierć tak szybko, że nie starczyłoby czasu na spojrzenie mu w oczy.

Sam zresztą wysłałem tych dwóch na śmierć. Naturalnie nieświadomie, ale odpowiedzialność spadała na mnie. Przecież to był mój i tylko mój pomysł. Rozwiałem wszelkie obiekcje, przewyciężyłem wątpliwości i sceptycyzm szefa, który wreszcie, acz niechętnie, wyraził zgodę na moją propozycję. Powiedziałem tym dwóm - Bakerowi i Delmontowi - że jeśli zastosują się do moich wskazówek, nic im nie grozi. Ufali mi ślepo i zrobili, co chciałem, a teraz leżą przy mnie martwi. Następnym razem będę wiedział, co powiedzieć: „Nie wahajcie się, panowie, zaufajcie mi, ale pamiętajcie, żeby przedtem sporządzić testament. „Wysłałem dwóch mężczyzn na śmierć i nie można było tego cofnąć. Musiałem opuścić to miejsce.

Otwierałem drzwi w taki sposób, w jaki ktoś inny otwierałby wejście do piwnicy pełnej kobr i jadowitych węży. Ktoś inny... Ja jednak, gdybym miał tej nocy do czynienia tylko z kobrai i pajakami, wszedłbym bez wahania, gdyż stworzenia te wydawały mi się miłe i bezbronne w porównaniu z przedstawicielami gatunku „homo sapiens”, znajdującymi się w tej chwili na pokładzie frachtowca „Nantesville”. Otworzyłem, więc szeroko drzwi i zatrzymałem się na progu. Stałem nieruchomo, oddychając równo i płytko, a gdy się tak stoi, każda minuta wydaje się półwieczem. Stałem i po prostu słuchałem. Byłem wyczulony na najcichszy dźwięk. Słyszałem uderzenia fal o kadłub statku, od czasu do czasu delikatne metaliczne dudnienie, gdy „Nantesville” walczył z wiatrem i falą naprężając liny cumownicze, to znów cichy jęk wznagającego się nocnego wiatru w olinowaniu, a raz - daleko - głos kulika - bezpieczne dźwięki, dźwięki nocy i przyrody. Nie na to

czekałem. Stopniowo wszystkie te odgłosy wtopiły się w ciszę. Nie słyszałem tego, co niosłoby z sobą niebezpieczeństwo: ani oddechów, ani kroków na żelaznym pokładzie, ani też szelestu odzieży. Nic takiego. Gdyby ktoś tu na mnie czatował, musiałby mieć cierpliwość i wytrzymałość nadludzką. Nie obawiałem się nadludzi. Tylko zwykłych ludzi z nożami, rewolwerami i dłutami. Cichutko przekroczyłem próg sztormowy. Nigdy jeszcze nie płynąłem nocą łodzią po Orinoko i nigdy jeszcze dziesięciometrowa anakonda nie spadła na mnie z szybkością błyskawicy z gałęzi wysokiego drzewa, aby opleść mnie miażdżącym uściskiem, ale nie muszę już tam jechać, aby opisać takie przeżycie, gdyż teraz dokładnie wiem, co się wtedy czuje. Zwierzęca siła, prymitywna dzikość olbrzymich rąk, które chwyciły mnie z tyłu za szyję, były czymś przerażającym, nieznanym dotąd i niewyobrażalnym. Przeżyłem chwilę paralizującej paniki, błysnęła mi myśl: nie można uniknąć czegoś, co jest nie do uniknięcia; przyszła moja kolej, spotkałem wreszcie tego bardziej zręcznego, silniejszego i bezwzględniejszego niż ja.

Zareagowałem jednak. Kopnąłem w tył prawą nogą z całych sił, ale mój przeciwnik znał wszystkie sztuczki - jego noga była szybsza i silniejsza; uderzyła w tył mojej. Wydawało mi się, że mam do czynienia nie z człowiekiem, ale z centaurem, którego kopyta podkuto olbrzymimi podkowami. Nie miałem wrażenia, że mi złamał nogę, raczej, że ją przeciął w połowie. Wyczułem za sobą lewą stopę mego przeciwnika i usiłowałem nadepnąć na nią z całą siłą, jaka mi jeszcze pozostała. Kiedy jednak moja noga uderzyła o pokład, jego stopy już tam nie było. Miałem na sobie cienkie gumowe buty płetwonurka, więc straszliwy ból od uderzenia w stalowe płyty pokładu przeszył mnie od stóp do głów. Podniosłem ręce, by spróbować złamać małe palce dusiciela, ale centaur znał i tę sztuczkę. Jego dłonie były zaciśnięte w jakby żelazną kulę, a kostki palców miażdżyły mi tętnice szyjne. Nie byłem z pewnością jego pierwszą ofiarą, ale wiedziałem, że jeśli szybko czegoś nie zrobię, będę ostatnią. Słyszałem niemal syk wyciskanego z moich płuc powietrza, a przed oczyma migotały mi linie i błyski, których kolor zmieniał się, co chwilę.

W tych pierwszych sekundach uratował mnie kombinezon płetwonurka. Nosilem go pod kurtką i jego gruby kołnierz z gumowego płótna ochronił mój kark. Dłonie przeciwnika wykonały już pół roboty. Czułem, że zaraz ją zakończą.

Pochyliłem się gwałtownie w przód. W ten sposób wziąłem na barki połowę wagi mego przeciwnika, nie zmusiłem go jednak do rozluźnienia duszącego uścisku. Zareagował instynktownie - cofnął nogi myśląc, że chcę go chwycić za kończynę. Pozbawiło go to na moment równowagi. Obróciłem się po krótkim łuku tak, że nasze plecy skierowały się w stronę morza i wykorzystałem ten moment. Z całych sił rzuciłem się w tył. Krok jeden, drugi, trzeci. „Nantesville” nie mógł się poszczycić luksusowymi relingami z tekowego drewna, a tylko łańcuchami o drobnych ogniwach. Grzbiet mego dusiciela, pod naszymi połączonymi ciężarami, uderzył o górny łańcuch umieszczony na burcie statku.

Gdybym to ja był na miejscu mego przeciwnika, miałbym zmiażdżony kręgosłup albo przynajmniej tyle wybitych dysków, że zapewniłoby to chirurgom zatrudnienie na wiele miesięcy. Tymczasem nie usłyszałem krzyku, nawet westchnienia. Być może był to jeden z tych bardzo silnych głuchoniemych; ich tężyzna fizyczna to jakby rekompensata dana im przez naturę za kalectwo.

Musiał mnie jednak puścić, aby uchwycić się za górny łańcuch, w przeciwnym, bowiem razie wpadłby razem ze mną do zimnych i czarnych wód Loch Houron. Wykorzystałem ten moment,

odskoczyłem i obróciłem się do niego twarzą, opierając się o ścianę kabiny radiotelegrafisty. Potrzebna mi była ta grodzień, dawała mi oparcie, podczas gdy moja rozkołysana głowa wracała do porządku, a moja straszliwie zdrętwiała noga do życia.

Widziałem go teraz, gdy podnosił się z relingu. Widziałem, a raczej rozróżniałem jego sylwetkę, białą plamę twarzy i rąk na tle nocnych ciemności. Spodziewałem się olbrzyma. Nic podobnego, chyba, że moje oczy mnie zawodziły, co było całkiem prawdopodobne; miałem przed sobą krępego, bardzo dobrze zbudowanego człowieka, i to wszystko. Był niższy ode mnie. Nie miało to zresztą decydującego znaczenia.

Słynny George Hackenschmidt miał wszystkiego sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu i ważył osiemdziesiąt siedem kilogramów, kiedy rzucał w powietrze jak piłkę Straszego Turka i tańczył wokół ringu z workiem cementu, który ważył trzysta pięćdziesiąt kilogramów, tylko po to, aby utrzymać się w formie. Nigdy nie robiłem sobie żadnych wyrzutów, ani nie czułem fałszywego wstydu z powodu ucieczki przed człowiekiem niższym od siebie, a w tym wypadku im szybciej i dalej, tym lepiej. Jednak nie teraz. Moja noga jeszcze nie była w pełni sprawna. Wyciągnąłem prawą rękę przed siebie chowając w dłoni nóż, tak by tamten nie zauważył błysku stali w słabym świetle gwiazd.

Zbliżał się do mnie, spokojny i zdecydowany jak osobnik pewien swego i absolutnie przeświadczony o sukcesie. Bóg świadkiem, nie wątpiłem, że miał powody by być pewnym siebie. Zbliżał się do mnie jak bokser, aby uniknąć ciosu nogą. Prawe ramię miał wyciągnięte do przodu. Facet myślał ciągle o jednym - znowu sięgał w kierunku mojej szyi. Wyczekałem do momentu, gdy jego palce znalazły się o kilka centymetrów od mojej twarzy i gwałtownie uderzyłem od dołu. Ostrze przebiło środek dłoni.

Dopiero teraz przekonałem się, że nie jest głuchoniemy. Wyrzucił z siebie trzy krótkie słowa nienadające się do druku, które niesłusznie oczerniały moich przodków, odskoczył do tyłu, potarł obie strony ręki o ubranie i oblizwał dłoń ruchem przypominającym zwierzę. Spojrzał na wypływającą krew, czarną jak atrament w świetle gwiazd.

- A... więc, mój chłopyś ma scyzoryk - powiedział.

Jego głos mnie zaszokował. Spodziewałem się, że tej sile jaskiniowca będzie towarzyszyć także inteligencja i odpowiadający jej głos. Tymczasem słowa zostały wypowiedziane w sposób ciepły i kulturalny, z akcentem, który przywodził na myśl najlepsze sfery towarzyskie południowej Anglii.

- Musimy mu odebrać nożyk, prawda? - kontynuował tym samym tonem, by później już głośniejszym zawołać: - Kapitanie Imrie! - A w każdym razie coś brzmiącego jak to nazwisko.

- Zamilcz, idioto! - odpowiedział wściekły głos dochodzący z tyłu. - Chcesz, żeby...

- Niech pan będzie spokojny, kapitanie. - Nie spuszczał ze mnie oczu. - Mam go. Jest przy kabine radiowej. Ma nóż. Zaraz mu go odbiorę.

- Masz go? Naprawdę go masz? Doskonale.

Mówił jak człowiek zacierający z zadowoleniem ręce. Sądząc po akcencie musiał to być Austriak lub Niemiec.

- Uważaj! - ciągnął. - Tego chcę mieć żywcem. Jacques! Henry! Kramer! Szybko! Na pomost! Do kabiny!

- Żywcem - powiedział miłym głosem człowiek stojący przede mną - to znaczy niezupełnie martwego. - Possał znowu krew na dłoni. - Jeżeli odda mi pan grzecznie nóż, to coś panu proponuję...

Dłużej nie słuchałem. Była to stara sztuczka. Znałem ten sposób. Mówi się do przeciwnika, on słucha grzecznie i wydaje mu się, że jest przynajmniej chwilowo bezpieczny, a wtedy strzela mu się w brzuch. Nie jest to zbyt uczciwe, ale za to skuteczne. W jaki sposób zaatakuję? Prawdopodobnie rzuci się na mnie całym ciałem, z pochyloną głową, albo wyrzuconymi do przodu nogami. Przewróci mnie, a ja nie podniosę się już z pokładu, w każdym razie nie o własnych siłach.

Zrobiłem krok naprzód i smagnałem go światłem latarki po oczach. Widziałem, jak zamknął powieki, i wykorzystałem ten ułamek sekundy, aby go kopnąć w miejsce, które łatwo odgadnąć.

Nie był to cios tak silny, jak powinien, gdyż moja prawa noga bolała mnie tak, jakby była złamana, nie mogłem też z powodu ciemności dokładnie wycelować... Było to jednak uderzenie dość skuteczne, zwłaszcza w tych warunkach, i normalny człowiek wiłby się po pokładzie skowycząc z bólu, ale nie on. Ten stał, wprawdzie złamany wpół, trzymając ręce na dolnej części brzucha i niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, ale stał. A więc jednak był nadczłowiekiem. No, dobra. Widziałem błyski w jego oczach, ale nie zależało mi tak bardzo na odgadnięciu ich znaczenia...

Odszedłem. Przypomniałem sobie oglądanego kiedyś w ogrodzie zoologicznym w Bazylei olbrzymiego goryla, który dla zabawy skręcał w ósemki wielkie opony samochodów ciężarowych. Jego towarzystwo byłoby dla mnie teraz dużo miłsze od towarzystwa mego dusiciela, gdy powróci do siebie. Pokuśtykałem za róg kabiny radiowej, wspiąłem się po tratwie ratunkowej i położyłem płasko na pokładzie.

U stóp trapu prowadzącego na pomost pojawili się tymczasem ludzie. Niektórzy z nich mieli w rękach silne latarki. Aby uciec, musiałem dostać się na rufę. Posłużyłem się liną zakończoną hakiem obciążonym gumą. Musiałem zaczekać, aż środkowy pokład opustoszeje. W chwilę później odcięto mi odwrót. Ponieważ ukrywanie się już nie miało sensu, ktoś włączył oświetlenie urządzeń przeładunkowych i jaskrawe, oslepiające światło zalało śródkręcie i pokład dziobowy. Wysoko nade mną i nieco przede mną płonęła lampa łukowa umieszczona na przymasztowym żurawiu. Czuję się jak mucha na białym suficie. Rozpłaszczyłem się na pokładzie, jakbym chciał się w niego wcisnąć. Imrie i spółka byli już przy kabinie radiotelegrafisty. Ich krzyki i przekleństwa świadczyły o tym, że odnaleźli rannego, którego milczenie świadczyło, że wciąż jeszcze nie był w stanie mówić. Usłyszałem warkliwy, autorytatywny głos o niemieckim akcencie:

- Gdaczecie jak stado kur. Cisza! Jacques, czy masz pistolet maszynowy?

- Tak, kapitanie.

Jacques odpowiedział tonem, który w innych okolicznościach wydałby się mi uspokajający, ale w tej chwili nie bardzo mi odpowiadał.

- Na rufę! Stań przed wejściem do mesy, twarzą do dziobu i kryj śródokręcie. My pójdziemy na pokład dziobowy, a potem ruszymy tyralierą ku rufie i napędzimy go na ciebie. Jeśli się nie podda, strzelaj w nogi. Chcę go mieć żywego!

Cholera, to było jeszcze gorsze od colta! Peacemaker wystrzeliwał na raz tylko jedną kulę, podczas gdy pistolet maszynowy Jacques'a wypuszczał serię dwunastu co najmniej pocisków. Czuję, jak sztywnieją mi znowu mięśnie prawego uda, to już stawało się u mnie prawie naturalnym odruchem.

- A jeśli skoczy za burtę, kapitanie?

- Czy muszę ci wszystko mówić, Jacques?

- Nie, kapitanie.

Wiedziałem tyle, co Jacques. Mnie też nie musiał mówić. Znowu poczułem przykry smak w ustach i gardle. Miałem zaledwie minutę na to, aby odpowiednio zareagować, zanim będzie za późno. Przesunąłem się cichutko w stronę prawej ściany kabiny radiotelegrafisty, dość odległej od miejsca, w którym kapitan Imrie wydawał krótkie rozkazy swoim ludziom, opuściłem się bezszelestnie na pokład i skierowałem do sterówki.

Nie musiałem używać latarki, gdyż odblask światła lampy łukowej wystarczał mi zupełnie. Skuliłem się pod poziomem okna i od razu znalazłem to, czego szukałem - skrzynkę rakiet alarmowych. Dwoma szybkimi ruchami przeciąłem liny przymocowujące skrzynkę do pokładu. Jeden około trzymetrowy odcinek liny zostawiłem przywiązany do uchwyty skrzynki.

Następnie wyjąłem z kieszeni plastikowy worek, zdjąłem kurtkę i gumowe spodnie jachtowe, które przedtem włożyłem na kombinezon płetwonurka i wszystko to wpakowałem do worka, który przywiązałem do pasa. Spodnie i kurtka były bardzo ważne. Nie mogłem przecież wędrować po pokładach „Nantesville” w kombinezonie do nurkowania bez zwrócenia na siebie uwagi, podczas gdy zwykły strój marynarski sugerował - przynajmniej z pewnej odległości i w ciemnościach nocy - że jestem członkiem załogi. Poza tym opuściłem port w Torbay przed zapadnięciem nocy i gdyby mieszkańcy zobaczyli płetwonurka w gumowym pontonie odbijającego od brzegu o tej porze, nie powstrzymaliby się od komentarzy. Ciekawość mieszkańców mniejszych portów Gór Szkockich nie jest wcale mniejsza od ciekawości ich braci z głębi lądu.

Posuwając się nisko skulony wyszedłem przed drzwi sterówki na prawe skrzydło mostka, gdzie wreszcie się wyprostowałem. Musiałem zaryzykować - teraz lub nigdy - gdyż załoga już rozpoczęła przeczesywanie statku. Powoli spuściłem za burtę skrzynkę uwiązaną na linie i zacząłem poruszać nią rytmicznie wzdłuż kadłuba, jak to robi marynarz przygotowując się do rzucenia sondy.

Skrzynka ważyła ponad osiemnaście kilogramów, ale nie czułem tego. Ruchy wahadłowe osiągnęły szybko czterdzieści pięć stopni - prawie maksimum tego, co mogłem osiągnąć, gdyż czas i szczęście mogły się zaraz skończyć. Czułem się tak dobrze widoczny i nie zabezpieczony, jak artysta na trapezie pod tuzinem reflektorów. Kiedy skrzynka znalazła się za mną i osiągnęła w odchyleniu od pionu największą wysokość, puściłem linę i ukryłem się za brezentową osłoną przeciwwiatrową. Chowając się przypomniałem sobie, że nie zrobiłem otworów w pudle i nie wiedziałem teraz, czy utrzyma się na powierzchni, czy utonie. Trudno, było już za późno, by się martwić.

Na głównym pokładzie rozległ się krzyk. Jakieś siedem do dziesięciu metrów za mostkiem. Pomyślałem, że mnie dostrzeżono. Na szczęście jednak za sekundę usłyszałem wspaniały plusk, po którym nastąpił komentarz pochodzący z ust Jacques'a:

- Skoczył do wody! Prawa burta za nadbudówką. Latarkę, szybko!

Idąc ku rufie - tak jak mu rozkazano - musiał zobaczyć przesuwający się czarny cień, usłyszeć plusk i wywnioskować z tego, że skoczyłem do wody. Niebezpieczny i szybko myślący jegomość z tego Jacques'a. W ciągu dosłownie trzech sekund przekazał swoim koleżkom wszystko, co powinni wiedzieć; co się stało, co i gdzie należy zrobić, by mnie zastrzelić. Przeczesujący pokład mężczyźni popędzili na mostek, przebiegając dwa metry pod miejscem, w którym się ukryłem.

- Czy widzisz go na mostku, Jacques?

Imrie mówił szybko, ale jego głos brzmiał spokojnie.

- Jeszcze nie.

- Za chwilę się wynurzy. - Wolałbym, żeby był tego mniej pewny. - Taki skok musiał go oszołomić. Kramer, dwóch ludzi i do łodzi! Weź latarki i szukaj go. Henry, przygotuj skrzynkę z granatami! Carlo, szybko na pomost i włącz prawy reflektor!

Nie pomyślałem o łodzi. Nie podobało mi się to, jeszcze gorsze były granaty. Wzdrygnąłem się. Wiedziałem, jak działa na ludzkie ciało nawet mały wybuch podwodny. Taki wybuch ma dwadzieścia razy większy efekt niż ten na powierzchni ziemi. Mimo to jednak musiałem wskoczyć do wody. Reflektor - z tym mogłem dać sobie radę. Tkwił sześćdziesiąt centymetrów nad moją głową. Zasilający kabel przechodził dokładnie pod moją lewą ręką. Przyłożyłem do niego ostrze noża, ale usunąłem je na myśl o granatach i zacząłem znowu kombinować. Zamiast przecinać kabel mogłem równie dobrze przechylić się przez osłonę przeciwwiatrową i krzyknąć: tu jestem, łapcie mnie! Gdybym nawet uderzył z tym wchodzącego po drabinie Carla, to wynik byłby taki sam. Dwa razy nie udałooby mi się ich okpić. Nie tych ludzi. Kuśtykając jak tylko mogłem najszybciej przeszedłem przez sterówkę na lewe skrzydło pomostu, ześliznąłem się po drabinie i pobiegłem w stronę skrajnika dziobowego. Nie było tam nikogo.

Usłyszałem krzyk, a w chwilę później rozległy się serie z broni maszynowej. Był to z pewnością Jacques ze swoim pistoletem. Czy zauważył coś? Czy skrzynka wypłynęła na powierzchnię, a on wziął ją za mnie? Prawdopodobnie. Nie traciłby amunicji na rozstrzelanie skrzynki. W każdym razie błogosławiłem ten fakt.

Wiedziałem, bowiem, że dopóki będą wierzyć, że tonę podziurawiony jak ser szwajcarski, dopóty nie będą mnie szukać gdzie indziej. „Nantesville” stał na lewej kotwicy. Opuściłem się po linie za burtę, włożyłem nogi w kluzę, potem chwyciłem łańcuch. Wielka szkoda, że sędziowie międzynarodowych zawodów lekkoatletycznych nie włączyli swoich stoperów. Prawdopodobnie pobiłem wszystkie możliwe rekordy świata w spuszczeniu się po łańcuchu kotwicznym.

Woda była zimna, ale miałem na sobie specjalny kombinezon chroniący mnie przed chłodem. Morze było lekko wzburzone i wyczuwało się silny prąd przyływu, co mi bardzo odpowiadało. Płynąłem wzdłuż lewej strony kadłuba przebywając prawie dziewięćdziesiąt procent czasu pod powierzchnią. Nikogo nie widziałem i nie byłem przez nikogo widziany.

Na główce trzonu steru odnalazłem swój akwalung oraz płetwy, uczone tam, gdzie je pozostawiłem. „Nantesville” był zanurzony nieco ponad połowę swoich znaków, więc główka trzonu nie tkwiła zbyt głęboko pod wodą. Włożenie na siebie akwalungu we wzburzonym morzu nie jest sprawą łatwą, ale myśl o granatach dodała mi szybkości. Musiałem się spieszyć, miałem przed sobą długą drogę i wiele spraw do załatwienia po osiągnięciu celu.

Słyszałem zbliżający się i oddalający warkot motorówki krążącej z prawej strony statku. Na szczęście nie zbliżała się do mnie bardziej niż na jakieś trzydzieści metrów. Strzelanina ustała. Imrie zrezygnował prawdopodobnie z użycia granatów. Poprawiłem ciężarki balastowe przy pasie. Opuściłem się w ciemne, bezpieczne wody. Określiłem kierunek za pomocą świecącej busoli i zacząłem się posuwać naprzód. W pięć minut później wypłynąłem na powierzchnię i wkrótce znalazłem się na skalistej wysepce, na której ukryłem gumową łódź.

Wspiąłem się na skały i spojrzałem w stronę statku. „Nantesville” tonął w światłach. Reflektor przeszukiwał powierzchnię morza, a łódź motorowa krążyła nadal. Usłyszałem zgrzyt łańcucha kotwicznego. Podnoszono kotwicę. Spuściłem ponton na wodę i wyciągnąłem dwa krótkie wiosła. Skierowałem się na południowy zachód. Znajdowałem się nadal w zasięgu reflektora, ale szansa dostrzeżenia ubranej na czarno postaci w czarnym pontonie o niskiej sylwetce - na tle czarnych wód - była bardzo mała.

Po przebyciu mili złożyłem wiosła i włączyłem silnik, a właściwie próbowałem to zrobić. Silniki moich łodzi pracowały zawsze doskonale, z wyjątkiem tych chwil, kiedy byłem przemarznięty, przemoczony i wyczerpany. Kiedy ich naprawdę potrzebowałem, zawsze odmawiały mi posłuszeństwa. Wziąłem się wobec tego znów do wiosła. Pracowałem ciężko. Nie trwało to może wieczność, ale w każdym razie chyba cały miesiąc. Za dziesięć trzecia nad ranem odnalazłem wreszcie swój kuter

- „Firecrest”.

WTOREK: OD TRZECIEJ NAD RANEM DO ŚWITU

- Calvert?

Hunslett zawołał mnie tak cicho, że ledwie go usłyszałem.

- Tak, to ja.

Z ledwością rozróżniłem czarną sylwetkę na czarnym tle nocy. Wielkie chmury płynące z południowego zachodu zakryły całe niebo przysłaniając gwiazdy. Na powierzchnię morza zaczęły padać grube krople deszczu.

- Niech mi pan pomoże wciągnąć ponton na pokład.

- Jak poszło?

- Później. Przede wszystkim ponton.

Trzymając linę w ręku wszedłem po drabince i przelazłem przez okrężnicę. Sprawilo mi to poważną trudność. Byłem sztywny z zimna, bolały mnie mięśnie, a prawa noga z trudem utrzymywała mój ciężar.

- Pośpieszmy się - powiedziałem. - Możemy się wkrótce spodziewać towarzystwa.

- Och, więc o to chodzi... - mruknął Hunslett głosem pełnym zadumy. - Wuj Arthur będzie z pewnością zachwycony.

Nie odpowiedziałem. Nasz szef, kontradmirał sir Arthur Arnford-Jason, komandor Orderu Łaźni i posiadacz całej kolekcji odznaczeń, z pewnością nie będzie zachwycony. Wciągnęliśmy ponton na pokład, wypuściliśmy z niego powietrze, odczepiliśmy silnik i zanieśliśmy to wszystko na dziób.

- Niech pan znajdzie dwa wodoszczelne worki - poleciłem. - I proszę podnieść kotwicę. Ale cicho. Proszę położyć kawałek brezentu pod łańcuch i dopiero wtedy podnieść zapadkę hamulca.

- Odpływamy?

- Tak by nakazywał zdrowy rozsądek. My jednak zostaniemy. Po prostu proszę podciągnąć kotwicę. Niech wisi u burty.

Kiedy Hunslett wrócił z workami, łódź znajdowała się już w pokrowcu. Ściągnąłem z siebie akwalung i wpakowałem go do jednego z worków razem ze skafandrem i ciężarkami, wodoszczelnym zegarkiem i kompasem połączonym z głębokościomierzem. Umieściłem silnik w drugim worku tłamsząc w sobie chęć wyrzucenia go do morza. Wprawdzie jakiś silnik powinien znajdować się na stateczku, ale już dwa grzyby w barszcz to trochę za dużo, tym bardziej, że ten drugi był przymocowany do drewnianej łodzi ratunkowej wiszącej na żurawikach na rufie.

Hunslett włączył windę kotwiczną i łańcuch zaczął się równo podnosić. Urządzenia tego typu zwykle robią wiele hałasu. Przy podnoszeniu kotwicy głośne odgłosy powstają przy przechodzeniu łańcucha przez rurę kluzy kotwicznej, prócz tego słyhać stukot zapadki na trybach, ślizganie się ogniw łańcucha po bębnie i wpadanie łańcucha do komory łańcuchowej. Jeśli chodzi o pierwsze i czwarte źródło hałasu - niewiele można było zaradzić, ale po zdjęciu zapadki i użyciu grubego płótna w bębnie w komorze łańcucha, dźwięki były przynajmniej znacznie przytłumione. Głos niesie po wodzie daleko, a najbliższe łodzie stały na kotwicach w odległości zaledwie dwustu metrów od nas. Oczywiście, nie szukaliśmy towarzystwa innych łodzi w porcie, a odległość dwustu metrów od Torbay była dla nas niezbyt bezpiecznym dystansem. Cóż stąd, kiedy dalej dno morza opuszczało się gwałtownie i tylko ta głębokość około czterdziestu metrów, na której staliśmy, była dla nas bezpieczna, bo nasz łańcuch kotwiczny miał sto dwadzieścia metrów długości.

Usłyszałem uderzenie nogi Hunsletta o wyłącznik na pokładzie.

- Kotwica jest podciągnięta.

- Proszę założyć na chwilę zapadkę, bo jeśli bęben się poruszy, obetnie mi ręce.

Podciągnąłem oba worki na dziób i związałem je liną. Wychyliłem się pod relingiem i przywiązałem linę do łańcucha kotwicznego. Kiedy była już mocno przytwierdzona, wyciągnąłem pakunki za burtę. Zawisły swobodnie na łańcuchu.

- A teraz opuścimy łańcuch ręcznie - powiedziałem. - Utrzymam ciężar, proszę unosić łańcuch rozwijając go z bębna.

Spuszczenie ręcznie około osiemdziesięciu metrów łańcucha było bardzo ciężkim i trudnym zadaniem. Moje ramiona, barki i krzyż niechętnie realizowały ten manewr, tym bardziej, że byłem i tak straszliwie zmęczony przed rozpoczęciem całej operacji. Bolała mnie noga, nie mogłem ruszać karkiem, byłem skostniały z zimna. Istnieje oczywiście wiele sposobów na to, aby uzyskać odpowiednią kondycję, ale gimnastyka w bieliźnie podczas wietrznej i deszczowej jesiennej szkockiej nocy z pewnością do nich nie należy. Kiedy wreszcie to wszystko się skończyło, zeszliśmy do kabiny. Ktokolwiek chciałby teraz się dowiedzieć, co jest przymocowane do łańcucha kotwicznego czterdzięci metrów pod wodą, musiałby najpierw zaopatrzyć się w członowy stalowy skafander.

Hunslett zamknął drzwi mesy i zasłonił okienka grubymi, pluszowymi firankami; dopiero teraz zapalił małą lampkę stojącą na stole. Dawała niewiele światła, w każdym razie nie tyle, by je było widać z zewnątrz. Nie chcieliśmy demonstrować, że czuwamy.

- Będzie pan musiał kupić sobie nową koszulę - powiedział - bo ta ma za ciasny kołnierzyk. Zostawia ślady.

Przestałem się wycierać i spojrzałem w lustro. Mimo półmroku moja szyja przedstawiała okropny widok. Była opuchnięta, sina, przecięta czterema obrzydliwymi, granatowymi sińcami w tych miejscach, gdzie palce dusiciela głęboko wbiły się w ciało. Niebieski, zielony, fioletowy... Piękne kolory. Wyglądało na to, że szybko nie znikną.

- Wziął mnie od tyłu - tłumaczyłem. - Marnuje się w zawodzie kryminalisty. Nie znalazłby konkurentów na olimpiadzie w podnoszeniu ciężarów. Nosił też wyjątkowo ciężkie buty.

Odwrociłem się do światła lampy, aby zbadać prawą łydkę. Widniał na niej siniak większy od pięści, a jeśli brak mu było któregoś koloru tęczy, to nie mogłem się tak od razu zorientować, którego. Pośrodku siniaka była szeroka rana, która ciągle krwawiła i której Hunslett przyglądał się ze skupionym zainteresowaniem.

- Gdyby nie kombinezon płetwonurka, wykrwawiłby się pan do ostatniej kropli. Lepiej będzie, jak panu to opatrzę.

- Nie potrzebuję żadnych bandaży! Wolę dużą whisky. A zresztą... racja. Lepiej zatrzymać krwawienie. Nasi goście pewnie bardzo by się zdziwili, gdyby musieli aż po kostki brodzić we krwi.

- Jest pan pewien, że przyjdą?

- O, byłem prawie pewien przybijając do burty, że są już na pokładzie. Nie wiem, kim są ci ludzie z „Nantesville”, ale głupcami z pewnością nie są. Na pewno już się do tego czasu domyślili, że mogłem się do nich zbliżyć tylko pontonem i na pewno nie wzięli mnie za zwykłego ciekawskiego z pobliskiej miejscowości. Przede wszystkim, dlatego, że miejscowi chłopcy nie zabawiają się spacerując po pokładach statków stojących na kotwicy, a poza tym, dlatego, że okoliczni mieszkańcy nawet w dzień boją się wypraw w kierunku Beul nan Uamh, czyli wejścia do grobu, a co dopiero w nocy. Mapy morskie i instrukcje nawigacyjne wskazują, że to miejsce jest bardzo rzadko odwiedzane. Zresztą mieszkańiec Torbay nigdy nie wszedłby na pokład tak jak ja to zrobiłem, nigdy nie zachowałby się tak jak ja i nigdy nie opuściłby statku w taki sposób jak ja. Prawdę mówiąc, pozostałby na tym pokładzie. Martwy.

- Nie wątpię. I co z tego wynika?

- No, więc, nie jesteśmy tubylcami. Przyjechaliśmy tutaj. Nie zatrzymaliśmy się ani w hotelu, ani w żadnym pensjonacie - w takiej dziurze jak Torbay łatwo można skontrolować zachowanie się każdego człowieka. Wniosek prosty: musimy mieszkać na statku. Gdzie jest zakotwiczony statek? Na północ od Loch Houron? Chyba nie. Przy sile wiatru sześć do siedmiu w skali Beauforta, jaką zapowiada komunikat meteorologiczny, nikt nie byłby aż takim wariatem, żeby zażywać przejażdżki wzdłuż brzegów. Statek znajduje się, więc na południu, w kanale. Jest to jedyne płytkie i dobrze osłonięte miejsce w promieniu sześćdziesięciu kilometrów. W dole kanału mamy port Torbay, a „Nantesville” jest zakotwiczony zaledwie osiem kilometrów od niego, u wejścia do Loch Houron. W tej sytuacji, proszę mi powiedzieć, gdzie pan by mnie szukał?

- Na statku zakotwiczonym w Torbay. Jaką broń mam panu podać?

- Nie chcę żadnej. Pan też nie będzie jej miał. Tacy ludzie jak my nie mogą być uzbrojeni.

- Zgoda. Hydrobiologowie nie noszą w kieszeniach rewolwerów. Personel Ministerstwa Rolnictwa i Rybołówstwa też nie. Urzędnicy są zwykle poza podejrzeniami. Będziemy, więc udawali sprytnych. A zresztą pan jest szefem.

- Wolę nie słyszeć niczego o przebiegłości, ani o... szefostwie. Mogę się założyć o każdą sumę, że przestanę być szefem, kiedy wuj Arthur usłyszy to, co mam mu do przekazania.

- Nie musi mi pan nic więcej mówić. - Skończył owijać bandaż wokół mojej nogi. - No i jak?

Spróbowałem zrobić kilka kroków.

- Lepiej. Dziękuję bardzo. A będzie jeszcze lepiej, jeśli odkorkujemy tę butelkę. Proszę włożyć na siebie pidżamę. Ludzie całkowicie ubrani w środku nocy zawsze wprawiają odwiedzających w zdziwienie.

Z całych sił tarłem głowę ręcznikiem. Jeden, jedyny mokry włos na mojej głowie również wprawiłby przybyłych w zdziwienie.

- Nie mam wiele do opowiedzenia - zacząłem - a to, co mam, to nic dobrego.

Nalał mi solidną porcję whisky do szklanki, sobie dużo skromniejszą, dolał wody. Whisky smakowała tak jak zawsze, gdy się ją pije po pływaniu i wielogodzinnym wiosłowaniu, zwłaszcza, jeśli podczas tych czynności człowiek żegna się w dodatku z życiem.

- Dostałem się tam bez żadnych trudności. Ukryłem się za cyplem Carrare oczekując nocy, następnie powiosłowałem aż do wysepki Bogha Nuadh. Tam zostawiłem ponton. Do statku popłynąłem pod wodą. To był „Nantesville”. Naturalnie, miał zmienioną nazwę i płynął pod inną banderą. Stracił jeden maszt. Został przemalowany z białego na czarny, a nadbudówka jest teraz szara. Mimo to poznałem go. Mało brakowało, żebym do niego nie dotarł. Musiałem płynąć pod ten przeklęty prąd. Kosztowało mnie to pół godziny katorżniczego wysiłku. Nie wyobrażałem sobie dokonania takiego wyczynu podczas odpływu lub przyływu.

- Panuje przekonanie, że to najsilniejszy prąd na zachodnim wybrzeżu. I w ogóle najsilniejszy u szkockich wybrzeży.

- Wolę go nie porównywać z innymi prądami... Przez dziesięć minut odpoczywałem trzymając się steru, aby odzyskać nieco sił i wspiąć się po linie.

- To było wielkie ryzyko.

- Nie tak bardzo wielkie. Było ciemno, choć oko wykol. A poza tym działałem rozważnie, z zachowaniem wszelkiej ostrożności, nie popełniając błędu wielu inteligentnych ludzi, którym się zdaje, że mają do czynienia z idiotami. Podciągnąłem się na linie i zobaczyłem dwie czy trzy osoby na rufie, a w ogóle siedem czy osiem na całym pokładzie. Członkowie właściwej załogi byli niewidoczni.

- I nie został po nich żaden ślad?

- Żaden. Nie wiem, czy żyją, czy są martwi. Kiedy już znalazłem się na statku, szczęście przestało mi dopisywać. Idąc w stronę mostku minąłem jakiegoś człowieka. Machnąłem ręką i mruknąłem coś do niego. Odpowiedział mi. Nie wiem jednak, co. Poszedłem za nim. Kiedy doszedł

do kambuza, usłyszałem, jak meldował szybko przez telefon: „Widziałem faceta z załogi, prawdopodobnie chce prysnąć. „Niestety, nie mogłem go zmusić do milczenia. Patrzył na drzwi telefonując i trzymał w dłoni rewolwer. Pobiegnę w stronę mostku.

- W stronę mostku? Kiedy facet dosłownie deptał panu po piętach! Niech pan się da zbadać przez psychiatrę, Calvert!

- Wuj Arthur nie byłby tak uprzejmy, jak pan, Hunslett. Żałuję, ale nie miałem wyboru. Poza tym, ponieważ wzięli mnie za uciekiniera z załogi „Nantesville”, uważali, że jestem sterroryzowany i zupełnie niegroźny. Gdyby ten człowiek zauważył mój kombinezon płetwonurka, sprawy potoczyłyby się na pewno zupełnie inaczej. Nie ulega wątpliwości, że zamieniliby mnie w sito. Ale to nieważne. Po drodze spotkałem jeszcze kogoś. Na szczęście nie zwrócił na mnie uwagi. Pewnie opuścił pomost przed alarmem. Pobiegnę na dziób i ukryłem się za windą ładunkową. Przez dziesięć minut było dużo szumu. Oświetlali pomost silnymi lampami elektrycznymi. Wreszcie zobaczyłem, jak ruszyli na rufę. Prawdopodobnie myśleli, że tam wróciłem. Doskonale. Wszedłem na mostek i przeszukałem wszystkie kabiny oficerów. Były puste. W jednej z nich, przypuszczalnie w kabinie mechanika, meble były poprzewracane, a na dywanie widniała plama zakrzepłej krwi. W sąsiedniej kabinie koja kapitana była dosłownie przesiąknięta krwią.

- A przecież zostali ostrzeżeni, żeby nie stawiać oporu.

- Tak, wiem o tym. Następnie odnalazłem Bakera i Delmonta.

- Ach, więc ich pan znalazł...

Hunslett spoglądał na dno pustej szklanki. Z jego twarzy nie można było niczego wyczytać. Dałbym wiele, aby odgadnąć jego myśli.

- Delmont próbował wzywać pomocy, in extremis. Powiedziano mu, żeby tego nie robił, chyba że zdarzy się coś nadzwyczajnego. Prawdopodobnie odnaleziono go i zdemaskowano. Wbito mu w plecy trzynastomilimetrowe dłuto i zaciągnięto do kajuty radioofficera, znajdującej się za pomieszczeniem, w którym była radiostacja. Baker prawdopodobnie przyszedł tam później, przebrany za oficera... ostatnia rozpaczliwa próba... Trzymał rewolwer w ręku, ale patrzył i celował w złą stronę. W jego plecach tkwiło takie samo dłuto.

Hunslett nalał sobie nową porcję trunku, tym razem dużo większą. Było to - jak na niego - zadziwiające. Jednym łykiem wypił połowę zawartości szklanki.

- Nie wszyscy poszli na rufę, jak sądzę? Prawdopodobnie zostawili delegację, która miała pana powitać.

- To są bardzo zręczni ludzie... Bardzo zręczni i niebezpieczni. Zdaje mi się, że nas przewyższają, przynajmniej mnie. Zostawili jednoosobowy komitet powitalny, tyle że jeśli idzie o tę osobę, to druga byłaby zbędnym dodatkiem. Wiem, że to on zabił Bakera i Delmonta. I wiem, że drugi raz już nie będę miał tyle szczęścia.

- A jednak pan uciekł. Więc nie opuściło pana szczęście. Baker i Delmont nie mieli go, niestety.

Widziałem, że Hunslett wini mnie za to, podobnie jak zrobi to Londyn. Ja też siebie winiłem. Zresztą nie było, na kogo zrzucić odpowiedzialności.

- Wuj Arthur... - zaczął Hunslett - czy sądzi pan...

- Zostawmy w spokoju wuja Arthura! Mam go w nosie! Czy wie pan, jak się teraz czuję?

Ogarnęła mnie złość i to tak wielka, że po raz pierwszy dostrzegłem na twarzy Hunsletta coś, jakby cień zmiany wyrazu, nie było w tym jednak odrobiny współczucia.

- Powróćmy jednak do „Nantesville” - powiedział. - Teraz, kiedy frachtowiec został zidentyfikowany, kiedy znamy jego nową nazwę i nową banderę... A właściwie, jakie one są?

- „Alta Fiord” pod banderą norweską. Nie ma to jednak większego znaczenia.

- Mimo to powinniśmy nadać radiogram do wuja Arthura...

- A nasi goście znajdą nas obok silników Diesla ze słuchawkami na uszach... Czy pan oszalał?

- Jest pan tak pewien tej wizyty?

- Tak, jestem pewien. I pan również. Powiedział pan przecież, że przyjdą.

- Powiedziałem, że jeśli przyjdą, to zjawią się właśnie tutaj, w tej kajucie...

- Jeśli przyjdą... Jeśli przyjdą... Mój Boże, człowieku! Nie wiedzą, jak długo przebywałem na ich statku. Mogłem tam być wiele godzin. Mogłem w tym czasie poznać ich nazwiska i zapamiętać rysopisy. W rzeczywistości nie jestem w stanie rozpoznać żadnego z nich, a ich nazwiska czy imiona prawdopodobnie nic nie znaczą. Oni jednak nie zdają sobie z tego sprawy. Mogą sobie wyobrazić, że trzymam w ręku mikrofon i że w tej chwili przekazuje ich dane do Interpolu. Istnieją duże szanse na to, że przynajmniej niektórzy z nich są uwiecznieni w kartotekach. To nie byle płotki. Są na to za dobrzy. Niektórzy muszą być znani.

- W tym przypadku popełnili błąd. Wiadomość mogła zostać przekazana.

- Nie popełnili. Jeśli zlikwidują jedyne świadka, mogącego świadczyć przeciwko nim, wygrają na czasie.

- Pójdę wobec tego po rewolwery.

- Nie.

- A więc, na litość boską, uciekajmy stąd!

- Nie.

- Czy pan rozumie, że ja się tego domagam?

- Tak.

- Baker i Delmont... proszę o nich pomyśleć.

- O nikim innym nie myślę. Ale jeżeli chce pan odpłynąć, proszę bardzo.

Postawił ostrożnie szklankę na stoliku. Tej nocy dawał upust swoim uczuciom. Po raz drugi w ciągu dziesięciu minut. Wziął znów szklankę do ręki i uśmiechnął się.

- Pan nie wie, co mówi, Calvert. Pańska szyja i kark... No tak, to się zdarza, jeśli mózg jest przez pewien czas niedotleniony. Kto pana będzie bronił, jeśli pańscy przyjaciele zechcą panu zrobić coś złego?

- Proszę mi wybaczyć - powiedziałem szczerze.

Pracowałem z nim może dziesięć razy w ciągu dziesięciu lat i powinienem był wiedzieć, że jedyną rzeczą, której nie mógłby zrobić, byłoby zostawienie kolegi samego w niebezpiecznej chwili.

- Co pan mówił na temat wuja Arthura? - spytałem.

- Wiemy, gdzie się znajduje „Nantesville”. Wuj mógłby polecić, aby jakiś okręt wojenny śledził statek za pomocą radaru...

- Wiedzieliśmy, gdzie był. Podniósł kotwicę w tym samym czasie, kiedy odpływałem. O świcie może znajdować się o sto mil morskich od wiadomego miejsca, i to w każdym kierunku.

- A więc uciekł? I to my go przestraszyliśmy? Pochwalą nas za to.

Usiadł ciężko, po czym spojrzał na mnie.

- Mamy jednak jego znaki rozpoznawcze, znamy nazwę i banderę.

- To nam nic nie daje. Mówiłem już o tym. Jutro będzie mieć inny wygląd. Może nazywać się „Hokomaru” z Jokohamy i płynąć pod japońską banderą, przemalowany na zielono, ze zmienionym masztem.

- Zwiad lotniczy... Moglibyśmy...

- Nim go zorganizujemy, lotnicy będą musieli przebadać dwadzieścia tysięcy mil kwadratowych morza. Słyszał pan ostatni komunikat meteorologiczny? Niskie chmury, mgła. Samoloty będą musiały lecieć na małej wysokości, co naturalnie zredukuje ich działalność, co najmniej o dziewięćdziesiąt procent. Podczas deszczu i słabej widoczności nie będą miały nawet jednej szansy na tysiąc, aby z całą pewnością zidentyfikować frachtowiec. A zresztą, gdyby im się to

udało, co nam to da? Pilot mógłby najwyżej do nich pomachać.

- Dysponujemy przecież flotą. Pilot może wezwać okręty wojenne.

- Jaką flotą? Śródziemnomorską? Czy też dalekowschodnią? Marynarka nie ma tutaj, na tych wodach, żadnych jednostek. Zanim jakiś okręt przybyłby na miejsce, nastalaby noc i „Nantesville” zniknąłby w morzu. Zresztą wyobraźmy sobie, że ta jednostka dogoniłaby statek. Co mogłaby zrobić? Zatopić go przy użyciu dział, wiedząc, że dwudziestu pięciu ludzi - prawdziwa załoga - jest zamkniętych w głębi ładowni?

- A grupa szturmowa?

- Imrie czekałby na nich z pistoletami maszynowymi, wymierzonymi w dwudziestu pięciu zakładników pytając, co w tej sytuacji mają zamiar zrobić?

Hunslett wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie zmęczonego.

- Włożę pidżamę - powiedział.

W progu odwrócił się do mnie.

- Jeżeli „Nantesville” odpłynął, jego nowa załoga również odpłynęła. W ten sposób możemy nie mieć gości. Czy pan o tym pomyślał?

- Nie.

- W gruncie rzeczy i ja w to nie wierzę.

Przybyli o czwartej dwadzieścia rano. Przybyli w sposób najbardziej legalny, oficjalny i spokojny. Przebywali na pokładzie czterdzieści minut, mimo to po ich odpłynięciu nie byłem zupełnie przekonany, że miałem do czynienia z piratami.

Hunslett wszedł do mojej kajuty, znajdującej się na dziobie kutra, zapalił światło i potrząsnął moim ramieniem.

- Niech pan się obudzi! - zawołał.

Wcale nie spałem, ale naturalnie odegrałem małą komedijkę. Stękałem, ziewałem, wreszcie otworzyłem oczy. W kabinie był tylko Hunslett.

- Co się stało? Co się dzieje? ... Przecież to dopiero czwarta rano.

- Nic nie rozumiem - odpowiedział Hunslett zirytowanym głosem. - Na pokładzie jest policja. Chce się z panem zobaczyć w ważnej sprawie.

- Policja? Czy naprawdę powiedziałeś: policja?

- Tak. Proszę pójść ze mną. Czekają na pana.

- Policja na pokładzie naszego statku? Chciałbym...

- Na litość boską, niech pan już idzie! Ile razy wypijał pan ostatni kieliszek przed położeniem się spać? Jest ich czterech: dwaj policjanci i dwaj celnicy. Twierdzą, że to bardzo pilna sprawa.

- Mam nadzieję, że to rzeczywiście pilna sprawa. W środku nocy! Za kogo nas biorą? Za złodziei kolejowych? Czy powiedziałaś im, kim jesteśmy? Dobra, dobra, już idę.

Hunslett wyszedł.

W trzydzieści sekund później znalazłem się obok niego w mesie. Towarzyszyło mu czterech mężczyzn: dwóch policjantów i dwóch celników. Starszy policjant wstał. Był to wysoki sierżant, silnie zbudowany, w wieku około pięćdziesięciu lat. Obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem i popatrzył na pustą butelkę obok dwóch nie umytych szklanek. Nie kochał bogatych żeglarzy, zamożnych żeglarzy, którzy zbyt wiele piją wieczorem i którzy wczesnym rankiem mają przekrwione oczy i włosy w nieładzie. Nie znosił bogatych, zniewieściałych żeglarzy ubranych w szlafroki z czerwonego jedwabiu, ozdobione chińskimi smokami ani turystów z zawiązanymi na szyi szalami, pochodzącymi z najbardziej eleganckich sklepów w Londynie. Przyznam szczerze, że ja też nie lubię takich szali, ale musiałem przecież w jakiś sposób zakryć siniaki.

- Czy pan jest właścicielem tego statku? - spytał sierżant.

Mówił grzecznym tonem, z przedziwnym szkockim akcentem. Słowo „pan” wypowiedział wyraźnie z wielkim trudem.

- Jeżeli się dowiem, jaki parszywy interes tu pana sprowadził, to może odpowiem. A może nie - odezwałem się podniesionym głosem. - Statek, bowiem, sierżancie, tyle znaczy, co dom. Nie ma pan prawa wejść na pokład bez nakazu rewizji. A może pan nie zna prawa?

- Zna prawo! - odpowiedział za sierżanta tonem pełnym perswazji jeden z celników, człowiek małego wzrostu, świeżo ogolony o godzinie czwartej rano. - Proszę być wyrozumiałym. Sierżant nie ma nic wspólnego z tą całą sprawą. To my go wyciągnęliśmy z łóżka prawie trzy godziny temu. Po prostu oddaje nam przysługę.

Zignorowałem go i w dalszym ciągu mówiłem tylko do sierżanta.

- Jest środek nocy. Co by pan powiedział, gdyby czterech nieznajomych weszło do pańskiego domu?

Wiedziałem, że ryzykuję, ale właśnie o to mi chodziło. Gdyby byli tymi, których się obawiałem, i gdybym był tym, za którego mnie brali, nie rozmawiałbym w taki sposób. Człowiek niewinny po prostu musiał się w takiej sytuacji zdenerwować.

- Czy możecie się wylegitymować? - spytałem.

Sierżant spojrział chłodno.

- Nie muszę się legitymować! Jestem sierżantem McDonald, komendantem posterunku policji w Torbay od przeszło ośmiu lat. Proszę zapytać kogokolwiek w Torbay, tam mnie wszyscy znają.

Jeśli był naprawdę tym, za kogo się podawał, to nie dziwię się jego reakcji... Prawdopodobnie nigdy jeszcze nikt go nie legitymował.

- A to jest posterunkowy McDonald! - dodał kierując wzrok na swego kolegę.

- Pański syn? - spytałem, dostrzegłszy podobieństwo. - Nie ma nic lepszego, jak iść w ślady ojca.

Nie wiedziałem jeszcze, czy był rzeczywiście komendantem z Torbay, ale doprowadziłem już do takiej sytuacji, że lepiej było spuścić nieco z tonu.

- Panowie towarzyszą celnikom, a im nie jest potrzebny nakaz rewizji. Wiem, co mówią przepisy celne. Policja chciałaby mieć takie same prawa, jak panowie - dodałem, zwracając się do celników. - Możecie chodzić, gdzie chcecie i przeglądać wszystko, nie pytając o żadne pozwolenie...

- Ma pan rację - odparł młodszy celnik, blondyn średniego wzrostu, lekko otyły, mówiący z akcentem mieszkańców Belfastu i ubrany, podobnie jak jego towarzysz, w niebieski płaszcz, czapkę z daszkiem, brązowe rękawiczki i spodnie z nienagannym kantem. - Nigdy jednak tego nie robimy. Wolimy współpracować i dlatego najpierw pytamy.

- Krótko mówiąc, panowie chcą przeprowadzić rewizję na tym statku. Nie mylę się, prawda?

- Nie, proszę pana.

- Ale po co? - spytałem. W moim głosie brzmiało zdumienie. Nie mogłem przecież wiedzieć, co się spodziewają znaleźć. - Jeśli mamy być dla siebie uprzejmi i współpracować, to czy mógłbym uzyskać jakieś wytłumaczenie?

- Proszę bardzo - odpowiedział ugrzecznionym tonem starszy celnik. - Poprzedniej nocy porwano ciężarówkę, wiozącą towary wartości ponad dwunastu tysięcy funtów. Stało się to na nadmorskiej szosie w Ayrshire. Podawano to w wieczornych wiadomościach. Według posiadanych przez nas informacji porwany ładunek został przeniesiony na mały stateczek. Wydaje się nam, że odpłynął on w kierunku północnym.

- Dlaczego?

- Wybacz pan, ale nie odpowiem na to pytanie. Skontrolowaliśmy do tej pory trzy porty i dwanaście statków, z czego trzy w zatoce Torbay. Robimy to już od przeszło piętnastu godzin. - Jego głos był bardzo przyjazny. - Wcale pana nie podejrzewamy. Mamy do wykonania zadanie i na tym koniec, kropka.

- Czy panowie sprawdzają wszystkie statki płynące z południa? - spytałem. - Również te, które

według panów mogą płynąć z południa? A czy pomyśleli panowie o tym, że statek mający na pokładzie skradzione towary nigdy nie zaryzykowałby płynięcia przez kanał Crinan? Przecież, kiedy się do niego wpływa, jest się automatycznie zagwożdżonym, przez co najmniej cztery godziny. Statek, którego poszukujecie, musiał prawdopodobnie opłynąć cypel Mull of Kintyre. Jesteśmy tutaj od wczesnego popołudnia. Tylko bardzo szybka łódź zdążyłaby tu dopłynąć w tym czasie.

- Pański statek jest bardzo szybki - zauważył sierżant.

Pomyślałem, że wszyscy policjanci mają podobny drewniany głos, wszystko jedno czy są ze Szkocji, czy z Londynu, czy też z głębokiej wsi. Zdawać by się mogło, że taki głos jest nieodłączną częścią ich munduru. Zignorowałem go.

- A cóż to takiego skradliśmy?

- Artykuły chemiczne. Była to ciężarówka należąca do chemicznego koncernu ICI.

- Artykuły chemiczne! - Spojrzałem z uśmiechem na Hunsletta. - Naturalnie, jesteśmy naszpikowani różnymi artykułami chemicznymi. Wątpię jednak, czy znajdzie się ich aż na dwanaście tysięcy funtów.

- Czy może mi pan wytłumaczyć, co znaczy to oświadczenie? - spytał McDonald po chwili milczenia.

- Bardzo chętnie.

Zapaliłem papierosa i zadowolony z wrażenia, jakie wywołałem, zacząłem wyjaśniać.

- Sierzancie McDonald, ten statek należy do rządu. Dobijając do burty, mógł pan bez trudu zauważyć banderę Ministerstwa Rolnictwa i Rybołówstwa. Jesteśmy biologami, a nasza specjalizacja to fauna i flora morska. Kabina na rufie jest przebudowana na laboratorium biologiczne. Proszę spojrzeć na tę bibliotekę, której półki uginają się pod fachowymi książkami. Jeśli pan jeszcze wątpi, mogę panu podać dwa numery telefonów w Glasgow i Londynie, gdzie poważni, odpowiedzialni ludzie będą mogli potwierdzić moje słowa. Może pan również zadzwonić do obsługi kanału Crinan. Tam, przy śluzie, spędziliśmy ostatnią noc.

- Doskonale - odpowiedział sierżant, przechodząc do porządku nad tym, co powiedziałem. - Proszę mi w takim razie powiedzieć, dokąd popłynął pan wczoraj wieczorem swoim gumowym pontonem?

- Przepraszam, o czym pan mówi?

- Wczoraj wieczorem, około godziny siedemnastej, widziano pana, jak opuścił pan „Firecresta” i opłynął w czarnym pontonie.

Słyszałem o zimnych jak lód ciarkach przesuwających się w dół i w górę wzdłuż kręgosłupa. W tej chwili jednak na moim kręgosłupie przesuwawała się po prostu stonoga obuta w sto lodowych butów.

- Pan wpłynął do kanału. Listonosz z Torbay o nazwisku McIlroy widział pana.

- Jest mi bardzo przykro, że muszę rzucić cień na charakter państwowego funkcjonariusza, ale wydaje mi się, że pański listonosz musiał być pijany.

Swoją drogą dziwne jak bardzo można się pocić czując lodowate ciarki...

- Nie mam i nigdy nie miałem na pokładzie czarnego gumowego pontonu. Proszę wziąć do ręki lupę, sierżancie, i szukać. Jeśli pan znajdzie podobny ponton, podaruję panu brązową drewnianą szalupę ratunkową, umocowaną na rufie „Firecresta”.

Twarz sierżanta drgnęła. Widziałem, że stał się mniej pewny siebie.

- Czy pan nie opuszczał pokładu statku?

- Ależ tak! Opuszczałem. W szalupie ratunkowej. Udałem się w okolice wyspy Garve, znajdującej się w cieśninie, aby zebrać okazy pewnych interesujących mnie alg. Mogę je panu pokazać. Pragnę również podkreślić, sierżancie, że nie spędzamy tutaj wakacji.

- Nie chciałem pana obrazić.

W ten sposób z piedestału plutokraty zszedłem w szeregi zwykłych, zrzeszonych w związku zawodowym pracowników. Sierżant jakby troszkę zmiękł.

- Wzrok listonosza - powiedział - nie jest już taki, jaki był kiedyś, a w świetle zachodzącego słońca wszystko nabiera czarnej barwy. Z pewnością nie jest pan człowiekiem, który ląduje na wysepce w przesmyku w celu przecięcia linii telefonicznych łączących Torbay ze stałym lądem.

Stonoga znowu zaczęła galopować po moim kręgosłupie. A więc odcięci od lądu. Okoliczności bardzo wygodne dla przeprowadzenia pewnych operacji. Nie straciłbym wiele czasu na odnalezienie sprawcy tego czynu. Nie był to z pewnością Pan Bóg.

- Czy naprawdę pan sądzi, że to ja zrobiłem? Czy pan mnie podejrzewa?

- Nie mamy prawa niczego pominąć, drogi panie. Jak pan wie, przed odnalezieniem sprawcy wszyscy są podejrzani.

Był wyraźnie zażenowany. Należałem przecież nie tylko do ludzi pracujących, ale przede wszystkim do ludzi będących w służbie rządu. Człowiek pracujący dla rządu jest ipso facto człowiekiem godnym szacunku i zaufania.

- Mam nadzieję, że nie będzie pan stawiał nam przeszkód, jeśli rzucimy okiem na wnętrze statku - odezwał się jeden z celników łagodniejszym głosem. - Druty zostały przecięte, prawda? Gdyby panowie byli sprawcami tej kradzieży - powiedzmy, że istnieje taka szansa, choćby jedna na milion - i gdybyśmy nie przeprowadzili rewizji, bylibyśmy nie w porządku w stosunku do naszej administracji. Zresztą, to zwykła formalność.

- Za nic w świecie nie chcę robić panom przykrości, panie... nie pamiętam nazwiska?

- Thomas. Dziękuję panu. Czy może pan mi pokazać dokumenty statku?

Mogłem. Naturalnie mogłem.

- Dziękuję bardzo. - Podał je młodszemu celnikowi.

- Doskonale - ciągnął dalej. - Gdzie mój kolega będzie mógł pracować? Ach, prawda, w tej kajucie. Czy mój towarzysz, pan Durran, będzie mógł zająć sterówkę, by zrobić fotokopie? Nie zajmie to nawet pięciu minut.

- Ależ proszę! Ale wydaje mi się, że tutaj byłoby mu wygodniej.

- Jesteśmy nowocześni. Mamy ze sobą mały przenośny aparat do fotokopii, który pracuje w ciemności. Czy możemy zacząć na przykład od laboratorium? Powiedział - formalność. Była to jednak najbardziej nieformalna rewizja, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Po pięciu minutach przyszedł do nas na rufę Durran ze sterówki. Razem z Thomasem przeczesali statek, jakby szukali Koh-i-noora, tak na początek. Musiałem im tłumaczyć, do czego służy każdy przyrząd elektryczny lub mechaniczny znajdujący się w kabinie na rufie. Zaglądali do wszystkich schowków i szaf. Szukali wśród lin i odbijaczy w dużym schowku na rufie, z tyłu, za laboratorium, i dziękowałem Bogu, że nie schowałem tam pontonu, silnika i ekwipunku płetwonurka, jak to pierwotnie zamierzałem. Sprawdzili nawet toaletę, znajdującą się na naszej rufie. Tak jakbym tam mógł wrzucić Koh-i-noora.

Najwięcej jednak czasu poświęcili maszynowni. To fakt, zasługiwała na specjalną uwagę. Wszystko w niej było nowe, błyszczące: dwa potężne diesle po sto koni każdy, generator prądu, szereg pomocniczych prądnic, pompy, rury ogrzewania, rezerwuary paliwa, wody i oleju i wreszcie dwa długie szeregi akumulatorów, którymi szczególnie interesował się Thomas.

- Ma pan tutaj olbrzymią rezerwę energii, panie Petersen - zauważył.

Zdążył już poznać moje nazwisko, choć nie to, które otrzymałem po urodzeniu.

- Do czego jest panom potrzebne tyle energii?

- O, jest jej jeszcze zbyt mało. Proszę spróbować rozruszać te dwa silniki ręcznie. Mamy osiem silników elektrycznych w laboratorium, a kiedy są one używane w porcie, nie możemy uruchamiać silników lub generatorów dla uzyskania energii. Za dużo zakłóceń. Ciągły odpływ. Prócz tego centralne ogrzewanie, pompy do zimnej i gorącej wody, radar, radia, automatyczny pilot, sonda, światło nawigacyjne...

- Dostyc, dostyc - przerwał Thomas, który nagle stał się bardzo uprzejmy. - Prawdę mówiąc nie znam się zbyt dobrze na statkach. Przejdźmy do następnego pomieszczenia.

Ciekawe, ale dalszy ciąg tej inspekcji trwał bardzo krótko. Po powrocie do kabiny sternika stwierdziłem, że Hunslettowi udało się przekonać siły policyjne Torbay, by skorzystały z zapasów „Firecresta”. McDonald nie stał się wprawdzie jowialny, ale był bardziej ludzki niż po wejściu na

statek. Syn jednak pozostał w dalszym ciągu sztywny. Prawdopodobnie nie pochwalał tego, że ojciec zbyt szybko brata się z potencjalnymi przestępcami. O ile inspekcja mesy była zaskakująco krótka, to inspekcja dwu dziobowych kabin - wręcz pobieżna.

- Proszę mi wybaczyć, że powitałem panów nie bardzo uprzejmie. Lubię sobie pospać. Może wypiją panowie z nami przed odejściem.

- Z przyjemnością - odpowiedział Thomas. - Nie chcemy być nieuprzejmi.

Thomas nawet nie spojrział na sterówkę. Zajrzał do jednej z szafek pokładowych, ale resztę zostawił w spokoju. Byliśmy czysti. Uprzejme pożegnanie obu stron i już ich nie było.

- Ciekawe! - powiedziałem.

- Co?

- Ich motorówka. Nie zauważył pan, do czego była podobna?

- Nie. A zresztą było ciemno jak w kominie.

Hunslett był wyraźnie zdenerwowany, a może tylko tak samo niewyspany, jak i ja.

- Właśnie o to chodzi. Nie miała świateł pozycyjnych, reflektorów, kabina była nieoświetlona... Tylko nafosforyzowana tarcza kompasu stanowiła jaśniejszą plamę na tle czerni.

- Sierżant McDonald pracuje tutaj już od ośmiu lat. Czy byłoby panu potrzebne światło, aby przejść się po własnym salonie?

- Nie. Ale na ogół w moim salonie nie stoi na kotwicy dwadzieścia statków, zmieniających, co chwila pozycję w zależności od wiatru i prądu. Drogi Hunslett, w moim salonie prądy nie spowodowałyby zmiany kierunku moich kroków. Wie pan o tym, że zaledwie trzy statki w naszej okolicy mają zapalone światła pozycyjne. McDonald musi oświetlać sobie drogę, aby wiedzieć, dokąd płynie.

Była to prawda, trafiłem w dziesiątkę. Tam, skąd dochodził coraz słabszy odgłos silnika potężnej motorówki naszych gości, pokazał się snop białego światła, który niczym sztylet przeciął czerń nocy. Pochodził z reflektora o średnicy, co najmniej stu dwudziestu pięciu milimetrów. Oświetlił jacht, stojący sto metrów przed nim, potem skierował się na prawo, gdzie odnalazł inny statek, następnie omiótł lewą stronę powierzchni morza, by znów powrócić do punktu wyjścia.

- Powiedział pan: ciekawe... - szepnął Hunslett. - Wydaje się, że dobrze pan dobrał słowo. Co należy myśleć o tak zwanych policjantach z Torbay?

- Pan przecież dłużej ode mnie rozmawiał z sierżantem. Ja wtedy wędrowałem po kutrze z Durranem i Thomasem.

- Wolałbym, żeby to byli przebrani policjanci. W pewnym sensie uprościłoby to całe

zagadnienie. Wydaje mi się jednak, że są oni jak najbardziej autentyczni. McDonald sprawia wrażenie najbardziej typowego starego policjanta. Z takim właśnie, zarówno ja, jak i pan, spotykaliśmy się w życiu wiele razy.

- Zgadza się, że on wygląda na uczciwego i sumiennego policjanta. Wydaje mi się, że nie bardzo się orientował, w czym rzecz, nabrano go tak samo jak nas. Przynajmniej do tej chwili.

- Niech pan mówi tylko za siebie.

- Zachowanie się Thomasa w maszynowni dało wiele do myślenia. Nie było pana przy tym. Może to z mojej strony niepotrzebna obawa, ale przypomniało mi się coś w momencie, kiedy nie potrafiliśmy rozpoznać ich motorówki. W maszynowni powiedział do mnie: „Statki? Nie znam się na nich, to nie moja specjalność?”. Prawdopodobnie zląkł się, że zadał mi zbyt wiele pytań i chciał mnie jakoś uspokoić. Statki to nie jego specjalność! Celnik, który nie zna się na statkach! Spędza przecież całe życie na pokładzie, myszkuje po wszystkich zakamarkach. Celnik portowy zna się lepiej na statkach od projektantów. Czy pan zwrócił uwagę na ich mundury? Musiały pochodzić od krawca z Carnaby Street.

- Celnicy na ogół nie chadzają w zaplamionych mundurach.

- Naturalnie, że nie! Ale ci mieli swoje na sobie od dwudziestu czterech godzin. „Firecrest” był ich trzynastym statkiem! Czy mógłby pan dokonać dwunastu rewizji nie naruszając kantu spodni? Wydaje mi się, że włożyli na siebie mundury zdjęte z wieszaków tuż przed przybyciem do nas.

- Co jeszcze mówili? - Hunslett powiedział to tak cicho, że doszedł mnie cichnący łoskot silnika, który widocznie zmniejszył obroty. Zobaczyłem również reflektor, oświetlający wejście do portu w Torbay. - Czy coś ich specjalnie interesowało?

- Właściwie wszystko ich interesowało. Ale chwileczkę! Wydaje mi się, że Thomasa szczególnie zaciekały nasze akumulatory i olbrzymia rezerwa energii.

- Tak, ma pan rację. Czy zauważył pan, z jaką łatwością nasi przyjaciele celnicy wskoczyli do swojej motorówki?

- No, przecież robili to tysiąc razy.

- Zauważyłem również, że nic nie mieli w rękach. Innymi słowy, Durran pozostawił u nas swój aparat do fotokopii.

- Fotokopiarka. Starzeję się. Fotokopiarka. Standardowe wyposażenie. Akurat. Jeśli nasz jasnowłosy przyjaciel nie był zajęty robieniem kopii, to musiał robić, co innego.

Popędziliśmy do sterówki. Hunslett wyciągnął największy śrubokręt ze skrzynki z narzędziami i w ciągu minuty odkręcił pokrywkę radionadajnika. Przez pięć sekund patrzył na odsłonięty nadajnik, potem równie długo na mnie i zaczął z powrotem mocować pokrywę. Było pewne, że upłynie wiele czasu, nim nadajnik będzie znowu zdalny do użytku.

Patrzyłem przez bulaj sterówki na okalające nas ciemności. Wiatr wzmagał się. Na czarnej wodzie jaśniały białe grzywy łamiących się fal nadchodzących z południowego zachodu. Brutalne szarpanie łańcucha kotwicznego wstrząsało „Firecrestem”, który tańczył na fali walcząc z prostopadłym do wiatru prądem. Umierałem ze zmęczenia, a mimo to dostrzegłem wyciągniętą w moim kierunku rękę Hunsletta z pudełkiem papierosów.

- Każdy ma swój zawód - zauważyłem.

- Co?

- Jeżeli się odnosi pewne sukcesy w jakiejś dziedzinie, na przykład w duszeniu, nie należy interesować się innymi specjalnościami, takimi jak uszkodzenie radioaparatu. Teraz wreszcie rozumiem, dlaczego mój kark zareagował, kiedy Durran się do mnie zbliżył. Kiedy i w jaki sposób pan się skaleczył?

- Ależ ja się w ogóle nie skaleczyłem!

- Mimo to ma pan krew na ręku. Czy pan zauważył, że Durran ani na chwilę nie zdjął rękawiczek? Nawet wówczas, kiedy trzymał kieliszek. To niezły aktor. Miał wytworny akcent południowy na pokładzie „Nantesville” i znakomity północnoirlandzki na pokładzie „Firecresta”. Ciekawe iloma jeszcze akcentami potrafi się posługiwać. Myślałem, że jest lekko otyły, a tymczasem jest po prostu potężnie umięśniony. Zauważył pan, że nie zdjął rękawiczek, nawet, gdy pił?

- Nie zauważyłem. Jeśli to był Durran, to, dlaczego nie zwałił nas z nóg? Przede wszystkim pana - świadka numer jeden.

- Nie jest pan w formie, Hunslett. Miał po temu dwa powody. Przede wszystkim nie mógł z nas wyprać flaków w obecności policjantów, którzy są prawdziwymi policjantami. Chyba, że i ich również by zamordował. Tego jednak nie zrobiłby żaden trzeźwo myślący człowiek, a nasi przyjaciele z całą pewnością nie są szaleńcami.

- No dobrze, ale w takim razie, po co przyprowadzili ze sobą policjantów?

- Towarzystwo policjantów, mój drogi, sprawia, że tego rodzaju akcja nabiera charakteru oficjalnego. Gdy czapka umundurowanego policjanta wylania się znad okrężnicy statku podczas ciemnych godzin nocnych, nie wali się w tę czapkę knaga. Zaprasza się przedstawiciela władzy na pokład. Kogo innego można byłoby zdzielić, szczególnie, gdy się ma nieczyste sumienie.

- Zgoda. A druga przyczyna?

- Imrie wysyłając Durrana, zrobił test. Wprawdzie test bardzo niebezpieczny, ale... Posłał go wprost w paszczę wilka, aby sprawdzić, czy wilk go rozpozna.

- Durran?

- Tak. Zapomniałem o tym panu powiedzieć, ale podczas operacji na „Nantesville” skierowałem światło latarki na jego twarz. Nie widziałem jej dokładnie, po prostu jasna plama z

przymrużonymi oczami za podniesioną ręką. Zresztą, prawdę mówiąc, patrzyłem dużo niżej, tam gdzie chciałem uderzyć. O tym jednak ci nicponie nie wiedzieli. Chcieli przekonać się, czy poznam mojego napastnika. Gdybym go poznał, musiałbym rzucić w niego czymś twardym i zażądać, by policjanci go aresztowali - gdyż - jak mówi stare porzekadło - kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie... Stał się jednak cud, nie poznałem go. Są o tym teraz przekonani. Nie ma, bowiem na świecie takiego aktora, który by mógł tak odegrać swoją rolę i nie drgnąć, stojąc twarzą w twarz z facetem, który zasztyletował dwóch ludzi, a jego samego o mało nie udusił. Jednym słowem, drogi Hunslett, kryzys minął. Konieczność zlikwidowania nas odłożono na później. Ponieważ nie poznałem Durrana, nie rozpoznam również innych ludzi z „Nantesville” i nie będę mógł przetelegrafować ich rysopisów do Interpolu.

- A więc w jakiś sposób wykaraskaliśmy się z całej sprawy?

- O nie! Oni są w dalszym ciągu na naszym tropie.

- Powiedział pan przecież, że...

- Mówię, że są na naszym tropie. Zrewidowali kajutę rufową „Firecresta” bardzo dokładnie, tak jakby zgubili tam szczęśliwy los na loterię. I nagle, podczas wizyty w maszynowni, przestali się interesować statkiem. Inaczej mówiąc, typ o nazwisku Thomas znalazł to, czego szukał. Widział go pan później w mesie, kabinach na dziobie, na głównym pokładzie. Wyraźnie przestało to go wszystko wzruszać.

- Ale co? Czy coś w związku z akumulatorami?

- Nie. To, co mu powiedziałem, przekonało go, przynajmniej tak to odczułem.

- A więc oznacza to, że powrócą?

- Tak, powrócą.

- Czy wyciągnąć rewolwery?

- Mamy jeszcze czas. Wiedzą, że jesteśmy odcięci od świata. Statek z Glasgow przychodzi do Torbay dwa razy w tygodniu. Był tutaj dziś rano. Nie powróci przed upływem trzech, czterech dni. Linie telefoniczne są przecięte i - może pan mieć zaufanie do Imriego - naprawa połączeń potrwa dosyć długo. Nasz nadajnik jest uszkodzony. Bez możliwości kupienia gołębi pocztowych w Torbay, a takich tam nie ma, nie możemy się skontaktować z nikim w całej Anglii.

- Zapomina pan o „Sangri-la”.

Był to jacht stojący na kotwicy niedaleko od nas. Biały, cały oświetlony, o długości trzydziestu metrów. Gdyby jego właściciel płacił za niego czekiem w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów, prawdopodobnie nie otrzymałby wiele reszty.

- Sądzę, że na tym jachcie znajduje się supernowoczesna radiostacja - ciągnął Hunslett. - Inne statki są dużo mniejsze. Wydaje mi się, że z wyjątkiem dwóch czy trzech, nie mają radiostacji.

- Jak pan sądzi, Hunslett, ile stacji radiowych będzie funkcjonować jutro w całej zatoce Torbay?

- Jedna.

- Tak, tylko jedna. Nasi przyjaciele zajmą się pozostałymi. To jest ich sprawa, a my, niestety, nie możemy zaalarmować naszych sąsiadów. Bylibyśmy zdemaskowani.

- Towarzystwo Ubezpieczeniowe zamontuje im nowe radiostacje, to stosunkowo niewielki dla nich wydatek. - Spojrzał na zegarek - Jest dokładnie piąta. To chyba najlepsza pora, aby wyrwać ze snu wuja Arthura. Prawda, Calvert?

- Naprawdę trudno odłożyć to na później.

Hunslett włożył gruby płaszcz i ruszył w kierunku drzwi.

- Pospaceruję po pokładzie, gdy pan będzie rozmawiał. Na wszelki wypadek... I wolałbym mieć rewolwer. Nasi przyjaciele, być może, zechcą powrócić wcześniej, niż na to liczymy. Od razu po wysadzeniu policjantów na ląd. Sierżant McDonald potwierdził te wizyty. Czyli - stacje radiowe tych jachtów już nie działają.

- Nie wydaje mi się, Hunslett. Inne statki są dużo mniejsze od „Firecresta”. Tylko jeden z nich, poza nami, ma osobną sterówkę. Na pozostałych nadajniki będą pewnie w głównej kabine mieszkalnej... Durran nie mógłby uszkodzić aparatury przed zlikwidowaniem załogi. A pamiętajmy, że na to nie pozwoliłaby mu obecność McDonalda.

- Czy chce się pan założyć o emeryturę? Przecież McDonald nie musiał koniecznie wchodzić na pokład.

- Ja pewnie nie dożyję emerytury... Bierz rewolwer.

„Firecrest” liczył sobie zaledwie trzy lata. Był zbudowany w stoczni w Southampton i wyposażony przez zakłady radiowe, którym dostarczono plany wuja Arthura. Nie muszę, dodawać, że zakładom tym polecono zachowanie pełnej tajemnicy. Plany, o których mówiłem, bynajmniej nie były owocem płodnego umysłu naszego szefa; pochodziły z biura projektowego stoczni japońskiej, która zbudowała podobny „statek rybacki” na zlecenie jakiegoś Indonezyjczyka. Pewnego dnia brytyjska fregata odnalazła tenże „rybacki statek” u brzegów malajskich. Miał awarię. Główny mechanik fregaty udał się na pokład i ku swemu zdziwieniu stwierdził, że dwa bliźniacze silniki nawaliły w tym samym czasie. Dokładne ich skontrolowanie doprowadziło do wniosków, które spowodowały, że wuj Arthur skierował zamówienie na podobną jednostkę do stoczni w Southampton, a indonezyjską załogę odprowadził do Singapuru, gdzie znalazła się w obozie jenieckim.

Kariera „Firecresta” przebiegała różnie, nie zawsze w sposób chwalebny. Krążył, zupełnie zresztą niepotrzebnie, po Bałtyku, aż pewnego dnia władze w Leningradzie i Kłajpedzie ogłosiły go „persona non grata” na tych wodach i odprawiły do Anglii. Można sobie wyobrazić, jaka wściekłość ogarnęła wuja Arthura, tym bardziej że musiał wysłuchać reprimendy skąpego podsekretarza stanu,

dotyczącej zarówno bałtyckiej ekspedycji, jak i ogromnych kosztów budowy statku. Przez pewien czas „Firecrest” pływał pod banderą celników i obrony przybrzeżnej do walki z przemytnikami. Ale ci szybko oddali go wujowi bez słowa podziękowania. Był to bowiem okres, w którym wielki przemyt należał do historii. Wreszcie pojawiła się obecna sprawa i wuj Arthur, nastrojony szczególnie optymistycznie, pomyślał sobie, że nareszcie „Firecrest” będzie mógł - spełniając swoje zadanie - wykazać, jak potrzebna była jego budowa. Niestety! Jego rozczarowanie sięgnie zenitu po otrzymaniu mojego raportu.

Oryginalność konstrukcji „Firecresta” polegała na istnieniu dwóch śrub i dwóch wałów rozrządu, ale tylko jednego silnika. Ten drugi silnik był wyposażony w podwodny dodatkowy zawór wydechowy. Wystarczyło wyłączyć pompę paliwową, odkręcić cztery nakrętki (inne były fałszywe), aby podnieść górną część lewego motoru wraz z jego wtryskiwaczami, przewodami paliwa itp. Wówczas ukazywał się potężny, ultranowoczesny nadawczo-odbiorczy aparat radiowy, zajmujący ponad osiemdziesiąt procent objętości fałszywego karteru. Za pomocą tego aparatu i teleskopowej anteny o długości dwudziestu metrów, ukrytej w jednym z masztów kutra, można było nawiązać łączność nawet z Księżycem. Na razie nie mieliśmy jednak zamiaru nawiązywać łączności z Księżycem, tylko z wujem Arthurem, którego biuro oraz mieszkanie znajdowały się obok siebie w Kingsbridge w Londynie.

Pozostałe dwadzieścia procent pustej objętości karteru zajmowała kolekcja różnych artykułów i przedmiotów, które zdziwiłyby przynajmniej zastępcę komisarza Scotland Yardu. Kilka dużych pakietów specjalnie dla nas sporządzonych zestawów wybuchowych, zawierających amatoł, inicjatory, chemiczne detonatory i miniaturowe urządzenia do opóźniania wybuchów o pięć sekund lub pięć minut.

Całość wyposażona w specjalne przyssawki. Torby z pełnym ekwipunkiem włamywaczy i naturalnie komplet różnych wytrychów. Kilka aparatów podsłuchowych, doskonałych do wystrzelenia za pomocą zwykłej rakiety na dość dużą nawet odległość. Słoiki z pastylkami, dzięki którym byłoby możliwe uśpienie co najmniej plutonu na dowolny czas. Cztery rewolwery z pokaźnym zapasem amunicji; dwa lugery i dwa niemieckie liliputy o kalibrze 4,25 - najmniejsze i bardzo skuteczne pistolety automatyczne, które można ukryć w dowolnym miejscu ubrania, nawet w rękawie, pod warunkiem, oczywiście, że garnitur nie jest szyty na miarę na Carnaby Street.

Hunslett wziął lugera, sprawdził magazynek i wyszedł. Nie dlatego, że usłyszał skradające się kroki na pokładzie, a po prostu dlatego, żeby nie być obecnym podczas mojej rozmowy z wujem Arthurem. Przyznam się, że ja sam oczekiwałem tej rozmowy co najmniej z niepokojem.

Wyciągnąłem dwa izolowane kable zasilania aparatu i połączyłem je ostrymi jak piła uchwyty sprężynowymi z akumulatorami, włożyłem na uszy słuchawki, włączyłem urządzenie do automatycznego wezwania i czekałem. Częstotliwość była wyregulowana i tak nastawiona, że nie mógł na nią natrafić żaden radioamator-krótkofalowiec.

Po chwili zamigotała czerwona lampka odbiornika. Wyregulowałem odbiór, elektroniczne oko zapłonęło zielonym, intensywnym światłem.

- Tu SPFX, SPFX.

- Dzień dobry. Tu Caroline. Chciałbym rozmawiać z szefem.

- Proszę zaczekać.

Wuj spał jeszcze. Szkoda. Wiedziałem, że nagle przebudzony, będzie w nie najlepszym humorze. Upłynęły trzy minuty.

- Dzień dobry. Caroline. Tu Annabelle.

- Dzień dobry. Moja pozycja 481, 281.

Byłoby próżną pracą szukać tych współrzędnych, nawet na mapach wojskowych; można je było znaleźć tylko na dwunastu specjalnych egzemplarzach map, z których jedną część miałem ja, a drugą wuj Arthur.

- Słucham pana, Caroline. Proszę meldować.

- Wczoraj wieczorem odnalazłem zaginiony statek. W odległości sześciu do ośmiu kilometrów od miejsca, w którym się teraz znajduję. Byłem na jego pokładzie.

- Gdzie pan był?

- Na jego pokładzie. Poprzednia załoga zniknęła. Zastępuje ją nowa, dużo mniejsza.

- Odnalazł pan Betty i Dorothy?

Nasze emisje przechodziły przez cały system zagłuszania i wszelki podsłuch byłby bardzo mało skuteczny, ale wuj Arthur lubował się w używaniu wszelkiego rodzaju pseudonimów i prowadzeniu rozmowy bardzo oględnie. Nosiliśmy wszyscy imiona kobiet, których pierwsze litery odpowiadały literom naszych nazwisk. W ten sposób wuj Arthur stał się Annabelle, Calvert - Caroline, Baker - Betty, Delmont

- Dorothy, a Hunslett - Harriet. W sumie brzmiało to jak zbiór nazw cyklonów na Morzu Karaibskim.

- Tak. Odnalazłem je.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza.

- One już nie powrócą do domu, Annabelle.

- Ach tak! Nie powrócą - powtórzył odruchowo.

Zapadła przedłużająca się cisza. Zaczynałem już nabierać pewności, że łączność została przerwana, kiedy wreszcie doszedł mnie jego głos, jakby z oddali, całkowicie pozbawiony wyrazu...

- Ostrzegałem cię, Caroline.

- Tak, ostrzegam mnie pan.

- A statek?

- Odpłynął.

- Dokąd?

- Nie wiem. Prawdopodobnie na północ.

- Prawdopodobnie...

Wuj Arthur nigdy nie podnosił głosu. Mogłem sobie jednak wyobrazić jego wściekłość. W końcu to on sam naruszył zasady dyskrecji.

- Dokąd na północ? ... W kierunku Islandii? Fiordów norweskich? Żeby przeładować swój ładunek na inny statek gdzieś pośrodku Atlantyku albo na Morzu Barentsa, na przestrzeni miliona mil kwadratowych! Zgubił pan statek! Mimo wszystkich trudów, straconego czasu, mimo dokładnych planów działania, olbrzymich wydatków. Zgubił pan statek!

Mogłem sobie darować tę kwestię o planach, zwłaszcza, że to ja sam je opracowałem.

- Zgubił pan również Betty i Dorothy!

A więc znów zaczął używać pseudonimów. Oznaczało to, że odzyskał zimną krew.

- Tak, Annabelle. Zgubiłem. Ale to nie wszystko, jest jeszcze gorzej. Czy pan mnie raczy wysłuchać? - Teraz ja zacząłem się złościć.

- Słucham.

Opowiedziałem mu zakończenie całej historii.

- Rozumiem - podsumował. - Stracił pan statek. Także Betty i Dorothy. Nasi przeciwnicy pana zdemaskowali. Tajemnica, która gwarantowała powodzenie całej akcji, została rozszyfrowana. Pańskie możliwości... pewność, że zadanie zostanie wykonane, jest w tej chwili absurdalna... Proszę stawić się w moim biurze o dziewiątej wieczorem. Proszę powiedzieć Harriet, że ma odprowadzić kuter do portu.

- Dobrze, admirale. - A, do diabła z jego Annabelle! - Oczekiwałem tego. Trudno, nawaliłem. Rozczarowałem pana. Spodziewam się wobec tego wyrzucenia.

- Dziś wieczór o dziewiątej, Caroline. Będę czekać.

- Będzie pan długo czekać, Annabelle.

- Co to znaczy?

Gdyby głos wuja Arthura potrafił nabierać różnych akcentów, prawdopodobnie byłby raz poważny, raz słodki, innym znów razem groźący. Niestety, wuj dysponował tylko jednym tonem, monotonnym i jakby bezosobowym, za to mającym więcej wagi i siły niż głos najlepszego dramatycznego aktora.

- Nie ma tutaj lotniska, Annabelle. Statek z Glasgow nie przybędzie przed upływem trzech, do czterech dni. Burza wzmaga się. Nie zaryzykuję wyprowadzenia łodzi poza falochron. Innymi słowy, jestem tutaj zablokowany.

- Czy uważa mnie pan za durnia? Proszę natychmiast zejść na ląd. O dwunastej weźmie pana na pokład helikopter ze służby ratowniczej. Dziś wieczór o dziewiątej u mnie! I proszę mi nie dać czekać zbyt długo!

Spróbowałem jednak coś na nim wymusić.

- Czy nie może mi pan udzielić dodatkowych dwudziestu czterech godzin, Annabelle?

- Proszę mi nie zajmować czasu. Do widzenia.

- Bardzo pana o to proszę, admirale.

- W tej chwili jest pan już śmieszny. I zabiera mi niepotrzebnie czas. Do widzenia.

- Do widzenia. Być może się zobaczymy, ale dziwiłbym się, gdyby tak się stało.

Przerwałem dopływ prądu do mikrofonu, zapaliłem papierosa i czekałem. Potrzebował zaledwie pół minuty, aby mnie wezwać. Kazałem mu czekać drugie pół, zanim odpowiedziałem. Byłem spokojny. Kości zostały rzucone, a wszelkie konsekwencje miałem w nosie.

- Caroline, czy to pan?

Wyczułem lekkie podniecenie w jego bezosobowym głosie. A to był fakt godny odnotowania.

- Tak, to ja.

- Co pan powiedział przed chwilą, przed rozłączeniem się?

- „Do widzenia”. Pan powiedział „do widzenia”, więc i ja odpowiedziałem „do widzenia”.

- Raczy pan ze mnie nie żartować. Powiedział pan...

- Jeżeli chce mnie pan zmusić, abym wsiadł do pańskiego helikoptera, niech pan wyśle razem z pilotem uzbrojonego strażnika. I to po zęby. Mam jeszcze w kieszeni mojego lugera i jak pan wie, umiem się nim dobrze posługiwać. Jeśli zabiję policjanta i stanę przed sądem przysięgłych, znajdzie się pan razem ze mną na ławie oskarżonych, a to z tej prostej przyczyny, że nie widzę prawa, które pogwałciłem - co przy swoich stosunkach mógłby pan próbować mi wmówić - a które by usprawiedliwiało porwanie mojej osoby przy użyciu broni. Proszę przyjąć poza tym do wiadomości,

że nie czuję się już pana podwładnym. Moja umowa przewiduje, że mogę w każdej chwili podać się do dymisji, jeśli nie biorę udziału w operacji. Odwołuję mnie pan do Londynu, a więc jestem wolny. Składam rezygnację. Otrzyma pan mój list najbliższą pocztą. Baker i Delmont nie byli pańskimi przyjaciółmi, lecz moimi, i to od chwili, kiedy zacząłem pracować w tym pańskim interesie. Jeśli jest pan na tyle odważny, aby bawić się w sędziego i czynić mnie odpowiedzialnym za ich śmierć, podczas gdy nic nie dzieje się bez pańskiej zgody, a więc i bez pańskiej odpowiedzialności - to proszę bardzo, może pan być tym sędzią. Poza tym chce mnie pan pozbawić ostatniej szansy wyrównania rachunków z naszymi przeciwnikami. Mam powyżej uszu tego całego kramu. Do widzenia.

- Nie tak szybko, Caroline... - Wyczułem w jego głosie coś jakby ostrożność, prawie zgodę. - Po co się pan aż tak podnieca?

Nikt jeszcze nigdy nie rozmawiał takim tonem z kontradmirałem, sir Arthurem Arnford-Jasonem, ale czułem, że nie zrobiło to na nim negatywnego wrażenia. Chytry jak lis, niezwykle przebiegły, o giętym umyśle, analizował wszelkie możliwe hipotezy z szybkością komputera. Prawdopodobnie zadawał sobie pytanie, czy nie prowadzę tu jakiejś gry, a jeśli tak, jak długo może w niej brać udział, aby wreszcie mnie pokonać i zapędzić w sytuację bez wyjścia.

- Jeżeli pragnie pan pozostać w tym rejonie - powiedział po dłuższej przerwie - to prawdopodobnie nie po to, by ronić łzy nad sobą. Ma pan chyba jakiś pomysł?

- Tak, admirale. - Chciałbym, na Boga, sam wiedzieć, jaki to pomysł mi zaświtał w głowie.

- Daję panu dwadzieścia cztery godziny, Caroline.

- Czterdzieści osiem.

- Niech będzie. Czterdzieści osiem. Później wraca pan do Londynu. Mam pańskie słowo?

- Słowo.

- I... Caroline...

- Admirale?

- Nie zwróciłem uwagi na pański ton. Nie powracajmy już do tego.

- Nie. Proszę mi wybaczyć, admirale.

- Czterdzieści osiem godzin. Proszę mi zdawać relację codziennie, w południe i o północy.

Usłyszałem pstryknięcie w słuchawkach. Wuj Arthur przerwał połączenie. Wyszedłem na pokład. Jasna poświata na horyzoncie zwiastowała nadchodzący dzień. Zimna, ciężka mgła pędzona przez wiatr kładła się na powierzchni wzburzonego morza. „Firecrest” obracał się powoli, tańcząc wokół napiętego łańcucha kotwicznego. Łańcuch skrzypiał, zmieniając gwałtownie położenie. Zadawałem sobie pytanie, jak długo jeszcze ponton, silnik i ubranie płetwonurka, przywiązane liną

do łańcucha, będą bezpieczne.

Hunslett schował się przed wiatrem za tylną kajutę.

- Co pan myśli o tym? - spytał widząc mnie na pokładzie. Wskazał mi rufę „Sangri-la”, która błyszczała na morzu raz z naszej prawej burty, raz znów poza nami. Na mostku widać było światło.

- Prawdopodobnie ktoś cierpiący na bezsenność - odpowiedziałem. - Być może kapitan chce sprawdzić, czy kotwica trzyma statek. Nie sądzisz? A może nasi przyjaciele pieszczą radiostację „Sangri-la” za pomocą łomu? Albo po prostu światło pali się tam przez całą noc.

- Nie. Zapalili dziesięć minut temu. Proszę spojrzeć, teraz gaszą. Ciekawe. Jak poszło z wujem Arthurem?

- Nieźle. Najpierw mnie wyrzucił, ale potem zmienił zdanie. Udzielił nam czterdziestu ośmiu godzin zwłoki.

- Czterdzieści osiem godzin? Co pan chce zrobić w tak krótkim czasie?

- Bóg jeden wie. Na początek chcę się przespać. I panu radzę zrobić to samo. Jest już zbyt jasno na wizyty.

Przechodząc przez mostek Hunslett spytał mnie ni z tego, ni z owego.

- Co pan myśli o McDonalddie młodszym? Wydaje mi się...

- No, co się panu wydaje?

- Miał ponurą minę, był wyraźnie załamany... Nosi zbyt ciężki, jak na jego wiek, krzyż.

- Może po prostu nie lubi, kiedy go wyciągają z łóżka w środku nocy. A może ma jakieś sercowe komplikacje, ale nawet jeśli je ma, to życie miłosne młodszego McDonalda jest moim najmniejszym zmartwieniem. Dobranoc.

Powinienem był zwrócić większą uwagę na słowa Hunsletta. Dla jego własnego dobra.

WTOREK: OD DZIESIĄTEJ RANO DO DWUDZIESTEJ DRUGIEJ

Czuję potrzebę snu, jak zresztą wszyscy ludzie. Po dziesięciu godzinach odpoczynku, a nawet ośmiu, odnalazłbym się prawdopodobnie. Trudno byłoby mnie posądzić o optymizm w tych okolicznościach, ale byłbym z pewnością zdolny do poruszania się, myślenia, przewidywania, a mój umysł osiągnąłby swoją normalną - denną w opinii wuja Arthura, ale najwyższą, na jaką go było stać - sprawność. Niestety, nie było mi dane dziesięć godzin spokoju. Dokładnie w trzy godziny po zaśnięciu byłem już zupełnie przebudzony, a może... niezupełnie. Musiałbym być głuchy jak pień albo pod wpływem narkotyków lub martwy, aby nie zareagować na wrzaski i uderzenia pięścią, i to w odległości zaledwie dwudziestu centymetrów od mego lewego ucha.

- Ahoj, „Firecrest”! Ahoj! - I łup, łup, łup w burtę. - Czy mogę wejść na pokład? Ahoj! Ahoj!

Przekląłem tego impetycznego durnia z głębokości mego snu, wysunąłem drżące nogi na podłogę i dźwignąłem się z koi. Omal nie upadłem. Czuję się tak, jakby mi było brak jednej nogi. Kark bolał mnie straszliwie. Rzut oka w lustro potwierdził stan mego pełnego wyczerpania. Twarz blada, pełna zmarszczek, nieogolona, przekrwione i podkrążone oczy. Szybko odwróciłem głowę. Nie lubiłem takich widoków.

Otworzyłem drzwi po drugiej stronie korytarza. Hunslett spał, chrapiąc. Powtórzyłem operację: szlafrok z chińskiego jedwabiu, chustka na szyję. Dotknąłem grzebieniem włosów i wyszedłem na pokład. Wokół mnie świat był zimny, wilgotny, wietrzny, szary i paskudny. Dlaczego mnie zbudzono? Padał gwałtowny deszcz, krople odbijały się na wysokość kilku centymetrów od desek pokładu i niby śnieg pokrywały spienione fale. Wiatr zawodził żałośnie na niskich rejestrach w olinowaniu, a strome, szarpane przez wichry, prawie metrowe fale utrudniały drogę, były wręcz niebezpieczne dla średniej wielkości jachtu.

Ciekawe, że nie sprawiło to jednak najmniejszych trudności ani nie stanowiło niebezpieczeństwa dla jachtu, który dobił do burty „Firecresta”. Był mniejszy od „Firecresta” - choć na pierwszy rzut oka wydawał się równie duży - miał za to sterówkę pełną zegarów i instrumentów, których nie powstydziliby się samolot VC-10. Kabina obniżała się w kierunku rufy, na której drużyna futbolowa w komplecie mogłaby zażywać kąpieli słonecznych. Na pokładzie stało trzech marynarzy w czarnych ubraniach sztormowych, w czapkach podobnych do tych, jakie nosiła ongiś francuska marynarka, z czarnymi wstążkami spadającymi z tyłu. Dwaj z nich trzymali bosaki zaczezione o wsporniki listwy odbojowej, a dobre pół tuzina gumowych odbijaczy strzegło nienagannie czystego, białego lakieru motorówki przed zetknięciem z plebejską farbą „Firecresta”. Nie musiałem odczytywać nazwy łodzi - ani na rufie, ani na wstążkach marynarskich czapek - by zrozumieć, że stoi obok nas jednostka, która zwykle zajmowała większą część tylnego pokładu „Sangri-la”.

Pośrodku pokładu stał krępy mężczyzna w białym mundurze ze złotymi guzikami, typowy oficer marynarki. Trzymał w ręku niewielki parasol, którym osłaniał się od deszczu.

- No, wreszcie!

Nigdy jeszcze nie słyszałem osobnika, który by w tak doskonały sposób mówił przez nos.

- Nie spieszył się pan, co? A ja jestem przemoknięty, człowieku, przemoknięty!

Na białym, idealnie wyprasowanym mundurze istotnie widać było ślady kilku kropli deszczu.

- Czy mógłbym wejść na pokład?

Wskoczył, nie czekając na odpowiedź, ze zręcznością, której nie oczekiwałem od człowieka w jego wieku i jego tuszy. Wszedł do kajuty przede mną. Podążyłem za nim i zamknąłem drzwi.

Był niski, krępy, potężnie zbudowany. Twarz miał brązową od wiatru, podbródek kwadratowy, włosy szpakowate, brwi gęste, długi nos, wargi tak cienkie, że wyglądały, jakby miał usta zamknięte na błyskawiczny zamek. Liczył sobie chyba z pięćdziesiąt pięć lat. Obejrzał mnie od stóp do głów. Wydało mi się, że zrobiłem na nim dobre wrażenie. Nie okazał tego jednak.

- Bardzo mi przykro, że kazałem panu czekać. Za mało spałem. Przyszli celnicy w środku nocy. Później nie mogłem zasnąć.

Zawsze mów każdemu prawdę, jeśli jest szansa, że i tak wyjdzie na jaw, tak jak w tym wypadku. Daje to człowiekowi opinię prawdziwie uczciwego.

- Celnicy!

Zabrzmiało to, jakby chciał powiedzieć: „bzdura” lub coś w tym rodzaju, po czym zmitygował się i spojrzał na mnie ostro.

- Niestychane! - powiedział. - Ci ludzie są niemożliwi. O czwartej rano? Powinien pan ich nie wpuszczać na pokład, mało tego, posłać ich do diabła. Czego chcieli?

Sprawiał wrażenie człowieka, który miał również któregoś dnia do czynienia z celnikami.

- Szukali artykułów chemicznych, skradzionych z ciężarówki na szosie w pobliżu Torbay. Pomylili jednak adres.

- Idioci!

Wyciągnął do mnie dłoń, dając w ten sposób do zrozumienia, że temat celników został wyczerpany.

- Skouras! Sir Anthony Skouras.

- Petersen - odpowiedziałem ściskając jego dłoń.

Skrzywiłem się. Dłoń Greka nie była wprawdzie aż tak silna, ale za to ubrylantowana pierścieniami, które głęboko wcięły się w moją rękę. Nie zdziwiłbym się, gdyby nosił brylanty na wszystkich palcach, ale okazało się, że na kciukach ich jednak nie miał.

- Sir Anthony Skouras - powtórzyłem. - Wiele o panu słyszałem.

- Prawdopodobnie nic dobrego. Dziennikarze mnie nie kochają. Wiedzą o tym, że ich nie znoszę. Cypryjski armator, który zarobił miliony dzięki różnego rodzaju kombinacjom, twierdzą. To prawda. Rząd grecki kazał mi opuścić Ateny. To również prawda. Jestem naturalizowanym Brytyjczykiem, który kupił tytuł szlachecki. To również prawda. Za pomocą czego to wszystko uzyskałem? Po prostu działalność charytatywna - wszystko można kupić za pieniądze. Następnym razem będzie to prawdopodobnie tytuł barona, ale na razie nie czas na to. Poczekam, aż ceny spadną. Chciałbym posłużyć się waszą radiostacją. Widzę, że macie.

- Co?

Zmieniając błyskawicznie temat sprawił, że zaniemówiłem i w pierwszej chwili nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Pański aparat radiowy, mój drogi. Nie słucha pan informacji? Pentagon wstrzymał olbrzymie zamówienia wojskowe. Cena stali leci w dół. Muszę natychmiast, słyszy pan: natychmiast skontaktować się z moim maklerem w Nowym Jorku.

- Och, jak mi przykro. Oczywiście, proszę bardzo, ale... Nie ma pan własnego aparatu?

- Jest uszkodzony. - Jego wargi zamieniły się w cieniutki sznureczek. - To bardzo pilne, panie Petersen.

- Istotnie. Oto moja radiostacja. Czy będzie pan umiał z niej korzystać?

Uśmiechnął się do mnie zdawkowo. Wydaje się, że był zdolny tylko do takich uśmiechów. Radiostacja na „Sangri-la” miała prawdopodobnie wymiary wielkich organów. Czuję, że moje obiekcje nie miały żadnego sensu i sprawiły wrażenie, jakbym spytał pilota wielkiego odrzutowca pasażerskiego, czy potrafi usiąść za sterami małej awionetki.

- Mam nadzieję, że mi się uda, panie Petersen.

- Proszę mnie zawołać, kiedy pan skończy rozmowę. Będę w kabinie tuż obok. Wiedziałem, że mnie zawoła przed zakończeniem rozmowy, a raczej przed jej rozpoczęciem. Nie mogłem go uprzedzić, że aparat jest nie w porządku. Zastanawiałem się przez moment, czy się nie ogolić, ale zdecydowałem, że nie. To nie powinno potrwać długo. Rzeczywiście - nie trwało. Już po chwili w drzwiach ukazał się Skouras.

- Pański nadajnik jest uszkodzony, panie Petersen.

- O! Te stare aparaty sprawiają czasem trudności w obsłudze. Może ja...

- Jeśli mówię panu „uszkodzony”, oznacza to, że jest naprawdę nie do użycia.

- To ciekawe. Pracował...

- Niech pan sam spróbuje.

Wszedłem do kajuty, gdzie stała radiostacja i spróbowałem. Nic z tego. Kręciłem wszystkimi pokrętłami. Bez skutku.

- Prawdopodobnie uszkodzenie na linii zasilania - powiedziałem. - Pozwoli pan, że sprawdzę.
- Niech pan spróbuje odkręcić pokrywę.

Spojrzałem na niego z niesłychanym zdziwieniem.

- Sir Anthony, zdaje się, że wie pan więcej niż ja.
- Niech pan to zrobi. Zobaczy pan na własne oczy.

Odkręciłem pokrywę i zobaczyłem. Odegrałem doskonale komedię konsternacji i wzburzenia. Wreszcie stwierdziłem godnie:

- Wiedział pan. Skąd pan o tym wiedział?

- Przecież to oczywiste.

- Rozumiem - powiedziałem powoli - pańska radiostacja jest w podobnym stanie. Prawdopodobnie pan również miał w nocy gości.

- Tak. Byli też na „Orionie”.

Wargi mego rozmówcy znowu zniknęły.

- To ten wielki, niebieski kocz, stojący blisko brzegu. To oprócz nas jedyna jednostka w zatoce dysponująca radiostacją. Potrzaskana. Właśnie stamtąd wracam.

- Potrzaskana! Ich też? Kto, na miłość boską? Przecież to czyn szaleńca!

- Myśli pan? O, nie. Mam swoje zdanie na ten temat. Moja pierwsza żona... - Przerwał nagle, pokiwał głową i kontynuował cedząc słowa: - Chorzy umysłowo postępują irracjonalnie, działają na ślepo, bez celu. W tym przypadku jedynie z pozoru mamy do czynienia z czynem irracjonalnym, w rzeczywistości dokonano tego w sposób metodyczny i w pewnym określonym celu. Nic tutaj nie było dziełem przypadku. Sabotażysta przygotował się i doskonale wiedział, co i w jakim celu robi. Wydawało mi się z początku, że chciał mnie odciąć od Szkocji. Ale nie o to chodziło. Moja izolacja nic nikomu nie daje.

- Ale przecież mówił pan o giełdzie w Nowym Jorku...

- To naprawdę bagatelka, przyjacielu. Jasne, że nikt nie lubi tracić pieniędzy...

Pewnie, w każdym razie nie więcej niż kilka milionów funtów na raz - pomyślałem.

- O, nie, panie Petersen - ciągnął - to nie ja byłem celem tej akcji. W całej tej sprawie mamy

dwie osobistości, powiedzmy A i B. A uważa, że stały kontakt z kontynentem jest dla niego sprawą żywotną. B natomiast sądzi, że należy mu w tym przeszkodzić za wszelką cenę. Wobec tego stosuje wszystkie możliwe sposoby. Dziwne rzeczy dzieją się w Torbay. Wydaje mi się, że w grę wchodzi wielka stawka. Proszę mi wierzyć, w tych sprawach mam nosa.

Skouras nie był głupcem. Prawdę mówiąc, niewielu głupców staje się milionerami.

- Czy dał pan znać policji? - spytałem.

- Chcę to właśnie zrobić. Ale przedtem muszę zadzwonić, chyba że nasz przyjaciel rozwalił wszystkie budki telefoniczne na głównej ulicy.

- Zrobił więcej. Poprzecinał linie telefoniczne w przesmyku. Nie wiadomo, w którym miejscu.

Skouras spojrział na mnie, skierował się do drzwi, zatrzymał i na powrót zwrócił w moją stronę.

- Skąd pan wie?

- Policja. Towarzyszyła celnikom.

- Policja? Naprawdę ciekawe. A cóż ona tu robiła, na pokładzie? - Spojrzał mi prosto w oczy, tak jakby chciał mnie wysondować.

- Czy wolno mi zadać panu czysto osobiste pytanie, panie Petersen? Nie chcę być niedyskretny, ale co pan tu właściwie robi? Proszę mi tego pytania nie brać za złe. To kwestia eliminacji.

- Ależ skąd! Mój kolega i ja jesteśmy biologami. Ten kuter jest własnością Ministerstwa Rolnictwa i Rybołówstwa. Mamy na to wszelkie dowody.

- Biologia morska, jak się domyślam. Proszę sobie wyobrazić, że to mój konik. Będziemy musieli kiedyś na ten temat porozmawiać. Naturalnie, jeśli ma pan cierpliwość dla amatorów. - Z tonu jego głosu wyczułem, że myśli o czymś zupełnie innym. - Czy może mi pan opisać tego policjanta?

Zrobiłem to.

- To naprawdę on - powiedział. - Ciekawe, naprawdę ciekawe. Muszę z nim o tym pogadać. Ach, ten Archie!

- Archie?

- Sierżant McDonald, ów sierżant z pańskiego opowiadania. Spędzam już piąty sezon w Torbay. Ubóstwiam tę okolicę. Francuska Riwiera i Morze Egejskie to nędza w porównaniu z tym wybrzeżem. Znam tu wielu miejscowych urzędników. Czy był sam?

- Nie. Towarzyszył mu młody policjant. Podobno jego syn. Osobnik z gatunku smutnych.

- Peter McDonald. Zrozumiałby pan jego smutek, gdyby wiedział, że kilka miesięcy temu stracił dwóch braci, szesnastoletnich bliźniaków. Uczyli się w szkole w Inverness. Pewnego dnia wyruszyli w góry. Pochłonęła ich burza śnieżna. Czy teraz rozumie pan ich tragedię? Ojciec stara się nie okazywać bólu. Dobrze znałem tych dwóch chłopców, byli bardzo sympatyczni.

Próbowałem skomentować tę wiadomość, ale Skouras już nie słuchał.

- Uciekam, panie Petersen. Oddam sprawę w ręce McDonalda, choć wiem, że biedak wiele nie zdoła. Potem w krótki rejs.

Spojrzałem na ciemne chmury i na wzburzone morze.

- Dziwne dni pan wybiera na pływanie.

- Im pogoda gorsza, tym dla mnie lepiej. Kocham spokojne morze, tak jak wszyscy, ale stocznia w Clyde zrobiła mi nowe urządzenie stabilizacyjne, którego jeszcze nie miałem okazji wypróbować; przyплыliśmy dwa dni temu. Wydaje mi się, że właśnie dzisiaj jest doskonały dzień dla tego rodzaju prób. A jak pan sądzi? - uśmiechnął się do mnie wyciągając rękę. Proszę mi wybaczyć, że pana niepokoiłem. Prawdopodobnie uważa pan, że jestem grubianinem.. Wiele osób tak twierdzi. Czy zechciałby pan złożyć mi razem z kolegą wizytę na „Sangri-la”? Wypijemy drinka. Na morzu jadamy wcześniej, proszę przyjść o ósmej wieczór. Przyślę po panów motorówkę.

A więc nie zostaliśmy zaszczycony zaproszeniem na obiad. Szkoda, urozmaiciłoby to fasolę Hunsletta. Poza tym tego rodzaju zaproszenie musiałyby wzbudzić zazdrość u najbardziej znanych osób w kraju. Powszechnie wiadomo, że osoby z tak zwanych wyższych sfer, włączając w to arystokrację, uważają zaproszenie na wyspę, którą posiada Skouras u wybrzeży Albanii, za największy ewenement nie tylko roku, ale być może i życia.

Armator nie czekał na moją odpowiedź. Prawdopodobnie nie czekał na tego rodzaju odpowiedzi i miał całkowitą rację. Od dawna wiedział, że natura ludzka jest taka, jaka jest, i prawa, które ją kształtują, nie pozwalają na odmówienie jego zaproszeniu.

- Opowiada mi pan tutaj o swoim aparacie nadawczo-odbiorczym i pyta, co mogę w tej sprawie zrobić - podsumował McDonald-ojciec zmęczonym głosem. - Znam całą sprawę, panie Petersen. Sir Anthony Skouras mówił mi o tym szczegółowo pół godziny temu. Niedawno był u mnie również Cambell, właściciel „Oriona”. On także mi wiele na ten temat opowiedział.

- Niech pan będzie spokojny, nie jestem taki gadatliwy, chyba że policja i celnicy wyciągają mnie z łóżka w środku nocy. Przypuszczam, że nasi przyjaciele celnicy już odjechali.

- Tak. Jak tylko przetransportowali mnie na ląd. Służba celna jest prawdziwą plagą... Ale wracając do sprawy nadajników, przyznam się szczerze, że naprawdę nie wiem, co uczynić. Dlaczego, do diabła, to zrobili? I kto, do diabła, mógł sobie coś podobnego wymyślić?

- Właśnie o to chciałem pana spytać. I dlatego przybyłem.

- Panie Petersen - McDonald przybrał ton urzędowy. - Mogę wrócić na „Firecresta”, mogę

wziąć notes, mogę szukać śladu... Ale nie będę wiedział, w jakim kierunku mam prowadzić poszukiwania. Gdybym znalazł się na odciskach palców, na analizie, na mikrofotografii, może udałoby mi się cokolwiek odnaleźć. Jestem jednak wiejskim policjantem i nie potrafię sam jeden wykonać pracy wyspecjalizowanej brygady policji. To jest robota raczej dla służby śledczej. Mógłbym zadzwonić w tej sprawie do Glasgow, ale wątpię, czy zechcą wysłać detektywów, aby prowadzić śledztwo w sprawie kilku połamanych lamp.

- Stary Skouras ma długie ręce.

- Przepraszam?

- Jest potężny. Jeżeli pragnie śledztwa, śledztwo będzie przeprowadzone. Niech pan pamięta, że w razie potrzeby umie pokazać zęby i umie się nimi posłużyć.

- O, przepraszam! Nigdy Torbay nie gościło nikogo sympatyczniejszego. - Ten poczciwy, wiejski sierżant umiał doskonale ukrywać swoje uczucia, kiedy było mu to wygodne, ale tym razem naprawdę niczego nie ukrywał. - Z pewnością patrzemy inaczej na pewne sprawy. Nie ulega wątpliwości, że w interesach jest twardy jak skała i być może lepiej nie wgłębiać się w jego życie prywatne, jak to sugerują w gazetach. Ale to nie moja sprawa. Na wyspie Torbay nie znajdzie pan ani jednego człowieka, który byłby w stosunku do niego źle nastawiony.

- Pan mnie opacznie zrozumiał - powiedziałem grzecznie. - Zupełnie go nie znam...

- Ale my go znamy. Proszę na to spojrzeć - wskazał na wielką budowlę szwedzkiego typu położoną za mołem. - To nowe merostwo - dar sir Anthony'ego. A te sześć małych pawilonów, tam wysoko, na wzgórzu, jest przeznaczone dla starców. To jeszcze jeden prezent sir Anthony'ego. Za to wszystko zapłacił z własnej kieszeni. A kto przewozi młodzież Torbay na zabawy do Oban? Sir Anthony. Na „Sangri-la”. Kto zasila kasy stowarzyszeń charytatywnych? Kto zamierza zbudować tutaj stocznię, żeby zapewnić pracę naszej młodzieży teraz, kiedy rybołówstwo przybrzeżne zamiera?

- Doskonale, wszystko to przemawia na rzecz Skourasa. Jeśli zaadoptował Torbay, tym lepiej dla was. Ja natomiast byłbym szczęśliwy, gdyby kupił mi tylko jedną rzecz - nowy nadajnik.

- Panie Petersen, będę miał baczne oko na wszystko, ale nic więcej nie mogę obiecać. Jeśli coś zauważę, natychmiast pana zawiadomię.

Podziękowałem mu i wyszedłem. Nie robiłem sobie żadnych iluzji na temat wyników mojej interwencji, ale musiałem to uczynić. Byłoby dziwne, gdybym nie dołączył swego głosu do chóru skarżących się.

Byłem bardzo zadowolony, że to zrobiłem.

W południe słyszałem Londyn bardzo źle. Po pierwsze fale radiowe zanikają w ciągu dnia, nie rozchodząc się tak dobrze jak w nocy, po drugie nie mogłem skorzystać z teleskopowej anteny. Głos wuja Arthura brzmiał niezwykle urzędowo.

- Odnaleźliśmy naszych przyjaciół - oznajmił.

- Ilu? - spytałem.

Zaszyfrowane zdania admirała doprowadzały często do nieporozumień.

- Wszystkich dwudziestu pięciu - Aha, to znaczy tyle osób, ile było w załodze „Nantesville”. - Dwaj są w kiepskim stanie, ale jakoś damy sobie radę.

To by tłumaczyło ślady krwi w kabinie kapitana i mechanika.

- Gdzie byli?

Podał mi współrzędne. Znalezione ich na północ od Wexford, niedaleko od Bristolu, skąd odpłynął „Nantesville”, czyli porwano go po zaledwie kilku godzinach żeglugi. Historia powtórzyła się. Przez dwa dni wszyscy byli trzymeni na samotnej farmie - dobre wyżywienie, ciepłe koce na noc, trzeciego dnia ich strażnicy zniknęli.

- Ale żeby zawładnąć... - chciałem powiedzieć: „Nantesville” - ... statkiem, wynaleźli nową metodę.

- Tak jest - potwierdził wuj. - Chylę czoło przed ich fantazją. Po eksperymencie z nielegalnymi pasażerami, po historii z mającym awarię statkiem rybackim, po motorówce policyjnej i po zapaleniu wyrostka na pokładzie jachtu - myślałem, że się powtórzą. Ale tym razem wymyślili coś innego. Umieścili tratwy ratunkowe z dziesięcioma rozbitkami dokładnie na kursie statku. Powierzchnia morza pokryta olejem, a pochodnia wzywająca ratunku widzialna zaledwie z odległości kilometra - to z pewnością przekonująca konstrukcja. Zna pan resztę?

- Tak, Annabelle.

Tak. Znałem resztę. Dalszy ciąg był taki sam. Rozbitkowie okazali na pokładzie swój brak wdzięczności wyciągając rewolwery, zajmując statek i biorąc do niewoli całą załogę. Następnie okręcili głowę każdego członka załogi workiem z gazy i przetransportowali wszystkich na inny statek. W nocy więźniowie zostali wysadzeni na jedną z plaż i odprowadzeni do opuszczonej farmy. Wszystko to odbywało się zawsze na wybrzeżu Irlandii. Trzy pierwsze wypadki na północy, dwa ostatnie na południu. Piraci odprowadzali skradziony statek Bóg jeden wie dokąd.

- Betty i Dorothy? - spytałem. - Czy ukryły się na statku, podczas gdy załoga została przetransportowana?

- Tak myślę, ale nie jestem pewien. Lekarze nie pozwalają nam jeszcze przesłuchać kapitana, jedynej osoby mogącej udzielić wyjaśnień co do obecności na statku Bakera i Delmonta. Pozostało panu czterdzieści jeden godzin, Caroline. Co pan dotychczas zrobił?

Musiałem przez chwilę zastanowić się, zanim zrozumiałem, co oznacza owe czterdzieści jeden godzin. A zatem z moich czterdziestu ośmiu upłynęło już siedem.

- Spałem trzy godziny - powiedziałem, choć zdawałem sobie sprawę, że dla niego była to zupełnie niepotrzebna strata czasu. Jego współpracownicy w ogóle nie powinni odczuwać potrzeby snu. - Następnie przeprowadziłem rozmowę z miejscową policją i właścicielem statku zakotwiczonego niedaleko nas. Wieczorem składamy mu towarzyską wizytę.

Przerwa.

- Co pan będzie składać, Caroline?

- Idziemy z wizytą. Zaprosił nas, Harriet i mnie. Na kieliszek.

Dłuższa chwila ciszy.

- Caroline, pozostaje panu zaledwie czterdzieści jeden godzin.

- Wiem o tym, Annabelle.

- Mam nadzieję, że panuje pan jeszcze nad swoim umysłem.

- Nie bardzo wiem, jak dokładną informację na ten temat chce pan uzyskać. W każdym razie jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach.

- A więc nie chce pan zrezygnować ze sprawy? No tak, zbyt ciche pytanie. Nie. To nie pan. Pan jest zbyt uparty, aby to zrobić i...

- Zbyt głupi?

- Kim jest ten żeglarz?

Odpowiedź była bardzo długa. Przede wszystkim dlatego, że musiałem posługiwać się tym przeklętym szyfrem, aby podać nazwę statku i nazwisko właściciela, a poza tym przekazać to wszystko, co powiedział mi Skouras, i to wszystko, co powiedział o milionerze McDonald. Wuj Arthur reagował ostrożnie, używając ogólników. Korzystając z tego, że mnie nie widział, pozwoliłem sobie na kpiący uśmiech pod jego adresem. Ministrowie mieli duże trudności z uzyskaniem zaproszenia do stołu sir Anthony'ego. Sekretarze stanu, i to tylko ci, którzy naprawdę sprawowali władzę, mieli u sir Anthony'ego imienne kółka na serwetki. I ci właśnie sekretarze byli zmorą życia wuja Arthura.

- Radzę panu, aby nie działał pan zbyt pochopnie, Caroline.

- Betty i Dorothy nie powrócą, Annabelle. Chcę, aby odpowiedzialni zapłacili za to. Pan pragnie tego samego. Czyli co do tego punktu jesteśmy zgodni.

- Naturalnie. Ale jest rzeczą niepojętą, aby człowiek o takiej pozycji, człowiek o takiej fortunie...

- Proszę mi wybaczyć, Annabelle, nie rozumiem pana.

- Człowiek taki, jak on... Nie, to niemożliwe. Znam go, razem jadamy obiady, mówię do niego po imieniu, znam doskonale jego drugą żonę... to była aktorka. Ten człowiek jest wielkim filantropem, a poza tym należy do elity towarzyskiej. Trudno sobie wyobrazić, żeby miał tracić czas i pieniądze na taką działalność.

- Skouras? - W moim pytaniu było tyle zdziwienia, jakbym dopiero teraz rozumiał słowa wuja Arthura. - Ależ, Annabelle, ja nigdy nie podejrzewałem tego pana! Nie mam zresztą po temu żadnego powodu.

- Ach!

Zwykle dość trudno wyrazić radość, satysfakcje i ulgę w tej jednej sylabie, ale wujowi Arthurowi udało się to znakomicie.

- W takim razie, po co przyjął pan zaproszenie? - Ktoś przypadkowo podsłuchujący, dosłyszałby prawdopodobnie nieznaczny ton zazdrości w głosie admirała i miałby rację. Wuj Arthur miał tylko jedną słabość - był snobem. Gigantycznym snobem.

- Po prostu chcę udać się na pokład, aby obejrzeć uszkodzony nadajnik.

- A to, w jakim celu?

- Mam jakieś przeczucie, jeśli pan już chce wiedzieć. I nic ponadto.

Wuj był wyraźnie nastrojony na długie chwile ciszy.

- Przeczucie? - powtórzył po dłuższym milczeniu. - Dziś rano powiedział pan, że ma pan jakiś pomysł. Czy o to chodzi?

- Nie. Ale dobrze, że pan o tym mówi. Chciałbym, aby pan się skontaktował z dyrekcją Kasy Oszczędności Szkocji, a potem z wielkimi dziennikami szkockimi, na przykład z „Glasgow Herald”, „Scottish Daily Express” oraz z miejscową gazetką „Oban Times”.

- Ach! - Tym razem w jego głosie nie było ulgi, lecz satysfakcja w najczystszej formie. - Nareszcie zacznam pana poznawać, Caroline. Czego mam szukać i po co?

Powiedziałem mu, a wymagało to wiele czasu, gdyż znów musiałem użyć jego przekłętego szyfru.

- Doskonale - zgodził się. - Skieruję moich ludzi do tych spraw. Będzie pan miał informacje o północy.

- Jeżeli o tej porze, to proszę je sobie zachować. Północ to za późno!

- Proszę nie żądać rzeczy niemożliwych - wycodził przez zęby. - Spróbuję poruszyć wszystkie sprężyny. O dziewiątej.

- O czwartej, Annabelle.

- Dziś? O czwartej po południu? Przecież minęło już południe! Pan naprawdę zwariował.

- W ciągu dziesięciu minut może pan posłać na polowanie dziesięciu ludzi, dwudziestu w ciągu dwudziestu minut itd... Wszystkie drzwi stoją przed panem otworem, a szczególnie drzwi gabinetu Scotland Yardu. Annabelle, proszę pamiętać o tym, że zawodowiec nie morduje nigdy dla przyjemności. Zabija, gdyż jest do tego zmuszony, zabija, aby zyskać na czasie. Każda wygrana godzina jest dla niego atutem. Każda godzina, którą mu odbieramy, staje się atutem dla nas. Czy uważa pan tych ludzi za amatorów?

- Proszę połączyć się ze mną o czwartej - powiedział zmęczonym tonem. - Zobaczymy, co będę mógł dla pana zrobić. Dokąd pan teraz idzie?

- Do łóżka. Muszę się wyspać.

- Naturalnie. Czas to pieniądz, prawda, Caroline?

Rozłączył się po tej złośliwej uwadze. Oczywiście, tylko on mógł się wyspać następnej nocy, podczas gdy ja nie miałem o tym prawa nawet marzyć. Nie miałem wprawdzie daru jasnowidzenia, ale miałem za to przecucie tak olbrzymie, że nie będę spać następnej nocy, iż nie zmieściłoby się na Empire State Building. Było ono tak wielkie, jak to, które ogarnęło mnie w związku ze „Sangri-la”.

Usłyszałem dzwonek budzika dokładnie za dziesięć czwarta. Czułem się jeszcze gorzej niż wtedy, gdy się kładłem po mizernym posiłku złożonym z wołowiny z konserwy i purée z kartofli - też z paczki. Skouras powinien mieć choć trochę taktu i zaprosić nas na obiad.

Nie tylko się starzałem, ale i zaczynałem się już czuć stary. Zbyt długo pracowałem dla wuja Arthura. Płacił doskonale, ale godziny i warunki pracy były zawsze obrzydliwe. Głowę bym dał, że wuj Arthur nie widział puszki wołowiny w sosie własnym od drugiej wojny światowej. Człowiek zużywa się szybko, jeśli wciąż zadaje sobie pytanie: ile jeszcze godzin, ile jeszcze sekund pozostało mu do życia?

Hunslett wyszedł ze swojej kabiny, a ja z mojej. Sprawiał wrażenie tak samo zwiędłego, jak ja. Młode pokolenie mogłoby mieć wiele powodów do obawy, gdyby liczyło na ochronę zorganizowaną przez nas, przez takie stare graty, jakimi w tej chwili byliśmy.

Przechodząc przez mesę uśmiechnąłem się z politowaniem, gdy pomyślałem o tych typach, które gładko opisują wspaniałości zachodniego wybrzeża Szkocji w ogóle, a rejonu Torbay szczególnie, określając go jako niezrównany raj dla żeglarzy. Z pewnością ich noga nigdy nie postąpiła na tym wybrzeżu. Fleet Street, ulica dzienników w Londynie, jest ich jedyną ojczyzną i w życiu nie wyjechali poza jej granice. Banda skrybów i ignorantów, wyspecjalizowanych w literaturze i propagandzie turystycznej, dla których skrzyżowanie King's Cross wyznaczało północne granice cywilizacji! Choć może nie byli aż tak wielkimi ignorantami, skoro mieli na tyle sprytu, by zdobyć mieszkania na południe od King's Cross.

Było jesienne popołudnie, godzina czwarta, co niestety oznaczało mniej dnia niż nocy. Słońce nie zaszło jeszcze, przynajmniej tak być powinno, ale równie dobrze mogło i zejść, gdyż nie miało żadnych szans, aby jego promienie przebiły masy kłębiących się na niebie czarnych chmur, które posuwały się na wschód w kierunku ciemnego horyzontu, gdzieś za Torbay. Ciężkie i gęste zasłony deszczu, który burzył powierzchnię morza od jednego brzegu zatoki do drugiego, ograniczały widzialność do zaledwie trzystu, czterystu metrów. Położone w cieniu urwistych stoków porośniętych sosnami miasteczko zniknęło zupełnie. Czyjeś światła pozycyjne okrążyły półwysep od północnego zachodu. To pewnie powracał Skouras, który wypróbował już swoje stabilizatory. W błyszczącej kuchni „Sangri-la” kucharz przygotowywał z pewnością wspaniały obiad, na który, niestety, nie byliśmy zaproszeni... Starłem się nie myśleć o posiłku, ale było to ponad moje siły. Ruszyłem za Hunslettem do maszynowni.

Hunslett włożył na uszy słuchawki i ukląkł obok mnie z otwartym notesem. Był tak samo zręczny w stenografii, jak we wszystkich innych sprawach. Miałem nadzieję, że jego zdolności zostaną w pełni wykorzystane, że wuj Arthur będzie miał rzeczywiście wiele do powiedzenia. I tak było.

- Proszę przyjąć moje powinszowania, Caroline - zaczął wuj bez żadnych wstępów. - Miał pan naprawdę dobry pomysł.

Wyczułem trochę ciepła w jego głosie, mimo monotonnego tonu. Uwierzyłbym nawet w pewną życzliwość z jego strony, gdybym nie wiedział, że zakłócenia fal radiowych podczas burzy powodują niekiedy tego rodzaju wrażenie. W każdym razie nie ochrzaniał mnie.

- Odnaleźliśmy te książeczki oszczędnościowe. - Tu nastąpiła litania numerów, dat, wielkości wkładów - informacje, które mnie absolutnie nie interesowały. - Ostatnie wpłaty miały miejsce dwudziestego siódmego grudnia: dziesięć funtów w dwóch wypadkach. Wszystkie aktualne sumy są jednakowe - siedemdziesiąt osiem funtów, czternaście szylingów i sześć pensów. Książeczki nie są zamknięte. - Przerwał, aby usłyszeć moje gratulacje, a później ciągnął dalej: - Ale to jeszcze nic, Caroline. Pański pomysł poszukiwania tajemniczych wypadków śmierci i zaginięć na wybrzeżu w rejonie Inverness i Argyll był naprawdę świetny. Powtarzam: świetny. Dlaczego, do diabła, nie wpadliśmy na to wcześniej? Ma pan ołówek pod ręką?

- Harriet ma.

- A więc zaczynamy. Wybrzeże szkockie nie zaznało od lat tylu katastrof morskich, co w tym sezonie. Zacznę od wypadku z ubiegłego roku. „Pinto”, solidny statek motorowy, opuścił Kyle of Lochalsh o godzinie ósmej rano czwartego września. Punktem docelowym było Oban, gdzie spodziewano się go po południu. Nigdy tam nie przybył, a wszelki ślad po nim zaginął.

- Jaka była wówczas pogoda, Annabelle?

- Oczekiwałem tego pytania. - Swoją drogą wuj Arthur denerwował mnie niekiedy tą mieszaniną skromności i zadowolenia z samego siebie. - Sprawdziłem w biurze meteorologicznym. Wiatr o sile jednego stopnia, morze spokojne, niebo bez chmur. Przejdźmy do roku bieżącego. Szósty kwietnia i dwudziesty szósty kwietnia. „Evening Star” i „Jeannie Rose”, dwa statki ze wschodniego

wybrzeża. Portem macierzystym jednego było Buckie, drugiego Fraserburgh.

- Ale oba łowiły na wybrzeżu zachodnim? - spytałem.

- Niech mi pan nie przerywa! Bazą obu statków było Oban. Oba łowiły langusty. „Evening Star” zaginał najpierw i został odnaleziony na skałach u wybrzeży Islay, a „Jeannie Rose” zginęła nie pozostawiając żadnych śladów. Nie odnaleziono też ani jednego członka załogi. Następnie siedemnastego maja. Mamy tutaj znany wyścigowy jacht, „Cap Griz Nez”, zbudowany w Anglii i pływający pod angielską banderą mimo obcej nazwy. Właścicielem był oficer nawigacyjny, miał doświadczoną załogę, kilka zwycięstw w regatach organizowanych przez Królewski Yacht Club. Rozumie pan co to za obiekt. Wyszedł w morze z Londonderry podczas pięknej pogody, kierując się na północ Szkocji. Odnaleziono go w miesiąc później z rozprutym kadłubem na skałach wyspy Skye.

- A załoga?

- Co za pytanie! Zniknęła. Wreszcie ostatni wypadek. Sprzed kilku tygodni, z ósmego sierpnia. Statek ratowniczy, „Kinfisher”, doskonale wyposażony, prowadzony przez właściciela, świetnego marynarza, któremu towarzyszyła żona i dwoje dzieci - syn i córka. Była to po prostu przerobiona łódź ratunkowa. Według wszelkich oznak kapitan znał się na rzeczy; żeglował od lat. Wyszedł z portu w nocy, podczas pięknej pogody. Zaginał wraz z załogą.

- Skąd wyszedł?

- Z Torbay.

To jedno słowo było dla niego powodem do dumy. Dla mnie zresztą też.

- Czy myśli pan w dalszym ciągu, że „Nantesville” płynie w kierunku Islandii albo jakiegoś dalekiego norweskiego fiordu? - spytałem.

- Nigdy tak nie myślałem i nigdy w to nie wierzyłem. - Barometr uprzejmości wuja Arthura opadł nagle z dużej do normalnej, a więc do pozycji między zimnem a mrozem.

- Daty tych wypadków przypomniały panu prawdopodobnie różne sprawy, Caroline.

- Tak. Daty tych wypadków przypomniały mi rzeczywiście różne sprawy, Annabelle.

I rzeczywiście. Przypomniały. „Evening Star” rozpruł się na skałach Islay w trzy dni po zaginięciu na południe od Irlandii transportowca „Holmwood”. „Jeannie Rose” wyparowała w trzy dni później od motorowca „Antara”, zaginionego bez śladu w kanale St. George. „Cap Griz Nez”, jacht wyścigowy, który skończył na skałach wokół wyspy Skye, zaginał tego samego dnia co frachtowiec „Headley Pioneer”. Zatonięcie „Kinfisher” nastąpiło w dwa dni po ostatnim wypłynięciu w morze frachtowca parowego „Hurricane Spray”. Trudno traktować te zdarzenia jako serię przypadków. Zbyt wiele elementów tutaj się powtarza i pozwalam sobie zaszeregować tych, co tego nie widzą, do intelektualnych olbrzymów, których przywódca mógłby być prezydentem Afryki Południowej, głęboko przekonany, dziś, w dwudziestym wieku, że ziemia jest płaska i że jeden fałszywy krok może spowodować upadek każdego z nas, i to z konsekwencjami zarówno

katastrofalnymi, jak definitywnymi. Szansa, że tylko przypadek mógł spowodować taką zbieżność dat, praktycznie nie istniała. Wydawało mi się, że zaginięcie czterech małych statków w tym samym sektorze przekreśla wszelką możliwość prawdopodobieństwa.

Powiedziałem o tym wujowi Arthurowi.

- Nie sprzecajmy się na temat spraw ewidentnych - odpowiedział. Nie było to zbyt uprzejme z tej prostej przyczyny, że nie zauważył owych „ewidentności” jeszcze cztery godziny temu, zanim nie zwróciłem mu na nie uwagi. - W tej chwili najważniejsze dla nas byłoby wiedzieć, co powinniśmy robić. Między Islay i Skye jest bardzo wiele miejsca. Dokąd nas to zaprowadzi?

- Jakich wpływów może pan użyć, aby nam zapewnić współpracę radia i telewizji? - spytałem.

Cisza. Wreszcie groźny ton.

- O co panu właściwie chodzi, Caroline?

- Chcę dorzucić jeszcze jeden wypadek do tej kroniki.

- No cóż... Praktykowało się takie sprawy codziennie podczas wojny. Raz czy dwa, jak mi się wydaje, po wojnie... Ludzie z BBC i ITA nie należą do łatwych i uległych. - W jego tonie słychać było wyraźnie, co myśli o tych, którzy nie pozwolili nikomu z zewnątrz wtrącać się w swoje sprawy. Była to ciekawa reakcja jak na człowieka, który uchodził za mistrza w tej dziedzinie.

- Jeżeli uda mi się ich przekonać, że nasza próba nie ma nic wspólnego z polityką i służy jedynie dobru publicznemu, może się uda. Czego pan chce?

- Poinformować słuchaczy, że na południe od Skye znajdujący się w niebezpieczeństwie statek wysłał w eter wezwanie s. o. s. ; że urwało się ono nagle; że dokładna pozycja obiektu nie jest znana; że należy obawiać się najgorszego itd... Operacja ratunkowa zostanie rozpoczęta jutro o świcie. To wszystko.

- Mam wrażenie, że to się uda. Ale czemu to ma służyć?

- Będę miał pretekst zrobić wycieczkę w te strony nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

- Ma pan zamiar wykorzystać „Firecresta” do poszukiwań i grzebać tam, gdzie pan nie powinien?

- Naturalnie, mamy wady, zarówno Harriet jak i ja, ale nie jesteśmy idiotami, Annabelle. Pański „Firecrest” jest słomką, na której nie przepłynąłbym nawet londyńskiej sadzawki bez pomyślnego komunikatu meteorologicznego, a tu rzuca nami przyzwoita siódemka. Poza tym poszukiwania na pokładzie statku trwałyby zbyt długo. Nie. Na wschodnim końcu wyspy Torbay, w odległości ośmiu kilometrów od miasteczka, znajduje się niewielka zatoka z piaszczystą plażą, otoczoną półkolem przez wzgórza i las. Chcę helikopter o dalekim zasięgu wyłącznie do mojej dyspozycji. I to już o świcie.

- Ach, teraz pan myśli, że ja jestem idiotą. - Oho, wyraźnie rozgniewałem go atakując właściwości nawigacyjne tego oczka w głowie, jakim był „Firecrest”. - Wydaje się panu, że wystarczy pstryknąć palcami, aby o wschodzie słońca pojawił się helikopter?

- Ma pan jeszcze czternaście godzin. O piątej rano był pan gotów pstryknąć palcami i helikopter pojawiłby się tutaj w południe. Siedem godzin. O połowę mniej. Rozumiem jednak, że chęć sprowadzenia mnie do Londynu, żeby objechać przed wyrzuceniem, była ważniejsza niż obecna sytuacja.

- Proszę się ze mną połączyć o północy. I mam nadzieję, że pan wie, co robi.

- Tak, admirale - potwierdziłem i przerwałem połączenie. Nie miałem właściwie na myśli: „Tak, admirale, wiem, co robię”, ale: „Tak, admirale, mam nadzieję, że wiem, co robię”.

Jeśli Skouras zapłacił mniej niż pięć tysięcy funtów za dywan w salonie, znaczyłoby to, że kupił rzecz używaną. Pięć na dziewięć metrów, o barwach brązowej, ciemnozielonej i złotej, rozpościerało się na blasze pokładu niczym pole dojrzałego zboża. Wrażenie to potęgowała grubość dywanu, tak nienaturalna, że trudno było się po nim poruszać. Idąc miało się wrażenie przechodzenia rzeki w bród. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem bardziej luksusowego dywanu ani bardziej luksusowych perskich i afgańskich kobierców pokrywających od góry do dołu dwie trzecie ścian. Prawdę mówiąc, przy nich ów wspaniały dywan sprawiał wrażenie tandety. Trzecia część ścian pokryta była drogocennym drewnem, harmonizującym z materiałem wspaniałego baru, który znajdował się w głębi salonu. Tapczany, fotele, taborety przy barze były obite zieloną skórą ze złotymi wytłoczeniami. Przedstawiało to wartość fortuny. Równie cenne były niskie stoły wykonane z kutej miedzi, rozmieszczone w miłym nieładzie. Za sumę uzyskaną z ich sprzedaży można by było wykarmić przez rok rodzinę złożoną z pięciu osób, nawet gdyby stołowała się w barze hotelu „Savoy”.

Dwa obrazy Cezanne’a wisiały na lewej grodzi, a dwa Renoira na prawej. Te obrazy były błędem. W tym pomieszczeniu nie miały szansy. Prawdopodobnie czułyby się lepiej w kuchni.

Ja też. I byłem prawie pewien, że Hunslett również. Nie dlatego, że nasze marynarki z tweedu i nasze chustki na szyi, pochodzące z najelegantszego sklepu w Londynie, kontrastowały brutalnie z ciemnymi krawatami i frakami pozostałych, ani dlatego, że ton rozmów wydawał się ukartowany po to, by przypominać nam nasz status małych rzemieślników, i to marnych. Rozmowy o akcjach, o wielkich interesach, o milionach dolarów zawsze sprawiają deprymujące wrażenie na klasach niższych. Nie musieliśmy być jednak wielkimi znawcami, aby zrozumieć, że wymiana zdań na te tematy nie była spowodowana chęcią zrobienia na nas wrażenia - dla tych ludzi w wytwornych muszkach interesy stanowiły sól życia i dlatego też były zasadniczym elementem ich rozmów.

Byli jeszcze dwaj osobnicy, którzy również nie czuli się tutaj najlepiej: dyrektor paryskiego Banku Handlowego, Jules Biscarte, mały człowieczek, łysy jak kolano, i szkocki adwokat o nazwisku McCallum, wielki i rubaszny. Nie sądzę, aby cierpieli bardziej ode mnie, ale okazywali to dużo wyraźniej.

Coś psuło atmosferę. Ekran niemego kina nie pokazałby jednak co. Wszystko było niezwykle

wytworne i wysoce ucywilizowane. Głębokie fotele zapraszały do pełnego wypoczynku. Ogień na kominku - zupełnie zresztą niepotrzebny - wywoływał nastrój intymności. Uśmiechnięty Skouras doskonale grał rolę gospodarza domu. Kelner w białym kitlu zjawiał się na najmniejszy dźwięk, napełniał dyskretnie kieliszki i znikał jak duch. Wszystko było wykwinne, przyjemne. Gdyby jednak niemy film zamienił się w film dźwiękowy, prawdopodobnie zrozumielibyście, dlaczego wolałem kuchnię.

Skouras polecił napełnić swój kieliszek. Zrobił to po raz czwarty w ciągu czterdziestu pięciu minut, które tam spędziliśmy, uśmiechnął się do swojej żony, siedzącej w fotelu po drugiej stronie kominka i wznosił toast na jej cześć:

- Twoje zdrowie, moja droga, piję za cierpliwość, z jaką umiesz nas znosić. Ta wyprawa jest dla ciebie bardzo nudna. Gratuluję.

Przyglądałem się Charlottcie Skouras. Nie ja jeden. Skierowały się na nią oczy wszystkich obecnych. Nie było w tym zresztą nic dziwnego, gdyż miliony oczu oglądały Charlotte Skouras w czasach, kiedy za jej sprawą cała Europa okupowała kina. W okresie swojej największej sławy nie była ani zbyt młoda, ani specjalnie piękna. Zresztą jest to zupełnie niepotrzebne, kiedy jest się wielką aktorką, a nie jedną z tych, którym piękność służy za talent. Teraz była to starsza pani, której uroda zbladła, a sylwetka zaokrągliła się. Mimo to mężczyźni patrzyli na nią ciągle jeszcze jak urzeczeni.

Zbliżała się do czterdziestki, jednak ciągle fascynowała wszystkich swoją twarzą. Była to twarz zmęczona, twarz zużyta, twarz nawykła do życia i śmiechu, myślenia, czucia i cierpienia. Ciemne oczy zawierały w sobie mądrość dziesięciu wieków. Ta twarz miała więcej charakteru w każdej ze swoich, bardzo już licznych, zmarszczek niż buzie całego batalionu współczesnych ślicznotek, modelek widniejących na okładkach wielkich magazynów, kociaków o wspaniałych, ale jakże pustych oczach. Gdyby umieścić pięćdziesiąt takich dziewcząt w tym samym pokoju, w którym znajdowała się Charlotta Skouras, jestem pewien - nikt by na nie nie spojrział. Tak jak nikt nie patrzy na reprodukcję wielkiego malarza na bombonierce, kiedy obok znajduje się oryginał tegoż malarza.

- Jesteś bardzo miły, Anthony - powiedziała Charlotta Skouras. - Miała głęboki, powolny głos z lekkim obcym akcentem, a jej smutny, napięty w tym momencie uśmiech harmonizował z podkrążonymi oczyma. - Ale przecież wiesz, że ja się nigdy nie nudzę.

- Nawet w takim towarzystwie, Charlottto? - ciągnął gospodarz ze szczególną jowialnością. - Zebranie Rady Administracyjnej Towarzystwa Skouras na wodach szkockich jest z pewnością mniej przyjemne niż przejażdżka po wodach Lewantu w towarzystwie twoich arystokratycznych bawidamków. Spójrz na Dollmanna... - Wskazał głową wysokiego, chudego, jasnowłosego mężczyznę w okularach, wyglądającego jakby był nie ogolony. Był to dyrektor administracyjny Linii Oceanicznych Skourasa. - No cóż, John? Co pan sądzi o sobie jako zastępcy młodego wicehrabiego Horley? Co pan znaczy w porównaniu z człowiekiem, który ma, owszem, trociny w głowie, ale i piętnaście milionów funtów na koncie bankowym.

- Obawiam się, że bardzo mało, sir Anthony. - Dollmann sprawiał wrażenie tak samo wielkopańskie jak Skouras i tak samo wydawał się nie zwracać uwagi na atmosferę zażenowania, towarzyszącą temu dziwnemu zebraniu. - Mam dużo więcej mózgu - podjął temat - ale dużo mniej

pieniędzy i z pewnością nie jestem tak wesołym i dowcipnym rozmówcą.

- Młody Horley był duszą waszej małej grupki, przynajmniej tak mi się wydaje, szczególnie podczas mojej nieobecności. Czy pan go zna, panie Petersen?

- Słyszałem o nim, sir Anthony, ale nie bywam w jego środowisku. - Och, byłem równie wytworny jak oni.

- Hmm!

Skouras uśmiechnął się do dwóch mężczyzn siedzących obok mnie. Jeden z nich nosił nazwisko nie bardzo anglosaskie - Herman Lavorski. Był to, jak mi powiedziano, księgowy, doradca finansowy gospodarza, gruby, jowialny pan, o żywych oczach, stentorowym śmiechu, niewyczerpana kopalnia dość ryzykownych niekiedy anegdotek. Był tak mało podobny do księgowego i finansisty, że wydaje się, iż musiał być najlepszy w tej branży. Drugi był zupełnie łysy, w średnim wieku, o twarzy sfinksa ozdobionej wąsikami w kształcie odwróconej kierownicy rowerowej. Takie same wąsy nosił ongiś na Dzikim Zachodzie sławny Wild Bill Hickock. Głowa tego pana miała kształt melona. Nazywał się lord Charnley. Mimo swego tytułu pracował w City jako makler giełdowy.

- Jak oceniłabyś naszych dwóch dobrych przyjaciół, Charlotto?

- Obawiam się, że cię nie rozumiem - odpowiedziała pani domu patrząc na swego męża z takim samym jak przedtem wyrazem twarzy.

- Jak to? Przecież mówię zupełnie jasno. Niepokoję się rodzajem towarzystwa, które narzucam tak młodej i pięknej kobiecie. Prawda, panie Hunslett? Czy nie uważa pan, że Charlotta jest młoda i piękna?

Hunslett rozsiadł się wygodnie w fotelu, splótł dłonie z miną światowca przystępującego do zabawnej gry gospodarza.

- Czymże jest młodość, sir Anthony? - powiedział. - Nie wiem. - Uśmiechnął się do Charlotty. - Wiem jednak doskonale, że pani Skouras nigdy nie zazna czegoś innego. Jeśli zaś chodzi o urodę pańskiej małżonki, to pytanie było zbyteczne. Dziesięć milionów Europejczyków, do których również należę, już dawno udzieliło odpowiedzi.

- Już dawno. Słusznie, panie Hunslett. Mnie jednak interesuje obecna opinia. - Stary Skouras uśmiechnął się znowu, ale już bez poprzedniego ciepła.

- Pani reżyserzy - odpowiedział Hunslett - zatrudniali z pewnością najgorszych fotooperatorów w Europie... Jeśli wybaczy mi pani tę zbyt osobistą uwagę... Gdybym miał w ręku szpadę i gdyby dana mi była władza posługiwania się nią, pasowałbym Hunsletta na rycerza. Naturalnie po dzieleniu nią przedtem Skourasa. - Widzę, że dni rycerskości jeszcze nie minęły - uśmiechnął się potentat.

McCallum i Biscarte poruszyli się z zażenowaniem w swoich fotelach. Scena była niesmaczna. Skouras znowu wszczął rozmowę:

- Chciałem tylko powiedzieć, moja droga, że lord Charnley i Lavorski nie mogą konkurować z tryskającą młodością twojego Welsblooda, przepięknego amerykańskiego nafcjarza, ani zastąpić twojego Domenico, hiszpańskiego hrabiego, pasjonującego się amatorską astronomią, tego, który przekazywał ci wiedzę o gwiazdach na Morzu Egejskim. - Spojrzał znów na Lavorskiego i Charnleya, a jego spojrzenie wydawało się mówić: „Przykro mi, panowie, wcale byście się nie nadawali”.

- Nie czuję się tak bardzo obrażony - odpowiedział Lavorski. - Mamy inne zalety, zarówno ja, jak i lord Charnley. Ale? a propos, dawno już nie widziałem młodego Domenico.

Lavorski doskonale umiał wypowiadać z góry przygotowane zdania w z góry przewidzianych momentach. Byłby znakomitym suflerem w teatrze.

- I prawdopodobnie długo go pan nie zobaczy. W każdym razie na moim statku, w moich posiadłościach... jak również w okolicy. Obiecałem, że sprawdzę kolor jego szlachetnej kastylijskiej krwi, jeśli kiedykolwiek spotkam go na mojej drodze... Proszę wybaczyć, przyjaciele, że wprowadziłem ten epizod do rozmowy. Panowie Hunslett i Petersen, wasze kieliszki są puste.

- Pańskie zaproszenie sprawiło nam wielką przyjemność, sir Anthony - odpowiedziałem. Dobroduszny, stary, głupi Calvert, zbyt tępy, by zauważyć, co się dzieje. - Niestety, musimy już wracać. Wieje jak diabli i chcielibyśmy schronić „Firecresta” przed wiatrem za wysepką Garve. - Zbliżyłem się do okna i rozsunąłem zasłony, które wydały mi się tak ciężkie, jak kurtyna przeciwpożarowa w teatrze. Nic dziwnego, że na „Sangri-la” potrzebne były stabilizatory, kiedy miał aż takie obciążenie powyżej linii wodnej. - Zostawiliśmy zapalone światła pozycyjne w kabinie, aby obserwować stąd, czy się nie poruszył. Wcześniej, wieczorem, kotwica popęzła nieco...

- Jest mi bardzo przykro, że panowie nas tak wcześnie opuszczają. - O dziwo, zabrzmiało to naprawdę szczerze. - Ale marynarz doskonale rozumie niepokój drugiego marynarza.

Nacisnął guzik, drzwi się otworzyły i do salonu wszedł niski człowiek z twarzą opaloną na brąz. Na rękawach granatowej kurtki widniały złote naszywki. Był to kapitan Black, dowódca „Sangri-la”. Towarzyszył nam w czasie oglądania królestwa Skourasa. To on właśnie pokazywał nam uszkodzony nadajnik.

- Kapitanie Black, proszę podstawić do trapu motorówkę. Panowie Hunslett i Petersen spieszą się.

- Przepraszam, sir Anthony, ale obawiam się, że będą musieli troszkę poczekać.

- Poczekać?

Skouras umiał tak samo łatwo zmieniać głos, jak inni mrużyć oczy.

- Znów ten sam kłopot - powiedział kapitan Black usprawiedliwiająco.

- Te przekłete karburatory, założę się, że o to chodzi? Miał pan rację, kapitanie Black, miał pan

rację. Nikt nie zmusi mnie więcej do kupowania motorówek z silnikami benzynowymi. Proszę nas uprzedzić, kiedy tylko uszkodzenie zostanie naprawione. Proszę też zarządzić obserwację „Firecresta”. Pan Petersen obawia się, że kotwica może popęknąć.

- Proszę się nie martwić - odpowiedział Black. Nie wiem, czy było to skierowane do mnie, czy do Skourasa. - Wszystko będzie dobrze.

Po jego odejściu Skouras poświęcił pięć minut na krytykowanie silników Diesla. Następnie zmusił nas, mimo naszych sprzeciwów, do nowej kolejki whisky. Naturalnie, nasze protesty nie były podyktowane wrogością do alkoholu w ogóle czy do Skourasa w szczególności, ale wyływały z zupełnie innych powodów: alkohol źle wpływa na powodzenie wszelkich nocnych misji.

O dziewiątej gospodarz nacisnął guzik znajdujący się na oparciu jego fotela. Otworzyły się drzwi szafy odsłaniając wielki telewizyjny ekran. Wuj Arthur nie zapomniał o mnie. Spiker opisywał w dramatyczny sposób straszliwy los rybackiego statku „Moray Rose”, w którym odmówiły posłuszeństwa stery i który teraz nabierał wody gdzieś na południu od Skye. Zapowiedziano wielką akcję ratowniczą mającą się rozpocząć o brzasku. Spiker zapewniał, że uczyni się wszystko, aby uratować załogę i statek, a zatem telewidzowie mogą być spokojni.

Po wysłuchaniu informacji Skouras wyłączył telewizor.

- Morze - powiedział - zaludnione jest przez głupców, którym nie powinno się pozwolić wypływać poza falochrony. Co mówi ostatni komunikat meteorologiczny? Czy ktoś wie?

- Obserwatorium meteorologiczne na Hybrydach zapowiedziało południowo-zachodni wiatr o sile ośmiu stopni, mniej więcej od godziny siedemnastej - poinformowała Charlotta Skouras spokojnym głosem.

- Od kiedy słuchasz informacji meteorologicznych? - spytał zdziwiony Skouras. - A w ogóle od kiedy słuchasz radia? Choć, prawdę mówiąc, nie masz tu zbyt wielkich rozrywek, moja biedna przyjaciółko. Wicher o sile ośmiu... do licha! Jeżeli ten statek rybacki płynie z okolic Kyle of Lochalsch, to prawdopodobnie znajdzie się w samym centrum zawieruchy. Zwariowali... Tym bardziej że mają łączność radiową, przecież przekazali wiadomość o swojej sytuacji. Zupełnie zwariowali! Jeżeli nie słuchali prognozy pogody albo zlekceważyli nadane informacje... Zresztą to na jedno wychodzi. Szaleńcy!

- Szaleńcy, którzy - być może - umierają tonąc w tej chwili albo może już umarli - zauważyła Charlotta.

Wydawało mi się, że sińce pod jej oczyma powiększyły się i pociemniały.

Skouras przyglądał się jej przez kilka sekund w bezwzględny sposób. Atmosfera była tak ciężka, że wystarczyłaby jedna mała iskierka, aby spowodować wybuch. Wreszcie gospodarz odwrócił się z uśmiechem.

- Wie pan, panie Petersen - odezwał się do mnie - te kobiety! Zawsze zbyt czułe,

macierzyńskie... w dodatku ta matka nie ma dzieci. Czy pan jest żonaty, panie Petersen?

Uśmiechnąłem się do niego, zastanawiając się, czy chlusnąć mu w twarz moją whisky, czy lepiej wymierzyć cios czymś ciężkim w głowę. Zdecydowałem się jednak powstrzymać, gdyż i tak nic by to nie dało, a poza tym woląłem nie wracać wplaw na pokład „Firecresta”.

- Niestety nie, sir Anthony.

Powtórzył moje słowa, śmiejąc się głośno, wreszcie dodał tonem trudnym do interpretacji:

- Z pewnością minął pan granicę wieku, w którym jest się na tyle naiwnym, by mówić w taki sposób, panie Petersen.

- Trzydzieści osiem lat, do usług - odpowiedziałem z zadowoleniem. - Niestety, nigdy nie miałem okazji. Stara historia, sir Anthony. Te, które ja chciałem, nie chciały mnie i odwrotnie.

Nie była to jednak prawda. Kierowca bentleya, który według opinii lekarzy wlał w siebie nie mniej niż butelkę whisky, przerwał moje życie małżeńskie po dwóch zaledwie miesiącach. Od tamtego czasu noszę również bliznę przecinającą lewy policzek. Wuj Arthur wyciągnął mnie wówczas z mojego przedsiębiorstwa wydobywania wraków. W następstwie tego kroku żadna dziewczyna, która znałaby mój zawód, nie chciałaby wyjść za mnie za mąż. Zresztą nigdy nikomu nie przyznałem się do mego zawodu, a i blizny też mi nie pomagały.

- Sprawia pan wrażenie człowieka z poczuciem humoru, panie Petersen, jeżeli mogę to powiedzieć nie obrażając pana. - Świetny kawał! Skouras niepokojący się tym, że może kogokolwiek obrazić! Usta w kształcie zamka błyskawicznego jakby złagodniały, a słowa z nich płynące miały potwierdzić uśmiech pełen nostalgii. - Naturalnie, żartowałem - ciągnął. - Celibat ma pewne zalety, młodość mija. Charlotto?

- Słucham. - Ciemne oczy spojrzały na niego nieufnie.

- Czy możesz mi coś przynieść z mojej kajuty?

- Pokojówka... Czy ona...

- To zbyt osobiste, moja droga. Jak grzecznie zauważył pan Hunslett, jesteś dużo młodsza ode mnie... - Uśmiechnął się do Hunsletta, jakby dla potwierdzenia niewinności swoich intencji. - Zdjęcie, które stoi na mojej nocnej szafce...

- Co?

Charlotta wyprostowała się nagle, jej dłonie uchwyciły oparcie fotela, tak jakby miała zamiar skoczyć. W zachowaniu Skourasa nastąpiła zmiana. Miłe spojrzenie stało się jakby zamglone, twarde, zimne. Powoli odwrócił wzrok od ramion Charlotty. Zrozumiała, zbladła i błyskawicznie obciągnęła krótkie rękawy uniesione przez nagłe poruszenie. Zrobiła to jednak nie na tyle szybko, abym nie mógł zauważyć sinych pierścieni, widniejących dziesięć centymetrów ponad łokciami. Były to zamknięte koła. Nie siniaki spowodowane przez uderzenie lub też zbyt silne uściśnięcie palcami,

ale raczej znaki, jakie zostawia zaciśnięty sznur.

Skouras znów się uśmiechnął i przywołał do siebie starszego lokaja. Charlotta wstała bez słowa i wyszła. Zastanawiałem się przez chwilę, czy scena, którą widziałem, nie przysniła mi się, ale wuj Arthur płacił mi właśnie za to, abym nigdy nie śnił na jawie.

Pojawiła się po kilku minutach trzymając w ręku zdjęcie o wymiarach osiemnaście na dwadzieścia cztery, podała je Skourasowi i usiadła. Tym razem ze szczególną troską zerknęła na swoje rękawy.

- Panowie, moja żona! - oświadczył Skouras wstając z fotela, aby pokazać wszystkim portret brunetki o ciemnych oczach, uśmiechających się ponad okrągłymi, typowo słowiańskimi policzkami.

- Anna, moja pierwsza żona. Trzydzieści lat wspólnego pożycia. Małżeństwo naprawdę nie jest aż tak groźną sprawą. To jest Anna, panowie.

Gdyby zostało mi choć dziesięć gramów przyzwoitości, zwałiłbym go z nóg i zdeptał. Oświadczyć publicznie, że zachowuje się zdjęcie swej pierwszej żony na nocnym stoliku, i zmusić w sposób poniżający tę drugą, aby poszła i przyniosła to zdjęcie - to już przekraczało wszelkie pojęcie. A trzeba jeszcze dodać do tego ślady sznura na ramionach Charlotty. Skouras nie był wart nawet jednej karabinowej kuli...

Byłem jednak zupełnie bezsilny. Zrobił minę tragicznego głupca. Grał komedię, ale grał znakomicie. Łza, która toczyła się po jego prawym policzku, warta była Oscara. Gdyby nie oszukiwał, mielibyśmy przed sobą starego człowieka, smutnego, samotnego, który na chwilę zapomniał o świecie patrząc na fotografię jedynej istoty, którą kochał, i która odeszła bezpowrotnie. Być może zresztą tak właśnie było...

Może gdyby obok tego obrazu nie było innego - obrazu Charlotty, nieruchomej, dumnej, upokorzonej, z oczyma skierowanymi na płomień kominka, którego prawdopodobnie nie widziała - kto wie, może poczułbym jak ze wzruszenia ściska mi się gardło. Niestety, nie sprawiło mi wiele trudu opanowanie takiego uczucia.

McCallum zachowywał się zupełnie inaczej; nie próbował ukryć swoich przeżyć. Wstał, błądzący z wściekłości wymamrotał kilka słów w formie przeprosin, życzył nam dobrego wieczoru i wyszedł. Bankier poszedł za jego przykładem. Skouras nie raczył ich odprowadzić. Powrócił do swego fotela dziwnym, chwiejnym krokiem, z pustką w oczach, i jak jego druga żona usiadł zatopiony w swoich myślach. Nie podniósł głowy nawet wówczas, gdy pojawił się kapitan Black, oznajmiając, że czeka na nas motorówka.

Kiedy znaleźliśmy się sami na pokładzie „Firecresta”, podnieśliśmy dywan na podłodze w sterówce, pod którym ułożyłem gazetę. Gdy ją podniosłem, zobaczyłem cztery wspaniałe ślady stóp na cieniusieńkiej warstwie mąki, rozsypanej pod gazetą. Zbadaliśmy następnie drzwi obu kabin na dziobie, pomieszczenie silników i laboratorium. Wszędzie umieściliśmy szpiega w postaci jedwabnej nitki i wszędzie nitka była przerwana.

Sądząc po odciskach stóp, co najmniej dwóch ludzi złożyło nam wizytę. Mieli ponad godzinę na dokonanie rewizji. Straciliśmy następną godzinę na odgadnięcie tego, czego szukali. Niestety, bez rezultatu.

- W każdym razie - powiedziałem - wiemy teraz, dlaczego tak bardzo zależało im, abyśmy u nich byli.

- Jeśli motorówka nie mogła nas odwiedzić wtedy, kiedy o to prosiliśmy, oznacza to, że była tutaj.

- Co jeszcze?

- Jest coś jeszcze. Nie wiem dokładnie co, ale jest.

- Powie mi pan jutro rano. Proszę się połączyć z wujem o północy i spróbować wyciągnąć z niego wszelkie możliwe informacje o ludziach znajdujących się na pokładzie „Sangri-la” i o lekarzu pierwszej pani Skouras. Ta pani szczególnie mnie interesuje.

Powiedziałem mu dokładnie, o co chodzi, potem poprosiłem, aby przesunął statek i zakotwiczył go obok wysepki Garve. Nie mogłem mu pomóc, gdyż musiałem wstać o trzeciej trzydzieści rano.

- Gdy zrobi pan, o co proszę, będzie mógł pan spać tyle, ile zapagnie - powiedziałem.

Nie zareagowałem na jego odpowiedź. Szkoda. Powinienem był i tym razem go wysłuchać. W interesie Hunsletta. Niestety, nie wiedziałem, że będzie spał dłużej i więcej niż do syta.

ŚRODA: OD PIĄTEJ RANO DO ZMIERZCHU

Było czarno jak w „kamizelce diabła” - tak to się określa w tej okolicy. Czarne niebo, czarne drzewa i ulewny deszcz, redukujący do zera widoczność. Drzewa można było rozpoznać jedynie wtedy, gdy się o nie człowiek rozbił, zagłębienie w terenie, gdy się do niego wpadło. Hunslett obudził mnie, tak jak prosiłem, o trzeciej trzydziści, przynosząc filiżankę herbaty. Wuj Arthur poinformował go o północy, gdy spałem, że helikopter będzie na miejscu, zapewniając równocześnie bez entuzjazmu, że na próżno tracę czas. Bardzo rzadko zgadzałem się całkowicie z wujem Arthurem, ale tym razem była to jedna z takich rzadkich okazji.

Zacząłem już myśleć, że nigdy nie odnajdę tego helikoptera. Nie uwierzyłbym, że może być tak trudno znaleźć drogę w nocy na przestrzeni pięciu mil zalesionego terenu. Nie musiałem przebywać rzek i rwących potoków. Nie musiałem wdrapywać się na skały, okrążyć przepaści, przedzierać się przez gęste zarośla. Torbay jest umiarkowanie zalesioną wyspą o łagodnych wzniesieniach terenu. Wędrówka przez całą wyspę byłaby doskonałą trasą na niedzielną popołudniową przechadzkę dla dosyć aktywnego osiemdziesięciolatka. Nie jestem aktywnym osiemdziesięciolatkiem, ale w tej chwili wydawało mi się, że tak. Inna rzecz, że nie było to, niestety, niedzielne popołudnie.

Moje kłopoty rozpoczęły się z chwilą, gdy wylądowałem na brzegu Torbay, naprzeciwko Garve. Jeśli się ma na sobie buty na gumowych spodach i usiłuje przeciągnąć gumowy ponton po śliskich głazach, pokrytych wodorostami (a niektóre z tych głazów mają prawie dwa metry średnicy), jeśli do brzegu jest dwadzieścia niekończących się metrów, to przedsięwzięcie takie jest karkołomne nawet w dzień, a w zupełnych ciemnościach zakrawa na skuteczny i szybki sposób popełnienia samobójstwa.

Po trzecim upadku rozbiłem latarkę, zarobiłem też kilka siniaków, potem strąciłem ręczną busolę. Natomiast głębokościomierz, co zresztą było do przewidzenia, pozostał nienaruszony. Jak wiadomo, głębokościomierz znakomicie pomaga w znalezieniu drogi w ciemnościach w dziewiczym lesie.

Po spuszczeniu powietrza z pontonu ruszyłem wzdłuż brzegu. Wydawałoby się, że w ten sposób dojdę po pewnym czasie do piaszczystej zatoczki, przy której miał wylądować helikopter. Niestety, las schodził tutaj aż do krawędzi skał, wybrzeże było postrzępione przez małe zatoczki, a ja nie widziałem dalej niż na odległość swego nosa. W rezultacie wpadałem do wody w dość regularnych odstępach czasu. Po wygrzebaniu się z morza po raz trzeci postanowiłem zmienić trochę trasę, zagłębiając się bardziej w stały ląd. Nie było to bynajmniej spowodowane obawą przed zamoczeniem się; byłem i tak przemoknięty do nitki, gdyż naturalnie nie wziąłem ze sobą gumowego kombinezonu - miałem przecież wędrować po lesie i latać helikopterem. Nie obawiałem się także uszkodzenia środków sygnalizacyjnych, za pomocą których miałem skomunikować się z pilotem, ponieważ były dokładnie owinięte w nieprzemakalne płótno. Powód był bardzo prosty. Poruszając się z taką szybkością dotarłbym na miejsce akurat przed południem.

W górzystym terenie, po którym poruszałem się z takim trudem, moimi przewodnikami były deszcz i ukształtowanie terenu. Zatoczka, do której zdążałem, leżała na wschodzie, wicher dał z zachodu, a więc tak długo, jak długo deszcz smagał moje plecy, szedłem w dobrym kierunku. Poza

tym wiedziałem, że wyspa jest podzielona ze wschodu na zachód przez łańcuch skalistych wzgórz pokrytych sosnami. Wystarczyło więc posuwać się wzdłuż niego, aby nie zboczyć z drogi. Teoretycznie wszystko było proste, ale wichur pędzący nawały deszczu raz po raz zmieniał kierunek zależnie od szerokości masywu leśnego. Dokładnie na pół godziny przed wschodem słońca - co skonstatowałem dzięki mojemu zegarkowi, bo ciemności były wciąż nieprzeniknione - zacząłem wątpić, czy zdążę na czas.

Zadawałem sobie również pytanie, czy w takich warunkach pilot odnajdzie miejsce naszego spotkania. Nie wątpiłem, że potrafi wylądować w osłoniętej kotlinie, ale czy zdoła ją odnaleźć... to zupełnie inna sprawa... Wiedziałem też, że helikopter nie reaguje na ruchy sterem, jeśli wiatr przekracza pewną szybkość.

Niestety, nie znałem tej szybkości. A więc jeżeli pilot się nie zjawi, będę musiał odbyć tę miłą przechadzkę w odwrotnym kierunku, odnaleźć ponton i czekać o chłdzie i głodzie aż do zapadnięcia ciemności, aby powrócić na pokład „Firecresta”. Moje czterdzieści osiem godzin zwłoki i tak już skrócone do dwudziestu czterech, zmniejszyłoby się w takim przypadku do dwunastu. Zacząłem biec.

W piętnaście minut później i po takiej samej mniej więcej liczbie żelaznej twardości pni, na które wpadałem uderzając się boleśnie, usłyszałem daleki odgłos silnika. Warkot powoli się zbliżał. Helikopter przybył przed umówionym czasem. Wylądował, przekonał się, że miejsce jest puste i zawrócił. Byłem przygnębiony i zbyt ogłupiał przez dziesiątki uderzeń głową o drzewa, aby pomyśleć, że w takich ciemnościach pilot nie odnajdzie piaszczystej zatoczki, nie mówiąc już o tym, że na niej nie wylądował. Wyciągnąłem rakiety z kieszeni, aby zasygnalizować moją obecność. Schowałem ją jednak natychmiast z powrotem, i to bardzo szybko. Umówiliśmy się przecież, że wykorzystam moje ognie bengalskie do wskazania lądowiska. Gdybym więc dał sygnał teraz, pilot skierowałby się w to miejsce, połamał na drzewach rotor i wszystko by się skończyło.

Przyspieszyłem kroku. Niestety, od lat już nie biegałem więcej niż kilkaset metrów. Moje płuca wydawały dźwięki podobne do sapania uszkodzonego miecha kowalskiego. Ledwie dyszałem, a mimo to posuwałem się dość szybko naprzód. Znów uderzyłem ciałem o drzewo, nogi plątały mi się w krzakach, wpadałem w szczeliny skalne, a niskie gałęzie smagały mnie po twarzy. Najgorsze były jednak pnie. Wyciągałem ramiona przed siebie, aby w ten sposób uchronić się przed spotkaniem z nimi. Niestety, była to ochrona raczej niezbyt skuteczna. Podniosłem z ziemi suchą gałąź, która uderzyła mnie w nogi i próbowałem użyć jej jako osłony. Próżny wysiłek. Drzewa atakowały mnie ze wszystkich stron. Wydawało mi się, że wszystkie drzewa lasu ustawiły się na mojej drodze. Moja głowa sprawiała wrażenie kuli do kręgli, z tą różnicą, że podczas gry w kręgle kula przewraca pachołki, a tutaj drzewa-pachołki rozbiły moją głowę-kulę. Za trzecim razem wydawało mi się, że helikopter odleciał. Na szczęście znów go usłyszałem. Niebo przejaśniało się wprawdzie troszkę na wschodzie, ale i tak dla pilota wyspa pozostawała ciągle w mrokach nocy.

Nagle ziemia usunęła mi się spod nóg, wyciągnąłem ramiona i napiąłem mięśnie, aby zamortyzować upadek na stok wąwozu. Niestety, spadałem dalej. Koziółkowałem po stromym stoku pełnym wrzosów i po raz pierwszy tej nocy marzyłem, żeby napotkać drzewo, wszystko jedno jakie drzewo, byleby zatrzymało mój upadek. Ile sosen rośnie na tym stoku? Nie wiem. Omijałem je wszystkie. Jeśli był to wąwóz, to chyba największy na wyspie. Ale nie, to był po prostu brzeg wyspy. Wreszcie teren stał się płaski, trawa ustąpiła miejsca piaskowi. Zatrzymałem się. Duszę się,

oddech miałem krótki i przyspieszony, ale błogosławiłem opatrność i miliony lat, które zmieniły w piaszczystą plażę ostre skały, broniące przed wiekami brzegu przed morzem.

Wstałem. Było to umówione miejsce, jedyna piaszczysta zatoka Torbay. Brzask pozwolił mi rozróżnić kontury plaży i określić jej względną szerokość. Helikopter powracał ze wschodu i według mojej oceny, był oddalony o jakieś sto, sto parę metrów. Pobiegłem mu naprzeciw, wyciągnąłem sygnał świetlny z kieszeni, odrzuciłem wodoszczelną osłonę i zerwałem zapalnik. Jaskrawe białoniebieskie światło zmusiło mnie do zasłonięcia oczu ręką. W trzydzieści sekund później, kiedy dopalały się ostatnie cząstki rakiety, helikopter przeleciał nade mną.

Pilot włączył dwa prostopadłe do ziemi reflektory, które świetlnymi kołami kasały białawy piasek. Odsunąłem się zachowując ostrożność. Helikopter lądował, jego płozy dotknęły ziemi, huk motorów zamilkł i rotor obracał się coraz wolniej, aż zamarł bez ruchu. Nigdy jeszcze nie podróżowałem helikopterem, ale często oglądałem te latające maszyny. Żadna z nich nie wydawała mi się tak wielka.

Zbliżyłem się. Prawe drzwi kabiny otworzyły się, uderzyło mnie w twarz światło latarki, a głos o walijskim akcencie spytał:

- Dzień dobry. Czy pan się nazywa Calvert?

- Tak. Czy mogę wsiąść?

- Skąd mam wiedzieć, że to właśnie pan jest Calvertem?

- Bo ja to panu mówię. Niech pan nie będzie taki twardy, młody człowieku. Nie jest pan upoważniony do sprawdzania mojej tożsamości.

- Nie ma pan żadnego dowodu? Ani dokumentów?

- Bądź pan rozsądny. Czy nie poinstruowano pana w szkole, że niektórzy ludzie nigdy nie mają przy sobie dowodów tożsamości? Czy wydaje się panu, że tak po prostu, przypadkiem, przechadzałem się w miejscu odległym o pięć mil od nie-wiadomo-skąd? Że przypadkiem miałem sygnały świetlne w kieszeniach? Ryzykuje pan bezrobociem. Nie ma co mówić, dobry początek współpracy.

- Polecono mi najdalej idącą ostrożność.

Czułem, że jest niespokojny jak kot przeskakujący przez mur ogrzany słońcem. Nadal okazywał wyraźny brak zaufania.

- Porucznik lotnictwa, Scott Williams - przedstawił się chłodnym tonem. - Aby mnie zdegradować i zdymisjonować, musiałby pan być admirałem. Wdrapałem się na pokład maszyny, usiadłem w fotelu i zatrzasnąłem drzwi. Nie podał mi ręki. W zamian za to zapalił małą sufitową lampę i wykrzyknął:

- Co pan ma na twarzy?

- Nie podoba się panu moja twarz?

- Jest cała we krwi, setki małych zadrapań.

- To pewnie szpilki sosnowe.

Opowiedziałem mu, co się stało.

- Po co przysłano mi taką wielką maszynę? - spytałem. - Można nią przetransportować cały batalion!

- Dokładnie czternastu ludzi. Robię różne zwariowane rzeczy, Calvert, ale nie latam na małych helikopterach przy takiej pogodzie. Zbiorniki paliwa są pełne...

- Czy to znaczy, że może pan latać przez cały dzień?

- Mniej więcej. To zależy od szybkości. Czego pan ode mnie żąda?

- Trochę grzeczności. Przede wszystkim. A może pan po prostu nie lubi lotów o świcie, co?

- Jestem pilotem w ratunkowej służbie lotniczo-morskiej, Calvert. Ta maszyna jest jedyną jednostką w bazie zdolną do zwiadu podczas takiej pogody i doskonale zdaję sobie sprawę, że w tej chwili, w tym rejonie, znajdują się ludzie, którzy toną. I że moim obowiązkiem powinno być odnalezienie ich i udzielenie pomocy. To właśnie powinienem robić. Otrzymałem jednak inny rozkaz. No więc, czego pan sobie życzy?

- Czy pan myśli o „Moray Rose”?

- Ach, więc pan o tym słyszał. Tak, właśnie o tym myślę.

- „Moray Rose” nie istnieje i nigdy nie istniała.

- Skądże znowu! Sam słyszałem komunikat.

- Powiem panu tyle, ile konieczne. Muszę zbadać te okolice bez zwrócenia na siebie uwagi. Dlatego właśnie wymyśliłem tę katastrofę morską.

- Czy to na pewno blaga?

- Tak.

- I mógł pan nadać tę wiadomość w programach radiowych i telewizyjnych... Do diabła! Zaczynam wierzyć, że mógłby mnie pan wyrzucić z marynarki!

Uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę.

- Proszę mi wybaczyć, panie Calvert. Scott Williams, Scotty dla przyjaciół, do pańskiej

dyspozycji. Co robimy?

- Czy zna pan wybrzeże i wyspy?

- Jak własną kieszeń. Pełnię tu służbę od osiemnastu miesięcy. Akcje ratunkowe, naturalnie jeśli są potrzebne, poza tym ćwiczenia z armią lądową i marynarką, poszukiwania zaginionych alpinistów itd... Dużo pracuję z piechotą morską.

- A więc dobrze. Szukam miejsca, w którym można by było ukryć dużą motorową szalupę. Dwunasto - albo piętnastometrową. W wielkim hangarze, pod drzewami w zatoce czy też w przesmyku, w jakimś dyskretnym miejscu, gdzie można rzucić kotwicę. Między wyspami Islay i Skye.

Gwizdnął przeciągle.

- Piękna odległość. Te dwie wyspy dzieli od siebie kilkaset kilometrów wybrzeża, nie licząc małych wysepek. Trasa ta liczy sobie pewnie kilka tysięcy kilometrów. Ile mi pan daje na to czasu? Miesiąc?

- Dziesięć godzin. Aż do zachodu słońca. Możemy z góry wyeliminować wszystkie miejsca zamieszkałe, wszystkie miejsca nadające się do połowu ryb i wszystkie szlaki regularnych połączeń morskich. To chyba zmienia sytuację?

- Tak. A czego pan właściwie szuka?

- Powiedziałem panu. Ukrytej szalupy.

- Dobrze. Zresztą, to pańska sprawa. Skąd zaczniemy?

- Polecimy na wschód, aż do wybrzeża, następnie na północ. Po trzydziestu kilometrach zawrócimy, tak by się znaleźć w odległości trzydziestu kilometrów na południe od miejsca startu. Potem zbadamy przesmyk Torbay oraz wyspy na zachód i północ od Torbay.

- Przez przesmyk prowadzi regularny szlak statków pasażerskich - zauważył.

- Tak, ale pływają one tylko dwa razy w tygodniu. Eliminuję wyłącznie szlaki, po których statki kursują codziennie.

- W porządku. Proszę zapiąć pas i włożyć kask ze słuchawkami. Porządnie nas wytrzęsie. Czy pan jest przyzwyczajony do morza?

- Naturalnie. Po co słuchawki? - Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takiego nakrycia głowy, a tym bardziej takich słuchawek. Dziesięć centymetrów średnicy, trzy centymetry grubości, sporządzone z porowatej gumy. Małe mikrofon zamontowany na stalowej sprężynie przymocowany był do hełmu na wysokości ust.

- Aby ochronić uszy - powiedział porucznik. - Huk silników mógłby spowodować pęknięcie bębenków i byłby pan głuchy przez co najmniej osiem dni. Proszę sobie wyobrazić, że znajduje się

pan w kuźni, a dookoła bije tuzin pneumatycznych młotów. Właśnie coś takiego będzie pan słyszał.

I rzeczywiście huk był właśnie taki, jak zapowiadał. Kiedy silniki się obracały, i to z normalną szybkością, straszliwy łoskot docierał we wszelkie zakamarki mojego mózgu, przenikał poprzez każdą kość twarzy i czaszki, mimo że założyłem słuchawki. Wydawało mi się, że to po prostu słuchawki są do niczego. Wystarczyło jednak odchylić je na ułamek milimetra, aby zrozumieć, co miał na myśli porucznik Williams mówiąc o pękniętych bębenkach. Nie żartował. Cóż z tego, kiedy nawet ze słuchawkami na uszach po kilku godzinach czułem, że głowa mi pęka. Od czasu do czasu spoglądałem na ciemną, pociągłą twarz młodego Walijczyka siedzącego obok mnie. Znosił ten łomot nie tracąc bynajmniej głowy, i to w dodatku w ciągu wielu lat. Ja już po tygodniu kwalifikowałbym się do nałożenia kaftana bezpieczeństwa. Otuchy dodawał mi tylko fakt, że nie musiałem przebywać na pokładzie przez tydzień. Zaledwie osiem godzin. Zresztą i tak wydały mi się tak długie jak rok przestępny.

Pierwsza część naszej wyprawy przyniosła pierwsze fałszywe alarmy. Miało ich być, niestety, dużo więcej. Po dwudziestu minutach lotu spostrzegłem wody małej rzeki wpływające do morza. Polecieliśmy w górę rzeczki. Przebyliśmy ze dwa kilometry. Korony drzew rosnących po obu stronach połączyły się.

- Chcę zobaczyć, co tu jest - wykrzyknąłem podekscytowany do mikrofonu.

- Dobrze. Widziałem miejsce nadające się do lądowania. Czteryście metrów stąd. Tam siadę.

- Ale po co? Ma pan wciągarkę. Nie może mnie pan opuścić?

- Gdyby pan wiedział tyle co ja na temat wiatru wiejącego z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę w wąskiej dolinie, z pewnością by mi pan tego nie zaproponował, nawet żartem. Chcę odstawić swój latawiec wieczorem do bazy.

Zawrócił i wylądował bez trudu w miejscu osłoniętym skałą. W pięć minut później dotarłem do drzew, a po następnych pięciu wróciłem do helikoptera.

- No i co?

- Nic. Stary dąb upadł i przegrodził rzeczkę. Zaslania wejście pod nawis.

- Można przesunąć.

- Z pewnością nie. Pień waży co najmniej trzy tony i tkwi w wodzie od lat.

- No, trudno liczyć na sukces tak od razu - pocieszył mnie...

W kilka minut później nowy tor wodny. Wydawał się za płytki nawet dla łodzi. Mimo to jednak polecieliśmy wzdłuż niego. Osiemset metrów od ujścia woda pieniała się na katarakcie. Zawróciliśmy.

Kiedy osiągnęliśmy granicę, jaką wyznaczyłem dla kierunku północnego, był już jasny dzień.

Doliny na wybrzeżu ustąpiły miejsca wysokim, stromym skałom, które schodziły pionowo do morza.

- Czy to się daleko ciągnie? - spytałem wskazując na wschód.

- Około dwudziestu kilometrów, aż do zatoki Lairg.

- Zna pan te miejsca?

- Często tam bywałem.

- Są tam jakieś jaskinie?

- Nie ma żadnej.

Oczekiwałem takiej odpowiedzi. Wskazałem palcem na zachód, gdzie za zasłoną deszczu i niskich chmur majaczyło górzyste wybrzeże. Tam również skały opadały stromo do morza, aż do wejścia do przesmyku Torbay.

- A tam? - spytałem.

- Tam nawet mewy nie budują gniazd.

Powróciliśmy do miejsca startu i poleciliśmy na południe. Między wyspą Torbay a wybrzeżem szkockim morze ginęło pod grubą warstwą białej piany. Potężne fale biegly na wschód. Długie smugi kremowej piany tworzącej się na rafach sprawiały niesamowity widok. Nie widać było statków, nawet wielkich łodzi rybackich. Nasz helikopter podskakiwał w porywach wichru, drżał we wszystkich spojeniach i trzął się, jak zwariowany pociąg wyskakujący z szyn. Prawdę mówiąc, godzina takiej podróży to było aż nadto, by się zrazić do helikopterów na resztę życia... No, przynajmniej do momentu powrotu na statek, kołyszący się w tej chwili w dymiących wirach przesmyku. Po tej ostatniej refleksji poczułem niejaki szacunek dla maszyny Williamsa, a zwłaszcza dla jego sztuki.

A zatem poleciliśmy trzydzieści kilometrów na południe - jeśli oczywiście można nazwać lotem skoki w powietrzu. W dodatku te trzydzieści kilometrów wydłużyło się trzykrotnie, gdyż chciałem zbadać wszystkie przejścia między wyspami a Szkocją, wszystkie naturalne schronienia, wszystkie fiordy. Lecieliśmy na wysokości sześćdziesięciu metrów, czasami nawet mniej, gdyż siła deszczu skutecznie wykluczała działalność wycieraczek, i aby zobaczyć powierzchnię morza, musieliśmy często schodzić aż do wysokości fal. Obserwowaliśmy wszystko bacznie, ale nie znaleźliśmy nic.

Spojrzałem na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści. Coraz później i - żadnego rezultatu.

- Ile jeszcze helikopter może wytrzymać? - spytałem.

Williams był spokojny i nie sprawiał wrażenia zmęczonego. Wydawało mi się, że bawi go ten lot.

- Patrolowałem sto pięćdziesiąt mil morskich podczas pogody gorszej niż ta - odpowiedział. Tak, po poruczniku Williamsie nie widać było śladu napięcia, niepokoju czy zmęczenia. Sprawiał nawet wrażenie zadowolonego z siebie. - Sądzę, że to raczej należałoby się spytać, ile pan wytrzyma.

- Ja? Mam dosyć. Co z tego, kiedy muszę kontynuować. Powróćmy do miejsca startu i oblećmy całe Torbay. Przede wszystkim wybrzeże południowe, następnie drogę na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża, na wschód - aż do wioski, a potem wzdłuż przesmyku.

- Według rozkazu.

Williams skierował helikopter na północny zachód. Zrobił to w głębokim wirażu, który dosłownie zmiążdżył mi żołądek.

- Kawa i kanapki są w skrzynce za panem - zaproponował. Nie skorzystałem. Kawa i kanapki pozostały tam, gdzie były.

Straciliśmy czterdzieści minut na przelot czterdziestu kilometrów, by osiągnąć wschodni cypel wyspy. Posuwaliśmy się do przodu trzy metry, a wiatr cofał nas dwa. Widzialność była prawie równa zeru. Williams posługiwał się wyłącznie przyrządami. W takich warunkach powinien był zgubić cel już z dziesięć razy, ale - o dziwo - piaszczysta zatoka ukazała się spoza zasłony z deszczu przed naszym nosem, tak jakby prowadziło nas radiolatarnia. Zaczynałem ufać Williamsowi, człowiekowi, który wiedział, dokąd leci, przestałem natomiast ufać sobie, bo zacząłem wierzyć, że nie wiem, dokąd lecę. Pomyślałem przez chwilę o wuju Arthurze, szybko jednak skierowałem moje myśli w inną stronę.

- Proszę spojrzeć - odezwał się pilot mniej więcej w środku południowego wybrzeża Torbay. - Oto miejsce, które by doskonale pasowało do naszych celów. Miał rację. Biały trzypiętrowy kamienny dom w stylu georgiańskim wznosił się na polanie w odległości stu metrów od brzegu i trzydzieści metrów nad brzegiem.

Było to domiszcze, jakich wiele można znaleźć na okolicznych wysepkach. Kto je zbudował i po co - pozostanie dla mnie na zawsze tajemnicą. Ośrodkiem naszego zainteresowania nie był jednak dom, ale duży hangar dla łodzi, zbudowany nad brzegiem niewielkiego basenu połączonego kanałem z morzem. Williams bez słowa wylądował za zasłoną z kępy drzew rosnących poza domem.

Wyciągnąłem plastikowy worek, który miałem w zanadrzu koszuli i wyjąłem z niego dwa rewolwery. Lugerą włożyłem do kieszeni, a liliput znalazł się w mojej lewej dłoni. Williams udawał, że nic nie widzi i cicho gwizdał.

Dom był od dawna nie zamieszkały. Dach zapadł się miejscami. Słone morskie powietrze naruszyło farbę na ścianach i odlepiło tapety. Pokoje, które zbadałem przez wybite szyby, były pełne gruzu. Powierzchnię małego wąwozu prowadzącego do miniaturowego portu pokrywała gęsta piana... Ślady w błocie, pozostawione przez moje nogi, świadczyły, że od dawna nikt tędy nie przechodził. Hangar mierzył dwadzieścia metrów na sześć. Wielkie wrota na potrójnych zawiasach oraz dwie wielkie zasuwki były zżarte przez rdzę. Uśmiechnąłem się z żalnością, litując się nad sobą samym i zawróciłem do helikoptera.

Dwa razy w ciągu następnych dwudziestu minut odnajdowaliśmy podobne domy i hangary. Badanie ich w zasadzie miało się z celem, mimo to obejrzałem wszystkie dokładnie. Ostatni mieszkańcy tych domostw musieli umrzeć na długo przed moim urodzeniem. Mieszkali w nich jednak kiedyś z rodzinami. Ludzie ci byli prawdopodobnie dobrze sytuowani, mieli jakieś tam ambicje, wiarę w siebie samych i przyszłość... W innym bowiem wypadku nie budowałiby tych wielkich domostw dla swoich wielkich rodzin. Teraz nie pozostało po nich nic, prócz tych walących się pomników, świadków optymizmu, który splątał tragicznego figla. Widziałem podobne domy, zupełnie inne, a mimo to podobne, na plantacjach południowej Karoliny i Georgii - domy w stylu kolonialnym, z wielkimi białymi portykami, zaatakowane przez zielone dęby i oplecione szarymi łodygami pnących krzewów. Był to równie smutny widok. Relikt świata, który zaginął.

Na zachodnim wybrzeżu nic nie znaleźliśmy. Okrążyliśmy w pewnej odległości miasteczko Torbay i wysepkę Garve, a następnie poleciliśmy z wiatrem wzdłuż południowego wybrzeża przesmyku. Dwie małe wioski, każda z rozpadającym się mołem - i nic więcej.

Po powrocie na miejsce startu przelecieliśmy nad przesmykiem aż do północnego wybrzeża i tam skręciliśmy na zachód. Lądowaliśmy dwa razy, aby zbadać jezioro o średnicy czterdziestu metrów ukryte między drzewami, a następnie niewielki zespół budynków przemysłowych. Williams powiedział mi, że kilka lat temu przerabiano tam specjalny gatunek piasku będący składnikiem pasty do zębów.

W ostatnim miejscu zatrzymaliśmy się pięć minut. Podczas lądowania Williams zjadł śniadanie: Jadł sam. Przyzwyczaiałem się już wprawdzie do kołysania helikoptera, ale i tak apetyt się nie zjawił. Było południe. Wykorzystałem zatem połowę czasu. Zacząłem obawiać się fiaska wyprawy. Wuj Arthur bardzo by się ucieszył. Spojrzałem na mapę.

- Musimy wybrać - powiedziałem. - Zaryzykować. Możemy na przykład polecieć wzdłuż przesmyku aż do cypla Dolmana naprzeciwko wysepki Garve, a potem wzdłuż jeziora Hynart. - Jezioro to miało około dziesięciu kilometrów długości i tysiąc metrów szerokości, wiło się w kierunku wschodnim, by zginąć w górskim masywie. Było na nim pełno wysepek. - Albo powróćmy do cypla Dolmana i polećmy wzdłuż południowych brzegów półwyspu aż do cypla Carrare. Następnie ruszymy na wschód, na południowe wybrzeże Loch Houron.

- Houron? - powtórzył Williams. - To chyba ostatnie miejsce, gdzie mógłbym lądować na zachodnim wybrzeżu Szkocji, panie Calvert. Znajdzie pan tam tylko wraki i szkielety. Jest to miejsce pełne podwodnych skał, wirów i prądów, więcej ich tu na przestrzeni dwudziestu mil, niż w całej pozostałej części Szkocji. Nawet miejscowi rybacy nigdy się tam nie zapuszczają. Proszę spojrzeć na przesmyk przy wyjściu z jeziora Houron między dwoma wyspami Dubh Sgeir i Ballare. To najgorsze miejsce, jakie znam. Kiedy tutejsi marynarze mówią o tym miejscu, ich palce zaciskają się na szklanicach whisky. Miejsce to nazywa się Beul nan Uamh - wejście do grobu.

- Weseli ludzie muszą tu mieszkać! No, musimy już lecieć.

Wicher wył, a morze burzyło się jak w piekle. Na szczęście deszcz przestał padać i poszukiwania stały się łatwiejsze. Między kopalnią piasku a cyplem Dolmana nie zobaczyliśmy niczego. To samo na jeziorze Hynart. Między jeziorem a cyplem Carrare, dwanaście kilometrów na

zachód, rozciągały się nad brzegiem wody dwie małe wioski, przytulone do nagich wzgórz. Bóg raczy wiedzieć, z czego utrzymywali się ich mieszkańcy, naturalnie jeśli takowi w ogóle istnieli. Cypel Carrare był równie koszmarny. Wysokie, postrzępione fale Atlantyku, załamujące się w górach piany - wszystko to tworzyło niesamowitą scenerię. W tym potopie białej piany stała niewielka latarnia morska, dziś już nie działająca.

Ruszyliśmy na północ, następnie poleciliśmy w kierunku północno-wschodnim, potem na zachód, wzdłuż południowego wybrzeża Loch Houron. Wiele miejsc ma złą reputację. Niewiele na nią zasługuje. Ale takie przesmyki jak Glencoe w Szkocji, gdzie miała miejsce niesławna masakra, czy Brander - w pełni to potwierdzają. Nie trzeba było mieć wielkiej wyobraźni, aby zrozumieć, że miejsce jest ponure i niebezpieczne; zresztą miało wygląd ponurego i niebezpiecznego. Czarne, skaliste brzegi nie były pokryte żadną roślinnością. Cztery, wyglądające jak kreski, położone na wschód wysepki, idealnie harmonizowały z niegościnnymi brzegami wybrzeża. W oddali brzeg południowy i północny zbliżały się do siebie, tworząc wąziutki, groźny kanion między ponurymi masywami górskimi. Na podwietrznej wysp woda była czarna jak atrament. Dalej widać było gotującą się białą pianę. Morze kłębiło się. Tylko wariaci mogliby tu wprowadzać swój statek.

Wydało mi się jednak, że tacy istnieją. Zaledwie odlecieliśmy od wysp, zauważyłem szczelinę w nadbrzeżnych skałach. Sprawiała ona wrażenie małej zatoczki wielkości dwóch kortów tenisowych. Była połączona z morzem zaledwie dziewięciometrowym kanałem. W zatoczce tej stała dosyć duża łódź, wyglądająca na przerobioną wojskową motorówkę. Dalej rozciągał się niewielki płaskowyż, za którym pięło się w górę koryto wyschłej rzeki. Jacyś ludzie pracowali obok czterech żółto-zielonych namiotów ustawionych na płaskowyżu.

- Być może tego szukamy - powiedział Williams.

- Być może.

Ale to nie było to. Zrozumiałem od razu, kiedy zobaczyłem małego człowieczka w okularach, z wielką brodą, który zbliżał się, by mnie przywitać. Rzut oka na siedmiu czy ośmiu innych brodaczy potwierdził pierwsze wrażenie. Ci ludzie nigdy nie byliby zdolni napaść nawet na zwykłą łódź wiosłową. Nie pracowali - jak mi się początkowo wydawało - ale po prostu starali się utrzymać na lądzie swoje namioty. Ich łódź miała zatopioną rufę i duży przechył na lewą stronę.

- Witam pana! - zawołał do mnie brodaczy wyciągając rękę. - Jakże się cieszę z przybycia panów!

- Panowie są rozbitkami? - stwierdziłem po pierwszych powitaniach. - Wydaje mi się, że wasza sytuacja nie jest rozpacзлиwa. Łódź nie znajduje się na bezludnej wyspie, tylko w Szkocji.

- Och, doskonale wiemy, gdzie jesteśmy - zamachał z dezaprobatą rękami. - Trzy dni temu rzuciliśmy tutaj kotwicę, ale w czasie burzy zrobiła się w nocy dziura w naszej łodzi. Bardzo nieprzyjemny wypadek.

- Łódź się przedziurawiła? I stała w tym miejscu, gdzie jest w tej chwili zakotwiczona?

- Właśnie.

- Tak, to pech. Jesteście z Oxfordu czy z Cambridge?

- Naturalnie z Oxfordu. - Wydawał się być zgorszony moją ignorancją. - Jesteśmy ekspedycją geologiczno-biologiczną, powiedzmy.

- No tak, w tej okolicy nie brak kamieni i wody morskiej - powiedziałem zgodnym, uspokajającym tonem. - Czy awaria jest poważna?

- Wyłamana deska. Obawiam się, że to ponad nasze siły.

- Macie żywność?

- Tak.

- A nadajnik?

- Tylko odbiornik.

- Pilot helikoptera skieruje do was cieślę i inżyniera, jak tylko pogoda się poprawi. Do widzenia.

Szczęka opadła mu tak na oko jakieś dziesięć centymetrów.

- Już odjeżdżacie? Tak sobie? Po prostu?

- Jesteśmy z ratunkowej służby lotniczo-morskiej. Poszukujemy zaginionego statku.

- Ach tak!... Słyszeliśmy o tym wczoraj przez radio.

- To mogliście być wy. Ze względu na wasze bezpieczeństwo jestem szczęśliwy, że tak nie jest. Proszę nam wybaczyć, ale musimy jeszcze spenetrować dużą przestrzeń...

Polecieliśmy na wschód. W połowie drogi od jeziora Huron zaprotestowałem: - Chyba starczy. Polećmy obejrzeć te cztery wysepki, zaczynając od położonej najbardziej na wschód... Zaraz sprawdzę... Ta się nazywa Eilean Oran. Potem wrócimy do jeziora Huron.

- Myślałem, że chce pan lecieć aż do wyznaczonego przez nas celu.

- Zmieniłem zamiar.

- Jak pan chce. To pan rozkazuje. Kierunek na północ, Eilean Oran. Lecimy.

Tak, Williams był niezwykle dyskretnym człowiekiem...

W trzy minuty później przelatywaliśmy nad wyspą. Pięćdziesiąt hektarów kamieni bez żdźbła trawy. Alcatraz wydawało się przy niej przepiękną stacją klimatyczną. Ale znaleźliśmy dom, z

którego komina wydobywał się dym. Był więc zamieszkaną. Z domem sąsiadować hangar dla łodzi. Z czego utrzymywał się właściciel? Prawdopodobnie nie z rolnictwa. Musiał mieć łódź, aby łowić i aby móc opuszczać wyspę, gdyż nie ulegało wątpliwości, że żaden statek regularnych linii nie zatrzymał się tutaj od chwili, gdy Robert Fulton skonstruował pierwszy parowiec. Williams wysadził mnie dwadzieścia metrów od hangaru. Okrążałem go właśnie, gdy musiałem się nagle zatrzymać. Zawsze zatrzymuję się nagle, kiedy dostaję cios taranem w żołądek. Po upływie kilku chwil odzyskałem oddech na tyle, by się wyprostować.

Był wysoki, siwy i chudy, liczył sobie ponad sześćdziesiąt lat. Zarost na twarzy wyglądał na co najmniej siedmiodniowy, a koszuli, pozbawionej zresztą kołnierzyka, nie zmieniał chyba od miesiąca. W ręku nie miał tarana, tylko strzelbę. Nie fantazyjnie modną może, ale za to doskonały stary model o dwóch lufach i kalibrze dwanaście, lepszy nawet od peacemakera, jeśli chodzi o rozwalenie głowy z tej dość bliskiej, bo około piętnastocentymetrowej odległości. Lewa lufa była wycelowana w moje prawe oko, które - wyznam - gubiło się w jej czeluści tak, jakby spoglądało w tunel w Mersey.

W końcu odezwał się:

- Skąd pan się tu wziął? - warknął. Nabrałem pewności, że nigdy nie czytał książek chwalejących kurtuazję mieszkańców szkockich gór.

- Nazywam się Johnson. Niech pan opuści broń. Jestem...

- Co pan tu robi, u diabła!

- Jest pan niezwykle uprzejmy - zauważyłem pogodnie.

- Ej, człowieku, nie będę powtarzał pytania!

- Ratownicza służba lotniczo-morska. Poszukujemy statku wzywającego pomocy.

- Nie widziałem tu żadnego statku. Zjeżdżaj pan!

Opuścił lufę, kierując ją w mój żołądek. Prawdopodobnie myślał, że strzał będzie bardziej skuteczny lub też nie chciał sobie brudzić rąk, na wypadek, gdyby zaszła potrzeba pogrzebienia mnie.

- Ryzykuje pan więzienie, grożąc mi bronią.

- Może tak, może nie. Jedno jest pewne, że ta wyspa należy do mnie, Donalda McEacherna, i że umiem bronić swojej własności.

- Tak, i robi to pan znakomicie, panie Donald. - Broń uniosła się, więc dodałem szybko: - Odjeżdżam. Niech pan nie trzusi się słowami pożegnania. I tak tu nie wrócę.

Kiedy wystartowaliśmy, Williams zapytał:

- Czy to był naprawdę rewolwer? To, co trzymał w ręku?

- Tak. No, nie jest on na pewno zwolennikiem polityki wyciągniętej dłoni, o której tak wiele się mówi opisując Szkocję.

- Kim jest ten facet?

- Prawdopodobnie tajnym agentem Urzędu do Spraw Turystyki w Szkocji, który tu odbywa staż przed wyjazdem za granicę z misją propagandową. W każdym razie nie ma nic wspólnego z ludźmi, których szukam. Nie jest też wariatem. Był natomiast wyraźnie czymś zaniepokojony, przerażony.

- Dlaczego nie obejrzał pan wnętrza hangaru? Mogę się założyć, że znalazłby pan tam łódź. Co prawda, jakiś typ, ukryty za kamieniami, mógł trzymać wejście do hangaru pod lufą karabinu.

- I to było właśnie przyczyną mojego odwrotu. Gdybym o tym nie pomyślał, rozbroiłbym tego starego, i to szybko.

- Przedtem rozwaliliby panu głowę.

- Wiedza o broni to mój zawód. Bezpiecznik był w pozycji „zabezpieczony”.

- Ach tak! Proszę mi wybaczyć. - Z twarzy Williamsa łatwo dało się wyczytać, jak bardzo jest mu głupio; nie umiał jeszcze tak dobrze ukrywać swoich uczuć jak ja. - Co robimy dalej? - spytał.

- Wyspa numer dwa na zachód. - Zerknąłem na mapę - Craigmore.

- Tam straci pan tylko czas. Znam ją. Byłem tam kiedyś po rannego, aby odstawić go do szpitala w Glasgow.

- Rannego? W jaki sposób?

- Rana cięta uda. Zadana nożem do ćwiartowania, bardzo głęboka, spowodowana przez nieostrożność. W dodatku zainfekowana.

- Do ćwiartowania? Czego? Wielorybów?

- Nie. Rekinów. Tych, które nazywa się potocznie pielgrzymami. Jest ich w tej okolicy prawie tak dużo, jak makreli. Odławia się je dla ich wątroby. Duży rekin może dać około tony tranu... - Wskazał palcem małe punkty na mapie. - To właśnie miasteczko Craigmore. Opuszczone po pierwszej wojnie światowej. Zbliżyliśmy się do niego. Swoją drogą, dlaczego ludzie osiedlają się w takich zapadłych dziurach.

Tak, nie było żadnych wątpliwości, że to zapadła dziura. Gdybym miał do wyboru osiedlić się na biegunie północnym albo w Craigmore, nie wiem doprawdy, co bym wybrał. Cztery szare domy na małym cyplu, kilka raf tworzących łamacz fal, wąziutkie przejście między rafami i dwie rybackie łodzie tańczące na falach w małym porcie. Brama pierwszego domu, usytuowanego w odległości ośmiu metrów od wody, była otwarta. Zauważyłem kilka rekinów leżących na kamieniach między morzem a domem. Ludzie stojący na brzegu wymachiwali w naszą stronę rękami. Witali nas.

- Może mnie pan tutaj wysadzić?

- Co pan ma zamiar zrobić?

- Jeszcze nie wiem. Może pan wylądować nawet na dachu. Czy rannego wciągał pan na linie?

- Tak. Nie chciałbym pana jednak wysadzać w ten sam sposób podczas takiego wiatru i bez jeszcze jednego członka załogi do pomocy. Czy pańskie lądowanie jest konieczne?

- Nie, jeśli pan mi za tych ludzi zaręczy.

- Mogę to zrobić z całym spokojem. Znam dobrze ich szefa, Australijczyka, Tima Hutchinsona. Większość rybaków ze wschodniego wybrzeża poręczyłaby za niego bez wahania.

- Wobec tego lećmy na następną wyspę, Ballare. Okrążyliśmy wyspę i to wystarczyło. Nawet wąsonóg nie mógłby na niej zamieszkać.

Przelatując nad cieśniną między Ballare i Dubh Sgeir, zobaczyliśmy zatokę Beul nan Uamh, która ukazała się w całym swym majestacie, zdolnym onieśmielić nawet najodważniejsze ryby. Pięć minut w tych wodach w skafandrze płetwonurka czy nawet w łodzi i - pewien jestem - że nikt by już o mnie więcej nie usłyszał. Wiatr dął przeciw odpływowi, tworząc z morza kipiący kocioł czarownicy. Nie można było rozróżnić fal. Masy wodne pieniały się, gotowały, tworzyły się prądy i przeciwprądy. Woda zmieniała barwę, stając się raz biała od piany, a raz czarna w środku wirów. Nie było to - jednym słowem - miejsce, w które można by było zaprosić ciotkę Gladys na spacer łodzią w ciepły wieczór.

A jednak, na południowym i wschodnim wybrzeżu wyspy, dałoby się znaleźć miejsce dogodne do przejażdżki z ciotką. Często bowiem się zdarza, że prądy przyływu i odpływu walcząc ze sobą między wysepkami powodują powstawanie ciekawego zjawiska, mało jeszcze dotąd zbadanego: spokojną powierzchnię wody na niewielkiej przestrzeni. Między cyplami południowym a wschodnim wysepki, na przestrzeni mierzącej około tysiąca pięciuset metrów długości i trzystu szerokości, morze było idealnie spokojne, a wody - czarne. Sprawiało to niesamowite wrażenie.

- Czy pan naprawdę chce tutaj wylądować? - spytał Williams.

- A czy to jest ryzykowne?

- Nie. Ja wprawdzie tutaj jeszcze nie siadałem, ale w ogóle helikoptery lądują tu często. Jestem jednak przekonany, że nie zostanie pan dobrze przyjęty. Właściciele kilkunastu prywatnych wysepek na tym wybrzeżu nie lubią, kiedy się do nich przybywa bez specjalnego zaproszenia. A właściciele Dubh Sgeir wręcz tego nienawidzą.

- Pogłoski o gościnności tych górali wydają mi się coraz bardziej przesadzone. W Szkocji mój dom jest moją twierdzą, co?

- Ma pan rację. Określenie „twierdza” jest jak najbardziej na miejscu. To właśnie tu znajduje się stary zamek klanu Dalwhinnie.

- Dalwhinnie to nazwa miasta, a nie klanu.

- Niech będzie. W każdym razie coś w tym rodzaju, czego nie można wymówić.

Przyjmował krytykę bez zastrzeżeń! Był Walijczykiem.

- W zamku mieszka głowa klanu, lord Kirkside. Były gubernator prowincji. Ważna figura, która obecnie wycofała się z życia politycznego. Opuszcza swoje zamczysko tylko podczas Igrzysk Szkockich, poza tym raz w tygodniu udaje się do Izby Lordów w celu wyłajania arcybiskupa z Canterbury.

- Słyszałem o tym oryginale. Lekceważy sobie zupełnie Izbę Gmin i co dwa dni wygłasza przemowę w tym guście. - Zgadza się. Ale ostatnio trochę się uspokoił. Stracił w wypadku lotniczym najstarszego syna i narzeczonego córki. Zdarzyło się to kilka miesięcy temu. To go załamało. Jest bardzo szanowany przez miejscową ludność.

Minęliśmy południowy cypel wyspy i nagle przed naszymi oczyma ukazał się zamek. Nie można go było porównać z Windsorskim czy Balmoralem, był to raczej obiekt kieszonkowy, ale w zamian miał znakomitą lokalizację. Zamek lorda Kirkside'a wylaniał się z wysokiej na pięćdziesiąt metrów i opadającej pionowo do morza skały. Gdyby właściciel wychylił się z okna jednego z pokoiów i stracił równowagę, nic nie powstrzymałoby jego spadania na podwodne skały.

Na prawo od zamku erozja utworzyła plażę szerokości około trzydziestu metrów. Z wielkim trudem zbudowano tam maleńki sztuczny port, chroniony przez dwa rzędy łamaczy fal. Przejście wśród nich miało zaledwie siedem metrów szerokości. Znajdujący się w głębi hangar mógł służyć za schronienie tylko łodzi wiosłowej lub małej motorówki.

Williams wznosił się na wysokość stu metrów, aby przelecieć nad zamkiem. Budynki tworzyły literę U, otwartą w głąb lądu. Główna fasada, biegnąca wzdłuż morza była zakończona dwiema wieżami. Na jednej znajdował się siedmiometrowy maszt z flagą, a na drugiej - jeszcze wyższy - maszt anteny telewizyjnej. Za zamkiem widać było trawiastą aleję o szerokości około stu metrów, biegnącą aż do północnych wybrzeży wyspy. Trawa ta z pewnością nie ułatwiałaby gry w golfa, była na to zbyt wysoka i gęsta; stanowiła jakby naturalny zielony kobierzec. Williams próbował wylądować w alei, ale silny wiatr spowodował, że siadł pod osłoną muru, nieomal na brzegu przepaści. Wysiadłem z helikoptera uważając na kozy i kiedy chciałem obejść zamek od strony północnej, dosłownie wpadłem na dziewczynę.

Wpadając niespodziewanie na dziewczynę na odległej szkockiej wyspie należy się spodziewać, że się ją zobaczy w typowej szkockiej spódnicy. Bez tej spódnicy dziewczyna jest oczywiście nie do wyobrażenia. Jak również bez bliźniaka z szetlandzkiej wełny i brązowych butów. Powinna oczywiście być do tego wszystkiego kruczoczarłą pięknnością o dzikich, tajemniczych, zielonych oczach. A na imię mieć Deirdre. Ta, którą zobaczyłem, prezentowała się zupełnie inaczej. Z wyjątkiem może oczu, które co prawda nie były ani zielone, ani tajemnicze, ale dzikie i owszem. Jej blond włosy były bardzo modnie przystrzyżone; po bokach głowy sięgały brody, a grzywka spadała do poziomu brwi. Zrozumiałe, że fryzura ta, nawet przy bardzo łagodnym wietrze, zakrywała prawie całą twarz. Oprócz włosów miała na sobie marynarską bluzę w poprzeczne białe i niebieskie

pasy i wypłowiałe dzinsy, które musiały być uszyte na niej przy pomocy miniaturowej ręcznej maszyny, gdyż w uszyte normalnie nie mogłaby po prostu wejść. Stała bosą, stopy miała bardzo opalone. Był to w sumie niezwykle przekonujący dowód na to, że wpływ telewizji sięgał nawet do najodleglejszych zakątków imperium.

- Dzień dobry pani... - odezwałem się.

- Defekt silnika? - spytała mnie wyniosłym głosem.

- Nie.

- Jakieś uszkodzenie? ... Nie? Ta wyspa jest własnością prywatną! Proszę stąd natychmiast odlecieć!

Jeśli idzie o moją misję, nie miałem właściwie co tu robić. Gdyby dziewczyna przyjęła mnie z wyciągniętą ręką i uśmiechem, prawdopodobnie wpisałbym ją na listę podejrzanych. Ale zachowała się typowo. Zmęczony nieznajomy dzwoni do furtki i zamiast podać pomocną dłoń, zbywa się go niczym. Pod tym względem miała wiele wspólnego z moim przyjacielem, McEachernem, naturalnie z wyjątkiem sylwetki i strzelby.

Pochyliłem się lekko, aby lepiej przyjrzeć się jej twarzy. Zdumiała mnie. Sprawiała wrażenie, jakby spędziła noc i pół dnia w lochach zamczyska. Błada twarz, pozbawione krwi usta i podkrążone szaroniebieskie oczy, tak piękne, że podobnych nigdy w życiu nie widziałem.

- Co, do diabła, pan tu robi? - spytała.

- Nic... Nie mówi pani nawet tak, jak miejscowe szkockie dziewczęta, gdyż żadna z nich nie odezwałaby się do mnie w taki sposób. Cóż, szkoda. Koniec snu o Deirdre. Gdzie jest pani stary?

- Mój stary? - Jej jedno oko, to które mogłem dostrzec, wydawało się mieć moc zamieniania w popiół. - Chciał pan chyba powiedzieć mój ojciec?

- Tak. Proszę mi wybaczyć. Lord Kirkside.

Nie musiałem być wielkim psychologiem, aby zrozumieć, że mam przed sobą córkę właściciela zamku. Służba zamkowa na ogół nie ma takich manier.

- Jestem lordem Kirkside.

Odwróciłem się, aby zobaczyć właściciela tego poważnego głosu. Wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce, o orlim nosie i gęstych brwiach, ubrany w szare tweedowe ubranie.

- Co się tutaj dzieje, Sue?

Sue. Inaczej Susan.

- Nazywam się Johnson - powiedziałem. Ze służby ratowniczej lotniczo-morskiej. Meldowano

nam o tonącym statku „Moray Rose”, gdzieś na południu od Skye. Myśleliśmy, że jeśli jeszcze pływa, wiatr mógł go znieść w te okolice. Bardzo...

- A Sue była zdecydowana wrzucić was do przepaści nie pozwoliwszy nawet otworzyć ust? - Obrzucił tklwym spojrzeniem młodą dziewczynę. - Taka właśnie jest moja Sue. Musi pan wiedzieć, że nie znosi dziennikarzy.

- Bywa i tak - odpowiedziałem. - Ale dlaczego ja? Nie mam nic wspólnego z dziennikarstwem.

- Kiedy pan miał dwadzieścia jeden lat, czy potrafił odróżnić dziennikarzy od innych ludzi? Bo ja nie. Dzisiaj tak. Czuję to na kilometr. Umieć również rozpoznać helikopter służby ratowniczej, kiedy go widzę. Dziecko drogie, powinnaś się była zorientować. Niestety, panie Johnson, nie możemy się panu na wiele przydać. Ostatniej nocy czuwaliśmy wiele godzin na szczycie skał. Moi ludzie i ja wypatrywaliśmy światła, rakiety... Niczego jednak nie dostrzegliśmy.

- Tysiącne dzięki. Bardzo żałuję, że nie wszędzie spotykamy się z taką współpracą. - Z miejsca, na którym stałem, widziałem na południu maszt zakotwiczonego w małej zatoczce statku biologów z Oxfordu. Sam statek i namioty były ukryte za grzbietem górskim.

- Dlaczego obawia się pan dziennikarzy? - spytałem właściciela zaniku. - Dostać się na Dubh Sgeir jest o wiele trudniej niż do Westminsteru czy Izby Lordów.

- Na pewno - odpowiedział z uśmiechem, który złagodził zimne spojrzenie jego oczu. - Być może słyszał pan o tragedii, która pogrzyżyła w żałobie moją rodzinę. Mój starszy syn, Jonathon, i John Rollinson, narzeczony Sue...

Pomyślałem o sińcach pod szaroniebieskimi oczyma, ale z trudem mogłem uwierzyć, żeby w kilka miesięcy po tragedii następstwa byłyby jeszcze tak widoczne.

- Nie jestem dziennikarzem i - proszę mi uwierzyć - wtrącanie się w cudze sprawy mi nie odpowiada. - Fakt. Nie odpowiada mi, ale jest moim zawodem, zapewnia mi egzystencję. Chwila nie była jednak odpowiednia, by udzielać na ten temat wyjaśnień.

- Mieliśmy wypadek lotniczy - powiedział lord, wskazując na długą, szeroką, trawiastą aleję biegnącą w stronę skał. - Jonathon miał swój własny samolot, mały Beechcraft. Wystartował rankiem... Dziennikarze chcieli na miejscu zrobić reportaż. Przybyli statkiem, helikopterem... obrzydliwe. Naturalnie przyjęliśmy ich nie bardzo gościnnie... Czy napiją się panowie z nami?

Cokolwiek by powiedział Williams, lord Kirkside zdawał się być ulepiony z innej gliny niż jego córka czy McEachern. W każdym razie, jak się o tym przekonał arcybiskup Canterbury, był przeciwnikiem o wiele groźniejszym od Donalda i Sue razem wziętych.

- Jest mi bardzo miło - odpowiedziałem. - Dziękuję panu, ale naprawdę nie mamy czasu, zbliża się noc.

- Rozumiem pana, chociaż... jak mi się wydaje, szansę odnalezienia statku są w tej chwili bardzo nikłe.

- Obawiam się, że ma pan rację, ale obowiązek jest obowiązkiem.

- Naturalnie. Do widzenia. I życzę powodzenia.

Uścisnął mi dłoń. Oddalił się. Jego córka przez chwilę się wahała, wreszcie podała mi z uśmiechem palce. Wiatr odłonił jej czoło. Była naprawdę urocza.

Wróciłem do helikoptera.

- Nie mamy już wiele czasu, kończy się również zapas benzyny - powiedział po moim powrocie Williams. - Jeszcze godzina i zapadnie noc. Dokąd lecimy?

- Na północ. Wzdłuż tego trawiastego wybrzeża. Wydaje się, że służyło ono jako pas startowy dla małych samolotów turystycznych. Proszę się nie spieszyć. Williams przeleciał nad wyznaczoną trasą w żółwym tempie. Lecieliśmy nisko, nikt na wyspach nie mógł nas zauważyć. Skierowaliśmy się na zachód, następnie na południe, wreszcie na wschód - w kierunku miejsca, z którego wystartowaliśmy.

Słońce było już na linii horyzontu, zapadały ciemności, kiedy wreszcie dotarliśmy do piaszczystej plaży Torbay. Z trudnością rozróżniłem czarną sylwetkę wysepki pokrytej drzewami, słabe przebłyski srebrzącego się piasku oraz wierzchołki raf, oddzielających się od otwartego morza. Zbliżenie wydawało się dość ryzykowne, ale Williams okazywał tyle pewności siebie, jakby był matką, której podczas konkursu niemowląt udało się wcisnąć pięciofuntowy banknot przewodniczącemu jury.

Byłem spokojny, właśnie tak, jak on. Choć nie znałem się na helikopterach, umiałem wyczuć doskonałego pilota, tym bardziej że siedziałem obok niego. Denerwował mnie tylko fakt, że będę musiał znów samotnie przemierzać tę samą drogę udręki, chociaż tym razem już bez pośpiechu.

Williams wyciągnął rękę w stronę przełącznika zapalającego reflektory lądowania, światło jednak zabłysło na ułamek sekundy przed przekręceniem gałki. Oślepiająco jasne uderzyło z ziemi, prawdopodobnie z reflektora o średnicy stu dwudziestu pięciu milimetrów, umieszczonego na plaży tuż przy morzu. Promień błędził przez chwilę, wreszcie zatrzymał się na naszej kabinie, którą oświetlił jak południowe słońce. Williams zasłonił oczy ręką. Pochylił się do przodu, już martwy, podczas gdy biała bawełniana koszula stopniowo nabierała czerwonego koloru. Miał strzaskaną pierś. Skuliłem się za fotelem, szukając iluzorycznego schronienia przed kulami karabinu maszynowego, który rozbijał szyby. Helikopter nurkował powoli obracając się dookoła osi. Próbowałem uchwycić drążki sterowe, na których były jeszcze zaciśnięte dłonie martwego pilota, ale w tej samej chwili pociski zmieniły kierunek, być może dlatego, że strzelec zmienił położenie lufy, a może dlatego, że zdziwiło go pochylenie maszyny. Kule uderzały teraz o karter silnika, a ich metaliczny stukot mieszał się z dźwiękami wybuchów i odgłosem rykoszetów. Nastąpiła chwila niezwyklej kakofonii, silnik zatrzymał się nagle, jakby odcięto aparat zapłonowy. Helikopter bez życia zawisł w powietrzu, ale tylko na moment, a ja nie mogłem nic zrobić. Napiąłem mięśnie w oczekiwaniu na straszliwe uderzenie. Nie było ono jednak straszne, raczej niesamowicie głośne. Helikopter spadł na zewnętrzne pasmo skał wystających z morza.

Próbowałem dostać się do drzwi, niestety bezskutecznie. Widziałem je wysoko nade mną, gdyż spadaliśmy dziobem w dół i zostałem rzucony na deskę z przyrządami kontrolnymi. Byłem zbyt oszołomiony i zbyt słaby, aby szybko zareagować. Lodowata woda przedostawała się powoli przez dziury w kabinie. Zapanowała grobowa cisza. Trwało to bardzo krótko i znów zagrał karabin maszynowy. Kule przecięły za mną wewnętrzną część kadłuba, rozbijały szkło nade mną. Wydawało mi się, że strzelają do mnie, starałem się jak najgłębiej skryć głowę w lodowatej wodzie. Wreszcie uderzenia kul i ciężar wody, która przedostała się do kabiny spowodowały, że helikopter stracił równowagę. Przechylił się do przodu, przez chwilę trwał w tej pozycji, aż wreszcie ześliznął się z wierzchołków raf i spadł jak kamień do morza.

ŚRODA: OD ZMIERZCHU DO DWUDZIESTEJ CZTERDZIEŚCI

Jedna z najgłupszych bajek, całkowity idiotyzm rozgłaszany przez ludzi, którzy nie wiedzą, co mówią - to szczególnie głupawe twierdzenie, że śmierć przez utonięcie jest spokojna, łatwa i bezbolesna, a nawet przyjemna. Absolutne kłamstwo. Utonięcie jest jednym z najokropniejszych rodzajów śmierci. Wiem o tym doskonale, gdyż tonąłem i - proszę mi wierzyć - wcale mnie to nie zachwyciło. Głowa mi puchła, tak jakby wprowadzono do niej sprężone powietrze. Uszy i oczy bolały niesamowicie. Nos, usta i żołądek były przepełnione wodą morską, a płuca napompowane parami benzyny zdawały się być o krok od eksplozji. Gdybym otworzył usta, aby ugasić pożar trawiący moje płuca, gdybym chwycił oddech, który prawdopodobnie stałby się moim ostatnim, może po śmierci byłoby mi przyjemnie.

Kiedy jednak walczyłem o życie było mi bardzo trudno w to uwierzyć. Przeklęte drzwi zostały zablokowane. Zresztą trudno się dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę, że kadłub uderzył najpierw o skały, a potem o dno morza. Pchałem, ciągnąłem, biłem w nie pięściami. Bez rezultatu. Krew uderzała mi do uszu, żebra miażdżyły mi płuca, niszcząc we mnie życie. Oparłem nogi o tablicę z przyrządami pokładowymi, uchwyciłem klamkę i pchałem ze wszystkich sił z energią człowieka patrzącego w oczy śmierci. Drzwi nie drgnęły, za to klamka pozostała mi w rękach. Poleciałem, jak wyrzucony z katapulty w głąb kadłuba. Płuca nie wytrzymały już więcej. Zdecydowałem, że wolę śmierć niż tę straszliwą agonię. Wyrzuciłem z siebie przez pełne wody usta zużyte powietrze i zdecydowałem się odetchnąć głęboko morską wodą, której haust miał być dla mnie ostatnią łaską.

Postąpiłem krok do przodu i nabrałem pełne płuca powietrza. Sprężonego i trującego, zmieszanego z oparami benzyny i olejów, ale w każdym razie powietrza. Oddychałem już w swojej karierze powietrzem znad Atlantyku, ciężkim od aromatu winnic powietrzem znad Morza Egejskiego, ostrym powietrzem wśród norweskich sosen i upajającym niby szampan powietrzem wysokich Alp. Ale żadne z nich nie mogło się porównać z tą fantastyczną mieszaniną tlenu, azotu, benzyny i olejów, uwięzioną w głębi oszczędzonej przez kulę ogonowej części helikoptera. I było to powietrze takie, jakie być powinno. Woda dochodziła mi do szyi. Odetchnąłem sześć razy bardzo głęboko, aby ugasić trawiący mnie pożar i zmniejszyć ucisk w uszach, wreszcie posunąłem się, jak tylko mogłem najdalej, w głąb kadłuba. Woda sięgała mi teraz do piersi.

Zrobiłem kilka ruchów ręką, aby w ten sposób zorientować się, jaką ilość powietrza dysponuję i na ile czasu mi ono wystarczy. Nie było to łatwe w absolutnej ciemności. Sądziłem jednak, że będę mógł utrzymać się przy życiu przez dziesięć, piętnaście minut, oczywiście biorąc pod uwagę zwiększone ciśnienie. Przesunąłem się na lewą stronę kadłuba, wciągnąłem w płuca potężny haust powietrza, a potem pogrążyłem się w wodzie i ruszyłem do przodu, aby zbadać drzwi dla pasażerów, umieszczone dwa metry za fotelem pilota. Miałem nadzieję, że uda mi się je otworzyć. Odnalazłem je natychmiast. Nie drzwi, ale miejsce, w którym się powinny znajdować. Uderzenie, które zablokowało prawe drzwi, wyrwało lewe. Powróciłem do mojej powietrznej kuli, aby przez chwilę odpocząć. Powietrze było teraz niestety dużo mniej przyjemne niż to, którego zakosztowałem poprzednio.

Nie spieszyłem się już wiedząc, że będę mógł wydostać się z kadłuba w każdym momencie. Byłem przekonany, że na powierzchni czekają ludzie z bronią w rękach. Dotychczasowe

doświadczenia wykazały w pełni, że zaletą tych ludzi były konsekwencja i zamiłowanie do dobrej roboty. Praca wykonana połowicznie była - według nich - pracą nieudaną. Musieli przybyć łodzią, która z pewnością znajdowała się w tym momencie niebezpiecznie blisko, dokładnie nad miejscem, w którym zatonął helikopter. Pewnie też opijali już sukces operacji, obserwując jednocześnie powierzchnię morza, czy przypadkiem nie ukaże się na niej czyjaś głowa.

Myślałem o tym, co powiem wujowi Arthurowi, jeśli naturalnie dotrę do „Firecresta”, jeśli kiedykolwiek uda mi się nawiązać z moim szefem kontakt. Zgubiłem „Nantesville”, dopuściłem do śmierci Bakera i Delmonta, pozwoliłem się rozszyfrować nieznanemu nieprzyjacielowi (nie miałem co do tego wątpliwości po wizycie fałszywych celników), spowodowałem wreszcie śmierć Scotta Williamsa, pozbawiając w ten sposób marynarke znakomitego pilota. Z czterdziestu ośmiu godzin pozostało mi już tylko dwanaście, które zresztą wuj Arthur mógłby zredukować do zera po wysłuchaniu przekazywanego przeze mnie raportu. A tym samym moja kariera detektywa byłaby skończona, gdyż ewentualne referencje, które bym otrzymał, nie dałyby mi nadziei nawet na to, że jakiś kramarz zatrudni mnie w charakterze strażnika swoich wózków. Tak. Tylko co to wszystko obchodziło wujka Arthura? Baker, Delmont i Williams nie żyli. Był to smutny, wręcz przytłaczający rachunek do spłacenia. Komu miałem go spłacić? Ba. A jednak tylko ja mogłem myśleć o jego uregulowaniu, choć moje szansę na powodzenie wydawały się równe zeru. Obawiam się, że nie znalazłbym w tej chwili na świecie bukmachera, który by stawiał na moje powodzenie więcej niż jeden do tysiąca. Tylko wariaci mogli mi jeszcze wierzyć.

Na górze czuwali ludzie, byłem tego pewien. Jak długo będą trwać w miejscu? Ta myśl zbudziła natychmiast inną, która wypełniła moje usta smakiem gorszym od najbardziej zepsutego powietrza. Zadałem sobie pytanie, jak długo ja mogę czekać i czy już nie przekroczyłem limitu czasu? Ogarnęła mnie panika. Poczulem ucisk w okolicy żołądka. Przypomniałem sobie czasy, kiedy zajmowałem się nurkowaniem. Jak długo byłem już pod wodą? Na jakiej głębokości? Ile minut trwał upadek helikoptera na dno morskie?

W takich okolicznościach zatracą się poczucie czasu. Woda zakryła mi głowę prawdopodobnie w połowie drogi na dno, po upływie mniej więcej dwudziestu sekund. Walka z zablokowanymi drzwiami trwała minutę, a może trochę więcej. Potem odnalazłem przestrzeń wypełnioną powietrzem w ogonowej części maszyny, gdzie odpoczywałem ponad minutę odzyskując siły. Poszukiwanie i odnalezienie drzwi po lewej stronie trwało jakieś trzydzieści sekund. Ile jednak czasu straciłem od tamtej chwili? Sześć minut, siedem? Co najmniej siedem. A więc ogółem - około dziesięciu minut. Strach znów zacisnął mi gardło.

Na jakiej głębokości się znajdowałem? To było zasadnicze pytanie. Ciśnienie wskazywało, że helikopter pograżył się głęboko. Na ile jednak metrów? Dwadzieścia? Trzydzieści? Czterdzieści? Próbowałem przypomnieć sobie mapę morską. Dno osiągało głębokość stu pięćdziesięciu metrów w kanale Torbay, a kanał przebiegał bardzo blisko wschodniego przylądka wyspy. Znajdowałem się jednak na wybrzeżu. Helikopter mógł spoczywać na głębokości ponad pięćdziesięciu metrów. Jeśli tak było w rzeczywistości, byłem zgubiony! Co mówi tablica dekompresacji? „Człowiek przebywający dziesięć minut na głębokości pięćdziesięciu paru metrów, musi zatrzymać się co pewien czas w drodze na powierzchnię, w czasie równym co najmniej osiemnastu minutom”. Kiedy się oddycha sprężonym powietrzem, azot osadza się w tkankach, a kiedy się wypływa, krew przenosi

go do płuc, które go wydalają w trakcie oddychania. Jeżeli wynurzać się zbyt szybko, płuca nie nadążają z wydalaniem nadmiaru gazu, we krwi tworzą się pęcherzyki azotu powodując bolesną i paraliżującą chorobę kesonową. Na głębokości około trzydziestu sześciu metrów potrzebny jest sześciominutowy okres wynurzania. Nie miałem żadnych możliwości zatrzymać się podczas wynurzania, a każda dodatkowa sekunda przebywania we wnętrzu helikoptera czyniła mój powrót na powierzchnię coraz bardziej niebezpiecznym i bolesnym. Pomyślałem, że raczej już opłaca mi się wypłynąć wprost pod lufy rewolwerowe moich przeciwników, niż przedłużyć pobyt na dużej głębokości. Odetchnąłem parę razy głęboko, by jak najlepiej utlenić krew, wypełniłem płuca powietrzem, przeszedłem pod wodą przez wyrwę po drzwiach i popłynąłem w górę.

Nie zdawałem sobie sprawy z upływu czasu podczas upadku na dno, straciłem orientację również i teraz, w czasie wynurzania. Płynąłem wolno, aby maksymalnie wykorzystać zapas tlenu w płucach. Co dziesięć sekund wypuszczałem część powietrza przez usta. Bardzo mało, tyle tylko, żeby zredukować nadciśnienie. Woda nade mną była ciemna, tak jakbym znajdował się na głębokości stu metrów. Nagle, mając jeszcze powietrze w płucach, zauważyłem, że woda się przejaśnia. Uderzyłem głową w jakąś przeszkodę. Schwyciłem ją, podciągnąłem się i zacząłem łakomić oddychać, czekając na rozpoczęcie bólów dekompresyjnych. Ich brak świadczył o tym, że musiałem znajdować się na głębokości dwudziestu, dwudziestu pięciu metrów, nie więcej.

W ciągu ostatnich dziesięciu minut mój umysł ucierpiał w równym stopniu, co reszta ciała, ale musiałby jednak ucierpieć znacznie bardziej, bym nie poznał tego, czego się trzymałem. Był to ster łodzi. Gdyby potrzebne mi było potwierdzenie, znalazłbym je natychmiast w lekkim fosforyzowaniu wody, mielonej przez dwie wolno obracające się śruby, znajdujące się kilkadziesiąt centymetrów przede mną. Wynurzyłem się na powierzchnię pod statkiem, który mnie oczekiwał. Przysłowiowy łut szczęścia. Z równym powodzeniem mogłem wydostać się w zasięgu śrub i zostać oskalpowany. Mogło się to zresztą zdarzyć w każdej chwili, jeśli właścicielowi statku strzeliłoby do głowy, by się cofnąć. Naturalnie, zostałbym wówczas wessany i dokładnie przemielony. Na szczęście byłem jednak zbyt pochłonięty niebezpieczeństwem chwili, aby się truć tym, co mi może grozić.

W odległości trzydziestu, czterdziestu metrów od prawej burty zauważyłem skały. Statek ich nie mijał. Oznaczało to, że jego śruby obracają się tylko po to, żeby zredukować siłę wiatru i prądu. Od czasu do czasu jaskrawa smuga światła przeczesywała dookoła czarne wody. Wiedziałem, że załoga obserwowała powierzchnię z odbezpieczoną bronią. Nie miałem pojęcia, co to za statek, ale pomyślałem, że później będę musiał go w jakiś sposób zidentyfikować. Wyciągnąłem nóż z pochwy i wyryłem znak na tylnej krawędzi steru.

Usłyszałem głosy: cztery. Poznałem je od razu. Gdybym żył wiecznie, też nigdy bym nie zapomniał żadnego z tych głosów.

- Nic z twojej strony, Quinn? - spytał Imrie, pamiętny organizator polowania na człowieka na pokładzie „Nantesville”.

- Nic, kapitanie.

Poczułem, jak włosy mi się jeżą. Quinn vel Durran - fałszywy celnik. Ten, który omal mnie nie zadusił.

- A z twojej strony, Jacques?

- Nic. Piętnaście minut temu spadli do wody. Jeśli nie mają stalowych płuc, to dawno już utonęli.

- Dobrze. Uciekamy - podsumował Imrie. - Mamy prawo do otrzymania premii za pracę tej nocy. Kramer?

- Kapitanie - odpowiedział zachrypnięty głos.

- Cała naprzód. Płyniemy w górę cieśniny.

Rzuciłem się w tył, nurkując głęboko. Woda zagotowała się nade mną, zajaśniała fosforyzującym blaskiem. Płynąłem na głębokości dwóch, trzech metrów w kierunku rafy. Jak długo? Nie wiem. Prawdopodobnie mniej niż minutę. Moje płuca nie były już tak sprawne, jak niegdyś, nawet tak, jak dwadzieścia minut temu. Gdy się wynurzyłem, morze było puste. Zauważyłem w oddali jasną, fosforyzującą na czarnym morzu smugę. Reflektory były wygaszone. Imrie wykonał zadanie. Statek nie miał nawet świateł pozycyjnych. Podpłynąłem wolno aż do skał i zatrzymałem się tam, aby moje zbolące mięśnie i cały organizm odzyskał siły. Nigdy nie myślałem, że człowiek może się tak całkowicie „wypompować” w ciągu zaledwie piętnastu minut. Chętnie odpoczywałbym na skałach przez wiele godzin, ba, przez cały dzień, ale po upływie pięciu minut znów pogrążyłem się w wodzie, aby dopłynąć do brzegu. Czas zdecydowanie pracował przeciwko mnie.

Trzykrotnie usiłowałem wciągnąć się z pontonu na pokład „Firecresta”. Różnica poziomów wynosiła zaledwie sto dwadzieścia centymetrów. Dla mnie jednak była to wysokość góry. Dziesięcioletni chłopiec dokonałby tego wyczynu z łatwością, ale Calvert nie był z pewnością dziesięcioletnim chłopcem. Był za to bardzo starym człowiekiem.

Zawołałem Hunsletta, ale nie przyszedł mi z pomocą. Wołałem trzykrotnie. Nasz statek był czarny, nieruchomy, martwy. Co, do diabła, robił Hunslett? Czy spał, czy znajdował się w porcie? Nie, no nie w porcie. Obiecał, że pozostanie na pokładzie na wypadek, gdyby wuj Arthur się odezwał. A więc spał? Wściekłem się. Tego było już za wiele. Szczególnie po tym, co przeszedłem. Wrzasnąłem z całych sił, następnie uderzyłem w stalowy kadłub kolbą lugera. Żadnej reakcji. Za czwartym razem udało mi się wreszcie wdrapać na pokład. W rzeczywistości wyglądało to tak, że najpierw leżałem brzuchem na burcie, trzymając dziób pontonu w rękę, a potem po prostu spadłem na deski. Zamocowałem łódź i ruszyłem na poszukiwanie Hunsletta. Przygotowałem sobie kilka ciepłych słów dla niego. Musiałem jednak zachować je dla siebie. Przeszukałem statek od dziobu do rufy, wszystkie pomieszczenia. Hunsletta nie było. Nie znalazłem śladów pośpiesznego odjazdu czy walki. Na stole w kajucie nie było nakrycia, a w kuchni brudnych garnków i talerzy. Wszystko było w porządku. Prócz tego, że Hunslett zniknął. Zagłębiłem się w fotelu w kabinie i próbowałem wytłumaczyć sobie przyczynę jego nieobecności. Trwało to zaledwie dwie minuty, gdyż nie byłem w stanie o czymkolwiek myśleć. Wstałem i wyszedłem na pokład, aby umocować na stałe ponton i przyczepny motor. Nie było już teraz powodu do ukrywania pontonu pod łańcuchem kotwicznym... Poza tym nie miałem na to po prostu siły. Wpuściłem powietrze i umieściłem ponton w tylnej ładowni. Gdyby ktokolwiek jeszcze się zjawił, aby dokonać rewizji na statku, dostałby kulę. Mógłby się nawet przedstawić jako pułkownik żandarmerii, dyrektor policji śledczej, generalny inspektor ceł

czy coś w tym rodzaju: Przede wszystkim zaaplikowałbym mu kulę w nogi, a potem bym go wysłuchał. I naturalnie, gdybym poznał jednego z moich przyjaciół z „Nantesville”, celowałbym w głowę.

Zszedłem pod pokład do kabiny. Czuję się tak, jakbym był chory. Helikopter spoczywał na dnie morza wraz z pilotem, który miał pierś rozplataną przez serię karabinu maszynowego. Już samo to mogło mnie przyprawić o chorobę. Rozebrałem się i mocno wytarłem ręcznikiem. Ta czynność pozbawiła mnie zupełnie sił. Nic dziwnego, ostatnie trzy kwadransy nie były okresem odpoczynku. Potykałem się, biegłem, uderzałem o drzewa tego przeklętego lasu, odnalazłem i nadmuchałem ponton i po akrobatycznych próbach udało mi się spuścić go na wodę. Wszystko to było wyczerpujące, ale nie aż tak, abym miał kompletną pustkę w głowie, a nogi jak z waty. Byłem przecież silny i doskonale wytrenowany. Tak, to nie tyle moje ciało było zmęczone, co serce i umysł.

Ubrałem się starannie, nie zapominając oczywiście o szalu, którym przykryłem siniak w kolorach tęczy, pozostawiony na mojej szyi przez uścisk Quinna. Przejrzałem się w lustrze. Ujrzałem własnego dziadka. Twarz dziadka na łożu śmierci. Głębokie bruzdy, żółta cera. Tyle że skóra na twarzy nie była woskowo gładka. Igły sosen poszatkowały ją dokładnie. Sprawiałem wrażenie chorego na czarną ospę.

Sprawdziłem działanie lugera i liliputa, które przed opuszczeniem Dubh Sgeir zawinałem w wodoszczelną osłonę, następnie zaaplikowałem sobie większą dawkę whisky. Dobrze mi to zrobiło. Moje czerwone ciałka krwi znów stanęły na nogi i powoli zaczęły krążyć. Wydawało mi się, że dobrze by było pokrzepić je jeszcze raz i wyciągnąłem rękę w kierunku butelki. W tej samej chwili usłyszałem warkot motoru. Odstawiłem butelkę, zgasłem światło - choć spoza zasuniętych storz grubego aksamitu i tak nie było widoczne na zewnątrz - i zająłem pozycję za otwartymi drzwiami mesy.

W gruncie rzeczy była to chyba zbędna przezorność, gdyż motorówka mogła tylko odprowadzać Hunsletta. Ale dlaczego, u licha, nie wykorzystał naszej własnej motorówki umocowanej na rufie? Prawdopodobnie ktoś zawiózł go na ląd i teraz odwozi z powrotem.

Sternik zwolnił, wyłączył silnik, znów go włączył i cofnął się. Usłyszałem uderzenie o kadłub i szmer głosów, kroki na pokładzie i warkot oddalającego się motoru.

Nad moją głową rozległ się odgłos kroków. Gość był sam, kierował się w stronę kabiny sterowniczej. Było to pewne stąpanie człowieka, który wie, dokąd idzie. Nie były to jednak kroki Hunsletta. Skurczyłem się w ukryciu, wyciągnąłem lugera, odbezpieczyłem go i szykowałem się do należytego przyjęcia, godnego tradycji mieszkańców szkockich gór.

Trzaśnięcie drzwiami przekonało mnie, że gość wszedł do sterówki kajuty. Nowy trzask oznajmił mi jego wyjście. Wąski snop światła omiatał cztery stopnie dzielące moje schronienie od stanowiska sterowego. U stóp schodów człowiek zatrzymał się, a światło latarki szukało kontaktu na ścianie. Postąpiłem krok, uchwyciłem ramieniem jego szyję, rąbnąłem kolanem w nerki. Wpakowałem mu lufę lugera w prawe ucho. Działąłem brutalnie, spodziewałem się, że mój gość może nosić nazwisko Quinn. Okrzyk bólu przekonał mnie, że się pomyliłem.

- To nie jest aparat słuchowy, to co masz w uchu, mój chłopcze, ale lufa lugera - powiedziałem.
- Lekki nacisk na język spustowy dzieli cię od lepszego świata. Byłoby lepiej dla ciebie, żebyś mnie nie denerwował.

Perspektywa podróży do lepszego ze światów bynajmniej mu nie odpowiadała. Pozostał grzecznie nieruchomy, a z jego gardła wydobył się niezrozumiały bełkot. Próbował mówić albo chociaż głębiej odetchnąć. Rozluźniłem uścisk.

- Wyciągnij powoli lewą rękę i przekręć wyłącznik - poleciłem.

Zrobił to bardzo ostrożnie i rzeczywiście bardzo powoli. Zapłonęły lampy.

- Podnieś ręce do góry... Wyżej!

Wzorowy więzień wykonywał każde moje polecenie. Skierowałem go na środek kabiny, kazałem zrobić trzy kroki i odwrócić się twarzą do mnie.

Był średniego wzrostu, ubrany w karakułową kurtkę i futrzaną czapkę. Doskonale utrzymaną siwą brodę dzielił symetrycznie czarny kosmyk włosów. Chyba jedyna tego rodzaju ozdoba, jaką kiedykolwiek widziałem. Ogorzała twarz była czerwona z gniewu, a kto wie, czy i nie z braku tchu. Opuścił ramiona bez mego zezwolenia, usiadł na tapczanie, wyciągnął monokl, wcisnął go do prawego oka i spojrzał na mnie z wściekłością. Spojrzałem na niego zupełnie w ten sam sposób, włożyłem lugera do kieszeni, nalałem whisky do szklanki, którą podałem kontradmirałowi sir Arthurowi Arnford-Jasonowi, komandorowi Orderu Łażni i posiadaczowi całej kolekcji innych odznaczeń, mojemu szefowi poza tym.

- Powinien był pan zapukać, admirale.

- Rzeczywiście. Czy zawsze przyjmuje pan w taki sposób gości?

Jego głos był lekko ochrypnięty, być może zbyt długo zaciskałem mu szyję.

- Nie mam żadnych gości, admirale. Ani przyjaciół. W każdym razie nie w tym rejonie. Mam tu tylko wrogów. Ktokolwiek dotąd tu wszedł, był wrogiem. Zresztą nie oczekiwałem pana.

- Mam nadzieję, że pan mnie istotnie nie oczekiwał... sądząc po przyjęciu... -

Pomasował sobie szyję, przełknął łyżeczek whisky i zakaszłał. - Nie zamierzałem tutaj przybyć. Czy pan wie, ile sztab złota znajdowało się na pokładzie „Nantesville”?

- Ich wartość, jak mi wiadomo, wynosiła około miliona funtów.

- Osiem milionów, jeśli pan chce wiedzieć dokładnie. Na ogół złoto, które wuj Sam zbierał łopata w Europie, aby wypełnić swój Fort Knox, podróżuje w małych paczkach: jednorazowo w sztabach po sto osiem funtów każda. Tak jest i pewniej, i rozsądniej. Tym razem Bank Angielski wiedział, że nie może wydarzyć się żaden wypadek; mieliśmy przecież naszych agentów na pokładzie. Bank był opóźniony w dostawach i dlatego załadował tysiąc czterysta czterdzieści sztab,

nie informując zresztą o tym nikogo. Czy pan myśli, że dyrekcja Banku podskoczy do sufitu? ! A rząd? I wszystkie pretensje będą kierowane wyłącznie do mnie! No, tak. Wiedziałem, że wobec tego zabierze się teraz do mnie. Było to zresztą zupełnie naturalne.

- Powinien był pan mnie uprzedzić... o swoim przybyciu.

- Próbowałem. Nie respektował pan jednak godzin nasłuchu w południe. To elementarny błąd i kto wie, czy nie najpoważniejszy. Calvert. Zignorowaliście rozkaz, pan i Hunslett. Zrozumiałem, że sprawy mają się bardzo źle i że muszę wziąć je w swoje ręce. Przyleciałem tu samolotem, a potem dopłynąłem statkiem ratowniczym RAF-u.

Przypomniałem sobie statek ledwie widoczny w przesmyku.

- Gdzie jest Hunslett? - spytał wuj Arthur.

- Nie wiem.

- Nie wie pan? - zapytywał spokojnym tonem, którego najbardziej nie lubiłem. - Pływa pan w zbyt niebezpiecznych dla siebie wodach, przynajmniej tym razem, Calvert.

- Tak, proszę pana. Obawiam się, że prawdopodobnie go porwano. Nie wiem jednak w jaki sposób... Co pan robił w ciągu ostatnich dwóch godzin, admirale?

- Proszę?

Dlaczego, do diabła, nie przestawał wciskać do oczodołu tego przeklętego monokla! Nosił go nie ze snobizmu, jego prawe oko było prawie że ślepe, ale sam odruch sprawiał wielce denerwujące wrażenie. Inna rzecz, że wszystko mnie teraz denerwowało.

- Statek ratowniczy RAF-u, który pana tutaj dowiózł, powinien przybyć dwie godziny wcześniej. Widziałem go z helikoptera. Dlaczego nie popłynął pan od razu na pokład?

- Zrobiłem to, dopłynęliśmy do „Firecresta” o zmierzchu. Nie zastałem nikogo. W waszej spiżarni znalazłem tylko fasole w puszcze i dlatego udałem się na kolację gdzie indziej.

- Hotel „Columbia” też nie zaofiarowałby panu nic lepszego, najwyżej grzaną pod fasolę.

„Columbia” była jedynym hotelem w Torbay.

- O nie, zjadłem wyśmienitą kolację. Wędzonego pstrąga, filet cielęcy, a do tego podano butelkę doskonałego wina reńskiego. Na pokładzie „Sangri-la”.

Cień uśmiechu towarzyszył jego słowom. Admirał odsłonił swoją piętę achillesową. Trzeba było mieć tytuł lordowski, aby z nim rozmawiać jak równy z równym, ale jeśli się było miliarderem, to automatycznie zwykły tytuł szlachecki stawał się równy tytułowi lordowskiemu.

- Na „Sangri-la”? ... Przypominam sobie. Mówił mi pan, że zna bardzo dobrze panią Skouras.

Prawda? Powiedział pan, że zna bardzo dobrze panią Skouras i dobrze jej męża. No i jak się miewa stary sir Anthony?

- Doskonale - odpowiedział lodowatym tonem.

Lubił żarty, jak każdy człowiek, ale nie bawiła go swawolna rozmowa o multimilionerach.

- A jego żona?

- Hmm... Dobrze.

- Wydaje mi się, że nie za bardzo. Widziałem ją bladą, nieszczęśliwą, z czarnymi sińcami pod oczyma. Wyglądała prawie tak samo jak ja w tej chwili. Mąż ją maltretuje. Okrucieństwo psychiczne i fizyczne. Znieważył ją wczoraj wieczorem publicznie. Widziałem czerwone pręgi na jej ramionach, spowodowane przez sznury. Jak to wytłumaczyć?

- To zupełnie niemożliwe. Znałem pierwszą panią Skouras, tę, która zmarła na początku roku w Nicei. Była...

- Była leczona w klinice psychiatrycznej. Skouras sam mi o tym opowiedział.

- W każdym razie ubóstwiała go i on był zwariowany na jej punkcie. Człowiek nie może tak szybko zmienić swego charakteru. A poza tym... sir Anthony jest dżentelmenem.

- Pan w to wierzy? A może by mi pan opowiedział, w jaki sposób doszedł do swoich pierwszych milionów? Czy widział pan panią Skouras?

- Tak. Przybyła troszkę później - mówił powoli - w trakcie cieleącego steku...

To opóźnienie bynajmniej go nie zdziwiło.

- I mnie się wydało, prawdę mówiąc, że nie czuła się najlepiej. Miała siniec na prawej skroni, upadła przechodząc ze statku na jacht. Uderzyła się głową o poręcz barierki.

- Wydaje mi się, że uderzyła się o pięść swego męża. Powróćmy jednak do momentu pańskiego przybycia na pokład „Firecresta”, jeśli łaska. Czy był pan wszędzie i wszystko sprawdzał?

- Tak. Nie byłem tylko w tylnej kabinie. Zamknięto ją na klucz. Pomyślałem, że znajduje się w niej coś, czego nie chciał pan pokazywać przypadkowym gościom.

- Względnie coś, czego osobnik, który był tu przed panem, nie chciał panu pokazać... Na przykład Hunsletta pod dobrą strażą. Nasi przyjaciele czekali prawdopodobnie na mój powrót lub na wiadomość o mojej śmierci. Gdybym zginął, zabiliby Hunsletta albo zatrzymali jako więźnia. Gdybym powrócił, schwytaliby mnie, a następnie zamordowali nas obu. Zbyt kochałem życie, jak na ich gust. Na otwarcie pancernego skarbcza, nawet na pokładzie „Nantesville”, potrzeba dużo czasu. Wiedzą, że tego czasu pozostało im niewiele. Dlatego myślą o wszystkim.

- Oczekiwali wiadomości o pańskiej śmierci? - wypowiedział wuj Arthur mechanicznie. - Nie rozumiem.

- Helikopter został zestrzelony po zachodzie słońca. Pilot zginął, a maszyna wylądowała na dnie morza. Imrie i jego współpracownicy sądzą, że i ja się tam znajduję.

- Coraz lepiej, Calvert! - Prawie nie zareagował, tak jakby zadawane mu ciosy oszołomiły go zupełnie, bardziej prawdopodobne było jednak przypuszczenie, że zastanawiał się nad tym, jak zakomunikować mi - w sposób oszczędny i jednocześnie zdecydowany - że powiększyłem szeregi bezrobotnych. Zapalił długie, cienkie, przeraźliwie czarne cygare i zaciągnął się kilka razy. - Kiedy wrócimy do Londynu - powiedział - niech pan mi przypomni, abym panu pokazał tajne akta, w których są kopie pańskich raportów.

- Dobrze, admirale.

- Przedwczoraj jadłem obiad w towarzystwie podsekretarza stanu. Między innymi zadał mi pytanie, jaki europejski kraj ma najlepszych agentów. Odpowiedziałem, że nie wiem, ale w każdym razie znam najlepszego tajnego agenta Europy, Philipa Calverta.

- To bardzo miłe z pańskiej strony, admirale.

Gdybym mógł uchylić tej maski złożonej z brody, whisky, cygara i monokla, być może wyraz jego twarzy pozwoliłby mi odgadnąć, co się właściwie rodzi w mózgu.

- Trzydzieści sześć godzin temu chciał mnie pan wyrzucić...

- Jeżeli pan w to uwierzył - powiedział wuj Arthur spokojnie - to wydaje mi się, że potrafiłby pan uwierzyć we wszystko. - Wypuścił kłęb śmierdzącego dymu i ciągnął dalej: - W pańskiej teczce personalnej można wyczytać: „Niezdolny do prowadzenia normalnego śledztwa. Łatwo się męczy i zniechęca. Osiąga maksymalną wydajność w sytuacjach beznadziejnych. Jest wówczas niezrównany”. Tak właśnie jest napisane w pańskiej teczce personalnej, Calvert.

- Czy wie pan, kim pan jest, admirale?

- Stary makiaweliczny diabeł - wyznał wuj Arthur nie bez pewnej satysfakcji. - Zgoda. Czy pan wie, co się tu właściwie dzieje.

- Tak, admirale.

- Niech mnie pan poczęstuje jeszcze jedną szklanicą whisky, mój chłopcze. I niech mi pan opowie, co się stało, to znaczy - niech pan opowie wszystko, co pan sądzi, że wie.

Nalałem mu solidną porcję whisky i opowiedziałem, co się wydarzyło i co ja sądzę na ten temat. Naturalnie, zreferowałem mu akurat tyle, ile uznałem za stosowne.

Pozwolił mi się wygadać, nie przerywając ani słowem.

- Jezioro Huron, tak pan myśli? - spytał wreszcie.

- Tak mi się wydaje. Nie mówiłem o tym nikomu i sądzę, że nikt mnie nie widział. A jednak poznano mnie i przekazano mój rysopis. Droga radiową, oczywiście. Jakiś statek czekał na nas w Torbay, na Williamsa i na mnie. Statek ten mógł przybyć tylko z Torbay lub najbliższych okolic. Aby przepłynąć jezioro Huron, łączące się z morzem, potrzeba dziesięciokrotnie więcej czasu, niż zużył na to helikopter. Wniosek z tego prosty - właśnie tu na ziemi czy na wodzie, znajduje się działający nadajnik radiowy. Drugi jest na jeziorze Huron.

- A więc ta rzekoma ekspedycja naukowa z Oxfordu? Ale... chyba nie? A zresztą, może mieć i nadajnik na pokładzie.

- O nie, admirale. To chłopcy z brodami. - Wstałem i rozsunąłem zasłony. - Ich statek jest rzeczywiście uszkodzony. Rufa siedzi na dnie. Nie przebili jej sami, nie spowodowały tego również skały. Ktoś musiał do tego przyłożyć rękę. Cóż, jeszcze jeden wypadek podczas nawigacji; ostatnio zdarzają się na tych wodach coraz częściej.

- Dlaczego rozsunął pan zasłony?

- Pomyślałem o nowym małym wypadku, proszę pana. W nocy „Firecrest” podniesie kotwicę. Nasi przyjaciele wierzą, że nie żyjemy: Hunslett i ja... Względnie, że ja nie żyję, a Hunslett jest ich więźniem. Nie mogą pozostawić naszego opuszczonego statku pośrodku portu. Mogłoby to kogoś zaalarmować. Przybędą więc motorówką, podniosą kotwicę, skierują jacht na środek kanału, przerwą dopływ wody morskiej chłodzącej silniki, otworzą zawory i przesiądą się do swojej łodzi motorowej. Pokłonią się „Firecrestowi”, który powoli zatoni, podążając za helikopterem na dno morza. Niewinni mieszkańcy tego świata dowiedzą się z bólem, że podnieśliśmy kotwicę o zachodzie słońca, Hunslett i ja...

- I że zostaliście pochłonięci przez burzę. Tak pan sądzi?

- Jestem pewien!

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z zasłonami?

- Potwierdzi moje przypuszczenie, że nadajnik radiowy znajduje się gdzieś tu bardzo blisko.

- Ciągle nie rozumiem, jaki to ma związek...

Wuj Arthur był wyraźnie zdenerwowany.

- Najlepszą porą do zatopienia statku jest przesilenie pływów. Uszkodzony statek tonie dokładnie tam, gdzie się tego pragnie. Tej nocy morze będzie spokojne nad ranem, o pierwszej. A więc załoga, która ma dokonać zatopienia, przybędzie około północy. Jeżeli za kilka minut powitamy gości, przybywających bez tchu, będzie to oznaczało, że śledzono nas i że operatorzy radiowi znajdują się w pobliżu, na lądzie lub na morzu.

- No i co z tego? - spytał wuj Arthur poirytowany. - Niby dlaczego mieliby tu przybywać bez

tchu?

- Niech pan przyjmie mój sposób rozumowania. Hunslett jest w ich rękach. To znaczy, mam nadzieję, że jest, bo wolę nie myśleć o innym powodzie jego nieobecności... Ja jestem martwy - nie mają na to jednak dowodu. Nagle widzą światło z naszego okna. „Calvert zmartwychwstał - stwierdzą - albo na pokładzie znajdują się jacyś jego przyjaciele, których nie znamy. Należy ich natychmiast zlikwidować”. I naturalnie z miejsca udadzą się na nasz pokład. Bez tchu.

- Nie widzę powodu, aby pan to tak lekko traktował.

- Jeżeli pan tak rzeczywiście myśli, admirale, jest pan zdolny uwierzyć w cokolwiek, jak to pan określił przed paroma minutami.

- Powinien był pan spytać mnie o zdanie. Uprzedził bym pana wówczas, że postanowiłem wziąć całą sprawę w swoje ręce.

Wuj Arthur poruszył się na krześle. Jego twarz była jak z kamienia, ale wiedziałem, że źle się czuje. Był znakomitym organizatorem, ale czyny wykonawców - uderzenia w głowę czy na przykład wspinanie się po wysokich skałach, gdzie w każdej chwili groziło poślizgnięcie się - nie bardzo mu odpowiadały.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziałem. - Po powrocie do Londynu należałoby poprawić moją charakterystykę... a szczególnie ten fragment o najlepszym agencie Europy.

- Touché... touché - wymamrotał po francusku. - A więc pańscy przyjaciele napadną na nas z nienacka. Znajdują się już w drodze. Uzbrojeni po zęby. Zawodowi mordercy. Czy my... nie musimy się przygotować, aby ich godnie przyjąć? Psiakrew, nie mam nawet broni!

Podałem mu mojego lugera.

Wziął broń do ręki, sprawdził magazynek, odsunął bezpiecznik i wreszcie usiadł z powrotem z wielce niepewną miną.

- Czy nie sądzi pan, że powinniśmy odpłynąć? Wystrzelają nas przecież jak kaczki.

- Mamy czas, admirale. Najbliższy dom czy statek znajduje się w odległości tysiąca pięciuset metrów na wschód. Oznacza to, że nasi goście muszą przebyć tysiąc pięćset metrów, i to pod wiatr. Naturalnie, nie odważą się użyć silnika, będą raczej wiosłować, czyli mamy jeszcze naprawdę sporo czasu. Powróćmy więc do jeziora Huron: moi geolodzy i inni biologowie są poza podejrzeniami - niezdolni do zdobycia łodzi, a co dopiero pięciu dużych statków. Donald McEachern zachowuje się bardzo podejrzanie. Miał wszelkie warunki, aby dokonać przestępstwa, a prócz tego był bardzo niespokojny i nerwowy. Z drugiej strony jestem jednak pewien, że gdy groził mi swoją pukawką, miał za plecami dziesięć karabinów. Tylko że wszystko to jest zbyt jasne i klarowne, jak na działalność zawodowców.

- A jeśli pańscy zawodowi przestępcy liczyli na to, że profesjonalny detektyw wyciągnie właśnie taki wniosek? Twierdzi pan, że ów Donald był wyraźnie zatroskany.

- Możliwe, że jest on zamieszany w całą sprawę, ale w każdym razie nie bezpośrednio. Przejdźmy do łowców rekinów. Mają łodzie i cały potrzebny sprzęt, poza tym są bardzo nieustępliwi. Wszyscy ich znają i szanują. Prócz tego z łatwością moglibyśmy skontrolować ich wysyłki tranu. Pozostaje Dubh Sgeir. Lord Kirkside i śliczna Sue.

- Panna Susan Kirkside - poprawił wuj. Naprawdę, trudno jest robić komuś uwagi tak beznamiętnym i bezosobowym tonem, ale wuj Arthur z pewnością jest mistrzem w tym względzie. - Znam lorda Kirkside. - Z jego tonu można było wnosić, że rozumie się to samo przez się. - Jeśli mogę się mylić co do sir Anthony'ego - mimo że dałbym za jego uczciwość sto przeciw jednemu - to jestem absolutnie przekonany, że lord Kirkside jest niezdolny do popełnienia jakiegoś brzydkiego czynu czy też czegoś kolidującego z prawem.

- Ja również. Jest to twardy facet, ale stojący po stronie aniołów.

- Nie znam jego córki. Co pan o niej myśli?

- Modna dziewczyna. Wyraża się w nowoczesny sposób i tak samo się ubiera. Sprawia wrażenie takiej, która wie, czego chce, wie, co mówi, i potrafi się obronić. W rzeczywistości jednak nie jest aż tak twarda. To raczej dziewczyna starej daty ubrana w modne szmatki.

- Kirkside'owie są wobec tego poza sprawą. - Poczulem ulgę w jego głosie. - Pozostają nam tylko ludzie z Oxfordu, mimo pogardy, jaką pan do nich czuje, wyspa McEacherna oraz łowcy rekinów. Założyłbym się, że to raczej właśnie oni. Pozwoliłem mu zakładać się, o co tylko chce, bo był już najwyższy czas, aby wyjść na pokład.

- Chyba już niewiele zostało nam czasu.

- Tak, admirale. Wygasimy światła w mesie, żeby nie zdziwili się, zaglądając przez bulaje, że tam nikogo nie ma. Zapalimy światło w dwóch kabinach dla załogi, a przede wszystkim w rufowej. Tylny pokład będzie skąpany w świetle, co sprawi, że część dziobową „Firecresta” okryją całkowicie ciemności. Właśnie tam się ukryjemy.

- Gdzie?

- Niech pan zostanie w sterówce. Drzwi sterówek zawsze otwierają się na zewnątrz. Proszę lekko położyć rękę na klamce drzwi. Kiedy pan poczuje, że klamka się porusza - a mogę pana zapewnić, że ruch będzie bardzo ostrożny - proszę się przygotować, pozwolić drzwiom uchylić się na centymetr, a następnie kopnąć je z całych sił, tuż poniżej klamki. Jeśli potem pański gość nie wpadnie do wody z połamanym nosem, to z pewnością będzie musiał złożyć wizytę dentyście w sprawie protezy. Ja się zajmę innymi.

- W jaki sposób?

- Będę na dachu mesy. Znajduje się o metr wyżej niż zasięg światła rufowego. Nawet jeśli podejda od dachu sterówki, nie zobaczą mojej sylwetki.

- Co pan zrobi?

- Pozbawię ich przytomności. Dobry klucz angielski owinięty szmatą spełni chyba swoje zadanie.

- Dlaczego po prostu nie oślepiemy ich światłem latarki, krzyząc: „Ręce do góry”?

Wujowi Arthurowi wyraźnie nie odpowiadał mój plan działania.

- Są niebezpiecznymi mordercami, których należy uderzać bez uprzedzenia. Nie jest to może fair, ale w każdym razie pozwala przeżyć. Wreszcie - dźwięk wędruje daleko po wodzie, a wiatr wieje w kierunku Torbay, a więc bez hałasu. I żadnych strzałów.

Wuj Arthur zamilkł i zajęliśmy nasze stanowiska. Wciąż jeszcze padał ulewny deszcz, ale tym razem chroniło mnie przed nim nieprzemakalne płótno. Leżałem na dachu od czasu do czasu prostując palce. W prawej dłoni trzymałem klucz angielski, w lewej mały nóż. Przybyli po piętnastu minutach oczekiwania. Usłyszałem ciche uderzenie gumowej łodzi o blachę na lewej burcie. Pociągnąłem za sznurek, który łączył mnie poprzez otwarty bulaj sterówki z ręką wuja Arthura.

Było ich dwóch. Przyzwyczajone do ciemności oczy pozwoliły mi zobaczyć pierwszego gościa, wdrapującego się bezszelestnie na pokład tuż przede mną. Przywiązał linę i poczekał na swego kolegę, a następnie skierowali się w stronę dziobu. Prowadzący wydał stłumiony okrzyk, kiedy drzwi, co później sprawdziliśmy, uderzyły go w twarz. Miałem mniej szczęścia od admirała. Drugi zareagował szybciej od kota i był w trakcie padania na pokład, kiedy uderzyłem go kluczem. Dostał w ramię czy plecy, nie wiem, ale w każdym razie padłem na niego. W rękę trzymał rewolwer czy nóż, dokładnie nie wiem, ale gdybym stracił choć ułamek sekundy, aby przekonać się, co to było, już bym nie żył. Zadałem cios lewą ręką i mój przeciwnik przestał się ruszać.

Przeszedłem nad ciałem pierwszego gościa, który jęczał z bólu, leżąc w splotniku, minąłem wuja Arthura, zaciągnąłem zasłony w mesie i zapaliłem światło. Wyszedłem i częściowo wniósłem, częściowo wciągnąłem jęczącego człowieka przez drzwi sterówki i po schodach do mesy, po czym rzuciłem go na dywan. Nie poznałem go. Jego własna matka czy żona również by go nie poznała. Wuj Arthur lubił solidną robotę i przygotował chirurgowi plastycznemu trudną operację.

- Niech pan celuje w niego - powiedziałem admirałowi, który z lekkim oszołomieniem oglądał swoje rękodzieło, a jego twarz wydawała się bledsza niż zwykle. - Jeżeli się poruszy, niech go pan zabije.

- Ale... niech pan spojrzy na jego twarz... nie można przecież...

- Niech pan lepiej spojrzy na to - odpowiedziałem podnosząc broń, którą facet upuścił na dywan. Amerykańska policja nazywała to tankietką. Dubeltówka, która ma obcięte dwie trzecie lufy i dwie trzecie kolby. - Gdyby wystrzelił, nie miałby pan w ogóle twarzy, a nawet głowy. Czy uważa pan, że należy odegrać rolę Florence Nightingale, heroicznej pielęgniarki z okresu wojny przy rannym bohaterze?

Nie wolno było w ten sposób rozmawiać z wujem Arthurem i z pewnością moja teczka personalna znów wzbogaci się o kilka kartek po moim powrocie do Londynu, o ile oczywiście wrócimy. Minąłem wuja Arthura i wyszedłem. Przechodząc przez sterówkę wziąłem lampę elektryczną i osłoniłem reflektor dłonią tak, by smuga światła była niewidoczna. Obejrzałem łódź naszych gości. Była gumowa, wyposażona w przyczepny silnik. Po wykonaniu misji bohaterowie mieli zamiar wrócić do siebie, nie męcząc się. Przeciągnąłem łódź na prawą stronę, aby nie była widoczna z Torbay. Następnie przywiązałem mocną linę do motoru. Wciągnąłem łódź na pokład „Firecresta” i zbadałem ją dokładnie, posługując się latarką. Nie miała żadnych znaków, dosłownie nic, dzięki czemu można by było ją zidentyfikować i stwierdzić, z jakiego pochodzi statku.

Pociąłem ją i wyrzuciłem za burtę.

W sterówce uciąłem siedmiometrowy odcinek przewodu elektrycznego w izolacji z PCW, wyszedłem na zewnątrz i przywiązałem silnik łodzi do nóg zabitego. Przetrzęsnałem jego kieszenie. Były puste. Zresztą nie spodziewałem się niczego znaleźć. Miałem przecież do czynienia z zawodowcami. Osłoniłem latarkę i spojrzałem na jego twarz. Nigdy go przedtem nie spotkałem. Odebrałem mu pistolet, który trzymał w zaciśniętej dłoni, odpiąłem zatrzaski łańcuchów wzdłuż burty w miejscu, gdzie były wyłobienia na zejściówkę i wypchnąłem za burtę silnik, a wraz z nim człowieka. Czarne wody portu w Torbay pochłonęły silnik i człowieka bez najmniejszego plusku. Wróciłem do środka zamykając za sobą drzwi sterówki i mesy.

Wuj Arthur i jego więzień zmienili miejsca. Oparty o ścianę nieznajomy wycierał zakrwawioną twarz rękawiczką, jęcząc przy tym żałośnie. Muszę przyznać, że gdybym miał złamany nos i prawdopodobnie zmiażdżone szczęki, jęczałbym tak samo. Wuj Arthur siedział w fotelu, trzymając w jednym ręku pistolet, a w drugim szklankę whisky. Przyglądał się swemu dziełu z mieszaniną satysfakcji i obrzydzenia. Spojrzał na mnie i powiedział wskazując brodą na więźnia:

- Zabrudził nam dywan! Dokąd go odstawimy?

- Na posterunek policji.

- Policji? Myślałem, że nie przepada pan za policjantami.

- „Nie przepadam” - to niezbyt odpowiednie słowo, ale przecież od czasu do czasu trzeba przełamać swoje opory.

- A przyjaciel tego też tam pojedzie?

- Kto?

- Wspólnik tego, który tu leży.

- Ach, nie! Wrzuciłem go do morza.

Wuj Arthur bynajmniej nie poprawił wyglądu naszego dywanu, rozlewając na niego whisky.

- Czy pan... co?

- Niech się pan tym nie trapi - odpowiedziałem wskazując palcem na podłogę. - Trzydzieści pięć metrów głębokości i piętnaście kilogramów metalu przywiązanego do stóp...

- W głębi... morza?

- A co pan chciał, żeby z nim zrobić? Pogrzeb państwowy? Proszę mi wybaczyć, zapomniałem powiedzieć, że już nie żył. Musiałem go zabić.

- Pan musiał? ... Musiał... Dlaczego, Calvert?

- Nie ma żadnych dlaczego, admirale. Nic mam się zamiaru usprawiedliwiać. Zabiłem go, gdyż w przeciwnym wypadku on zabiłby i mnie, i pana i obaj bylibyśmy tam, gdzie on się w tej chwili znajduje. Czy musi pan usprawiedliwiać indywidualium, które mordowało już wiele razy? A jeśli nawet nikogo nie zamordował, to dziś z pewnością przybył tutaj, by to zrobić. Zlikwidowałem go nie zastanawiając się zbytnio, zupełnie tak samo, jakbym zlikwidował skorpiona.

- Mimo wszystko nie ma pan jednak prawa, aby zastępować ramię sprawiedliwości...

- Zawsze będę je miał w tych wszystkich przypadkach, kiedy będzie tylko jedna możliwość: on albo ja.

- Naturalnie, naturalnie, ma pan rację - westchnął. - Muszę przyznać, że jest wielka różnica między czytaniem pańskich raportów a udziałem w pańskich misjach... Ale muszę również przyznać, że bardzo pożytecznie mieć pana pod ręką w takich sytuacjach. Dobrze... Zamknijmy tego osobnika w areszcie.

- Ale przedtem chciałbym przespacerować się po pokładzie „Sangri-la”. Aby poszukać Hunsletta.

- Poszukać Hunsletta? Słusznie. Ale czy pan zdaje sobie sprawę z tego, przyjacielu, że jeśli Skouras ma w stosunku do nas wrogie zamiary, jak pan twierdzi, to, z pewnością nie pozwoli panu szukać Hunsletta!

- Oczywiście, ma pan rację. Nie mam jednak zamiaru dokonać rewizji z rewolwerami w dłoniach. Wiem, że nie przeszedłbym nawet dziesięciu metrów. Chcę po prostu spytać, czy ktoś go nie widział. Jeśli ci ludzie na pokładzie są bandytami, których poszukujemy, czy nie uważa pan, że byłoby wskazane zaobserwować ich reakcję, gdy zobaczą zmarłego wstępującego na ich pokład, i to w dodatku zmarłego przybywającego ze statku, na który wysłali dwóch zawodowych morderców? Byłoby również bardzo dobrze przyjrzeć się im, kiedy minie ustalony czas powrotu obydwu naszych gości.

- Oczywiście, oczywiście, Calvert. Jeśli są kryminalistami...

- Przekonam się o tym przed opuszczeniem pokładu „Sangri-la”.

- W jaki sposób? A poza tym - przerwał, wcisnął monokl do oka i spojrzawszy na mnie triumfalnie dokończył: - a poza tym jak wytłumaczymy tym ludziom, że się znamy?

- Jeżeli są niewinni, nie będą im potrzebne żadne wyjaśnienia. W przeciwnym wypadku i tak nie uwierzą w nasze historyjki.

Wziąłem zwój linki ze sterówki, zaprowadziłem naszego więźnia do kabiny na rufie i kazałem mu usiąść tyłem do generatora prądu. Ani myślał o stawianiu oporu. Okręciłem go linką kilka razy i przywiązałem do generatora. Skrępowałem mu solidnie nogi, ale ręce pozostawiłem wolne, aby mógł opatrzyć sobie rany za pomocą ręcznika i zimnej, słodkiej wody, którą zostawiłem mu do dyspozycji. Postarałem się, aby nie było w pobliżu żadnego ostrego instrumentu, który pozwoliłby mu uwolnić się, względnie popełnić samobójstwo. Zresztą ta druga możliwość mało mnie wzruszała.

Potem uruchomiłem silnik, podniosłem kotwicę, zapaliłem światła nawigacyjne i popłynąłem w kierunku „Sangri-la”. Nagle pozbyłem się wszelkich śladów zmęczenia.

ŚRODA: OD DWUDZIESTEJ CZTERDZIEŚCI, DO DWUDZIESTEJ DRUGIEJ CZTERDZIEŚCI

W odległości mniejszej niż dwieście metrów od „Sangri-la” zarzuciłem kotwicę „Firecresta” na głębokość trzydziestu metrów, wygasilem światła nawigacyjne, zapaliłem pozycyjne i zszedłem do kabiny zamykając za sobą drzwi.

- Jak długo będziemy czekać? - spytał wuj Arthur.

- Niedługo. Niech pan zapnie płaszcz nieprzemakalny. Zaraz zacznie się ulewa i wtedy będziemy mogli wyruszyć.

- Czy pan sądzi, że nas obserwowali przez lornetę?

- Bez wątplenia. W dalszym ciągu nas obserwują zastanawiając się nad tym, co mogło się wydarzyć i co się stało ze zbirami, którzy mieli z nami się spotkać. Naturalnie, jeżeli Skouras i spółka są przestępcami.

- Przybędą, aby uzyskać wyjaśnienia.

- Nie wcześniej niż za godzinę, nawet za dwie. Jeszcze mają nadzieję na powrót swoich emisariuszy. Mogą przypuszczać, że albo zużyli więcej czasu na przepłynięcie zatoki i dotarli na miejsce po naszym odpłynięciu, albo coś się stało z ich łodzią.

Deszcz znów zaczął dudnić o dach.

- Chodźmy - powiedziałem.

Wyszliśmy przez drzwi kuchenne, po omacku dostaliśmy się na rufę, spuściliśmy łódź na wodę i zeszliśmy do niej po drabince. Zrzuciłem linę. Wiatr i prąd znosiły nas z dużą szybkością w kierunku portu. Płynąc w ten sposób minęliśmy „Sangri-la” w odległości jakichś stu metrów. Wobec tego w połowie drogi między jachtem a brzegiem uruchomiłem silnik. Popłynęliśmy z powrotem w kierunku statku Skourasa.

Wielka motorówka wisiała na bomie sterczącym trzy metry przed mostkiem z prawej burty „Sangri-la”. Rufa motorówki znajdowała się około pięciu metrów od oświetlonej schodni. Przybiłem do rufy pod wiatr i osiągnąłem schodnię. Kiedy się zbliżyliśmy, marynarz w nieprzemakalnym płaszczu i fantazyjnej czapce, jakie nosiła załoga „Sangri-la”, opuścił trap i uchwycił naszą linę.

- Dobry wieczór, mój chłopcze! - odezwał się wuj Arthur jowialnym tonem, jakiego używał w rozmowach z większością ludzi. - Czy sir Anthony jest na pokładzie?

- Tak.

- Jak pan sądzi, czy mógłbym go zobaczyć?

- Jeżeli łaskawie zechce pan poczekać, ale... przecież to pan, admirale...

- Admirał Arnford-Jason. Tak. Poznaję pana. To pan mnie odwiózł na łódź po obiedzie.

- Tak, admirale. Zechce pan pójść ze mną.

- Myślę, że moja łódź może tu przez chwile pozostać? - W ten sposób dał mi do zrozumienia, że występuję w roli jego kierowcy.

- Ależ oczywiście!

Weszli na pokład i zniknęli na rufie. Przez kilka sekund obserwowałem cienki drut, doprowadzający prąd do latarni okrętowej. Łatwo by go było zerwać. Następnie ruszyłem za nimi. Ukryłem się za rurą wentylacyjną przed powracającym marynarzem. Wiedziałem, że za dwadzieścia sekund zaczną krzyżeć, stwierdzając tajemnicze zniknięcie szofera łodzi. Mało mnie jednak obchodziło to, co mogło się wydarzyć za dwadzieścia sekund. Dotarłem do uchylonych drzwi salonu.

- O, nie - mówił wuj. - Jest mi bardzo przykro z powodu tego najścia... Dziękuję. Bardzo mało... Nie za dużo wody sodowej, dziękuję.

Wuj zdecydowanie lubił whisky tej nocy.

- Za pani urodę. Panowie, za wasze zdrowie. Nie będę was długo absorbował. Jesteśmy bardzo zaniepokojeni, mój przyjaciel i ja... Zaraz, zaraz... Nie widzę go, a wydawało mi się, że idzie za mną...

W tej samej chwili wszedłem, opuszczając kołnierz ubrania sztormowego, który mi zakrywał połowę twarzy, zdjąłem również ziuwestkę, która przykrywała resztę.

- Dobry wieczór pani - powiedziałem grzecznie. - Dobry wieczór, panowie. Proszę wybaczyć najście.

W salonie znajdowało się sześć osób zgromadzonych koło kominka. Sir Anthony stał oparty o ścianę, pozostali siedzieli: Charlotta Skouras, Dollmann, Lavorski, lord Charnley i jakiś nieznajomy.

Interesowała mnie ich reakcja. Na twarzy Skourasa zobaczyłem zdumienie czy niepokój miesający się z niezadowoleniem. Charlotta uśmiechnęła się do mnie zmęczonym uśmiechem. Przy okazji stwierdziłem, że wuj Arthur nie przesadził mówiąc o siniaku: był istotnie wspaniały. Obcy w ogóle nie zareagował. Lavorski i Dollmann - zimni jak głązy. Lord Charnley miał przez chwilę minę człowieka, którego ktoś trącił w ramię o północy podczas nocnego spaceru na wiejskim cmentarzu. To wrażenie nie było tworem mojej imaginacji; potwierdziło je suche trzaśnięcie stopki kieliszka upuszczonego na dywan. W tym wiktoriańskim melodramacie nasz arystokratyczny makler giełdowy był tym, który nie miał spokojnego sumienia. Inni co prawda również, ale umieli to ukryć. Ich twarze wyrażały to, co chcieli, żeby wyrażały.

- Wielki Boże, Petersen! - Głos Skourasa wyrażał zdziwienie, choć nie takie, jakie wywołuje chodzący nieboszczyk. - Nie wiedziałem, że panowie się znają.

- Tak, znamy się. Od wielu lat pracujemy razem w UNESCO, Tony. - Wuj Arthur bardzo często podawał się za brytyjskiego delegata UNESCO. Był to znakomity kamuflaż dla jego licznych podróży zagranicznych. - Morska biologia nie jest wprawdzie zbyt związana z kulturą, ale to przecież nauka! Petersen jest jednym z moich najlepszych współpracowników. To znakomity mówca, który umie porwać audytorium. Powierzałem mu wiele misji w Europie, Azji, Afryce i Ameryce Południowej. - Fakt. Powiedział prawdę, choć nie chodziło tam może o odczyty. - Ludzie z hotelu poinformowali mnie o jego bytności w Torbay... Och, bardzo przepraszam, nie przybyliśmy tutaj, aby mówić o sobie, lecz o Hunsletcie, koledze Petersena. To również w pewnym sensie jeden z moich współpracowników. Nie możemy go nigdzie znaleźć. Nie widział go również nikt z miasteczka. Wobec tego, że „Sangri-la” jest statkiem stojącym najbliżej nas na kotwicy, pomyśleliśmy...

- Nic nie widziałem - odpowiedział Skouras, obrzucając pozostałych pytającym wzrokiem. - A wy?

Nacisnął guzik dzwonka. Zjawił się steward, który otrzymał polecenie przepytania załogi.

- Kiedy zaginął pański towarzysz, panie Petersen? - spytał wreszcie Skouras.

- Nie mam pojęcia. Opuściłem statek po południu, udając się na polowanie na okazy, które mnie obecnie interesują... Pewien gatunek jadowitych meduz, zresztą ślady spotkania z nimi widzi pan na mojej twarzy. Hunslett pracował na statku w laboratorium. Kiedy wróciłem, nie mogłem go znaleźć.

- Czy umiał pływać? - spytał nieznajomy, wysoki brunet w wieku około czterdziestu lat, o bystrych, głęboko osadzonych oczach. Twarze bez wyrazu wydawały się być tutejszą specjalnością, więc i ja usiłowałem moją utrzymać w bezruchu. Nie było to łatwe.

- Obawiam się, że nie - odpowiedziałem bez zastanowienia. - Myśli pan o tym samym co i ja! „Firecrest” nie ma na rufie barierki. Jeden nieostrożny krok i...

Przerwałem, aby pozwolić lokajowi zdać relację: nikt z załogi nie widział Hunsletta.

- Muszę natychmiast poinformować o tym sierżanta McDonalda - powiedział wuj Arthur.

Zamiar ten, wydawało się, pochwalało całe zgromadzenie, więc wstaliśmy. Deszcz zamienił się w ulewę. Kiedy podeszliśmy do trapu, udałem, że się pośliznąłem, próbowałem odzyskać równowagę wymachując ramionami, wreszcie wpadłem do wody, chwytając po drodze przewód oświetlenia schodni. W ciemnościach, deszczu i huraganowym wietrze powstało zamieszanie i upłynęło dobrych kilka minut, zanim zostałem wyłowiony i wciągnięty na dolny pomost trapu. Skouras zabawił się w samarytanina. Zaofiarował mi swoją garderobę, ale odmówiłem i wraz z wujem Arthurem odpłynęliśmy w stronę „Firecresta”.

Podczas drogi powrotnej zachowywaliśmy absolutne milczenie.

- Jaką historię opowiedział pan, aby wytłumaczyć swoją obecność? - spytałem cumując łódź. - Chodzi mi o pańskie oficjalne przybycie na pokładzie motorówki RAF-u.

- O, to wspomniała historia. Opowiedziałem, że bardzo ważna konferencja UNESCO, mająca odbyć się w Genewie, została wstrzymana z powodu nieobecności niejakiego profesora Spencera Freemana. Najciekawsze, że to prawda. Wszystkie dzienniki o tym piszą. Freeman odłożył wyjazd do Szwajcarii na naszą prośbę, ale nikt o tym nie wie. Opowiedziałem Skourasowi, że to bardzo ważne, by on tam był, i że sygnalizowano jego obecność w tych stronach, gdzie zbiera jakieś tam okazy flory morskiej, i że polecono mi towarzyszyć mu aż do Genewy.

- Dlaczego wobec tego odesłał pan swoją motorówkę? To może się wydać podejrzanе.

- Nie. Gdyby Freeman rzeczywiście znajdował się gdzieś w tych okolicach, to nie mógłbym go odnaleźć wcześniej niż jutro rano. A więc wystarczy zatelefonować, aby przysłano mi helikopter, który zjawi się w ciągu trzech kwadransów, żeby go zabrać. Tak przynajmniej powiedziałem.

- Bardzo zręcznie. Nie musiał pan oczywiście wiedzieć, że łączność telefoniczna z wyspą jest przerwana, pańskie opowiadanie mogłoby zostać przyjęte za prawdę, owszem, gdyby nie udał się pan na pokład „Firecresta” przed wizytą na „Sangri-la”. Ludzie, którzy strzegli Hunsletta w tylnej kabine, zauważyli motorówkę RAF-u i uprzedzili o tym „Sangri-la”. Skouras zdaje sobie wobec tego sprawę, że kłamie pan, jak dentysta przed wyrwaniem zęba bez znieczulenia. Jednym słowem - zdemaskował pana. Winszuję panu, admirale. W ten sposób znalazł się pan w kategorii ludzi, do których ja należę od lat; żadne towarzystwo asekuracyjne nie zechce pana ubezpieczyć, nawet przy ustokrotnieniu stawki.

- Widzę, że wizyta na „Sangri-la” pozbawiła pana wszelkich wątpliwości co do charakteru, w jakim występują nasi przyjaciele?

- Tak. Widział pan reakcję Charnleya, patentowanego maklera. A przecież jest on arystokratą od stóp do głów.

- To zbyt drobny szczegół, aby wysuwać aż takie wnioski, Calvert.

- Zgadza się - odpowiedziałem kierując się w stronę kabiny, w której znajdował się mój kostium płetwonurka. - I dlatego proszę sobie przypomnieć mój upadek. Był celowy. Nie mówiłem panu, że po południu, kiedy byłem uczepony do steru statku naszych morderców, wyłobiłem w drewnie znak w kształcie litery V. Na sterze motorówki „Sangri-la” jest właśnie taki znak, i to w tym samym miejscu.

- Rozumiem. - Wuj Arthur usadowił się wygodniej na tapczanie rzucając mi przy tym surowe spojrzenie przez monokl. - Zapomniał pan przedtem ujawnić mi, co pan zamierzał zrobić - odezwał się wreszcie lodowatym tonem.

- Nie zapomniałem, admirale. Nie wiem, czy jest pan dobrym aktorem.

- Aha. Zapomnijmy o tym. Czyli - nie ma pan żadnych wątpliwości?

- Nie. Zresztą to potwierdzenie było zbyt cenne. Czy pan przypomina sobie dryblasa siedzącego obok Lavorskiego, no, tego, który interesował się pływackim talentem Hunsletta? Założę się o sto

funtów przeciwko pensowi, że nie jadł kolacji razem z panem.

- Nie, rzeczywiście. Skąd pan o tym wie?

- Gdyż w tym samym czasie dowodził łodzią, z której zestrzelono helikopter, zabito Williamsa i urządzono polowanie na mnie. Nazywa się Imrie, kapitan Imrie. Poznaliśmy się na pokładzie „Nantesville”.

Wuj Arthur kiwał głową, ale myślami był daleko, zaprzątnięty kombinezonem pletwonurka, który zakładałem.

- Po co, u diabła, pan to wkłada? - zapytał.

- Och, przepraszam. Miałem właśnie zamiar ujawnić panu, co zamierzam zrobić, admirale. Chcę tam pozostawić mały elektroniczny sygnalizator i paczkę cukru. Naturalnie, jeśli pan na to pozwoli.

- Czy właśnie z myślą o tej podróży zniszczył pan oświetlenie schodni?

- Tak. Chciałbym tam powrócić, nim zreperują światło.

- Nie mogę w to uwierzyć! - powtarzał wuj Arthur potrząsając głową. Przez moment myślałem, że robi aluzje do mojej powtórnej wyprawy na „Sangri-la”, ale okazało się że chodzi zupełnie o co innego. - Nie rozumiem, jak Toni Skouras może być po uszy pogrążony w takiej sprawie! Musieliśmy coś przeoczyć. To niemożliwe! Czy wie pan, że on ma zostać parem Anglii?

- Już? A przecież powiedział mi, że woli poczekać na obniżkę cen.

Wuj Arthur nie zareplikował. W normalnych okolicznościach uznałby tę refleksję za osobistą obrazę, tym bardziej że sam przechodząc na emeryturę automatycznie zostanie parem. Musiał być jednak bardzo wstrząśnięty, skoro nic mi nie odpowiedział.

- Najchętniej zatrzymałbym całą ekipę Skourasa - powiedziałem. - Niestety, mamy związane ręce. Jesteśmy bezradni. Ale ponieważ teraz wiemy to, co wiemy, czy zechciałby mi pan wyświadczyć przysługę, nim zejdziemy na ląd? W tej chwili są mi potrzebne dwie informacje, admirale... Po pierwsze: czy jest prawdą, że sir Anthony wymienił w ciągu ostatnich dni stabilizatory „Sangri-la” w stoczni w Clyde? Tylko nieliczne stocznie są zdolne do wykonania takiego zamówienia. Ludzie często niepotrzebnie kłamią... Po drugie, czy lord Kirkside wystąpił o przyznanie swemu młodszemu synowi tytułu szlacheckiego po synu, który zginął? Miał tytuł, zdaje się, wicehrabiego.

- Zgoda - odparł roztargnionym głosem wuj Arthur. - Proszę wyregulować nadajnik, zapytam o to, co pana interesuje. - Myśl, że jeden z jego potencjalnych kolegów w Izbie Parów jest zwykłym bandytą, wstrząsnęła nim. - I proszę mi podać tę butelkę przed wyjściem. - Szybkość, z jaką wuj Arthur wlewał w siebie whisky, wywołała we mnie refleksję, że sąsiedztwo jednej z najlepszych szkockich gorzelni jest w tej sytuacji po prostu gestem opatrności.

Opuściłem kadłub głowicy fałszywego diesla. Wydało mi się, że waży tony. Stałem w bezruchu przez dobrą chwilę, by wreszcie cofnąć się do progu.

- Admirale!

- Idę. - Pojawił się ze szklanicą w ręku. - Czy wszystko gotowe do wezwania Londynu? - spytał.

- Znalazłem Hunsletta - odpowiedziałem.

Zbliżał się powoli, jak we śnie.

Wielka radiostacja zniknęła, zniknęły również środki wybuchowe, aparaty podsłuchowe i małe przenośne nadajniki. Aby umieścić go w tej wąskiej przestrzeni, musieli zgiąć wpół jego ciało. Głowa spoczywała na ramionach, a ramiona na kolanach. Nie widać było twarzy. Pół siedząc, pół leżąc sprawiał wrażenie człowieka, który odbywa sjęstę przy murze ogrzanym słońcem w ciepłe letnie popołudnie. Długie popołudnie, bo długa jest wieczność... Powiedziałem mu poprzedniego wieczora, że może spokojnie i długo spać...

Dotknąłem twarzy. Była jeszcze ciepła. Śmierć musiała nastąpić nie wcześniej niż trzy godziny temu. Dotknąłem głowy, opadła na ramię, jak głowa lalki z gałganków. Odwróciłem się powoli w stronę wuja. Jego twarz stała się zimna, gorzka i okrutna. Nigdy nie przypuszczałem, że mój szef potrafi tak wyglądać, stanowczo należało dotychczasowy sąd poddać rewizji... No, ostatecznie wuj Arthur nie uzyskał swego obecnego stanowiska, zgłaszając się w odpowiedzi na ogłoszenie w dzienniku. Został wybrany przez dwie czy trzy wszechmocne osobistości, które prawdopodobnie przeszukały skrupulatnie cały kraj, aby znaleźć człowieka posiadającego określone cechy charakteru i określone kwalifikacje. Jeśli wybór padł na wuja Arthura, to dlatego że spełniał wszystkie wymagania. Całkowity brak litości był prawdopodobnie stawiany na pierwszym planie. Nigdy dotąd jednak o tym nie pomyślałem.

- Naturalnie: zamordowany - powiedział.

- Tak.

- W jaki sposób?

- Ma połamane kręgi szyjne.

- Połamane? Człowiek tak potężny jak Hunslett?

- Znam człowieka, który robi to jednym skrętem rąk. To Quinn. Morderca Bakera i Delmonta, i niedoszły mój.

- Rozumiem... Calvert, poszukajcie i zniszczcie tego człowieka. Środkami, jakimi pan chce. Czy może pan zrekonstruować to, co tu się wydarzyło?

- Tak, admirale. - Właśnie. Kiedy już zło się dokonało i kiedy trzeba było odkryć przyczyny,

szukano zazwyczaj mojej osoby. - Nasz przyjaciel, względnie nasi przyjaciele, przybyli na pokład „Firecresta” dziś rano, krótko po moim odpłynięciu. Przed wschodem słońca. Nie odważyliby się pojawić w dziennym świetle. Unieszkodliwili Hunsletta w taki czy inny sposób i przetrzymywali go jako więźnia cały dzień. Dowodem tego jest fakt, że w południe się z panem nie połączył. Był jeszcze więźniem, kiedy pan przybył na pokład. Nie mógł się pan tego domyślić, gdyż łódź tych jegomościów powróciła na „Sangri-la”. Nie mogła przecież tu pozostawać cały dzień.

- Niech pan nie stawia kropek nad i. To zbyteczne.

- Proszę mi wybaczyć. W godzinę czy dwie po pańskim odpłynięciu Imrie, Quinn i spółka powrócili ze swojej wyprawy i zakomunikowali, że mnie zgładzili. Był to jednocześnie wyrok śmierci na Hunsletta. Zamordował go Quinn. Dlaczego w ten sposób? Strzały mogły być słyszane z daleka, cios nożem pozostawia wszędzie krew. Nie mogli zatopić „Firecresta” przed północą z powodu odpływu, do tego czasu przypadek mógł kogoś sprowadzić na pokład... Tak. Mimo wszystko uważam jednak, że Quinn działał w ten a nie inny sposób, gdyż jest impulsywnym mordercą, psychopatą, może pan to nazwać, jak chce. Morduje dla samej przyjemności mordowania.

- Tak - potwierdził spokojnym głosem wuj Arthur. - Prawdopodobnie zastanawiali się, gdzie ukryć trupa i wówczas pomyśleli o naszym fałszywym silniku. Wyrzucili do morza albo zabrali ze sobą nasz materiał, a na jego miejscu umieścili biednego Hunsletta. - Nagle wuj wrzasnął. Nigdy nie słyszałem takiego głosu z jego gardła. - Ale w jaki sposób, do diabła, mogli wiedzieć, że to jest fałszywy motor! Proszę mi odpowiedzieć! - zniżył ton, który teraz stał się podobny do szeptu. - Niedyskrecja, Calvert, czy zbrodnicze niedbalstwo?

- Zbrodnicze niedbalstwo, admirale. Tak. Moje. Gdybym wiedział, Hunslett nie znajdowałby się tutaj. Nie potrafiłem przewidzieć, a raczej zrozumieć. Kiedy fałszywi celnicy kontrolowali statek, myślałem, że znaleźli coś ciekawego właśnie w pomieszczeniu, gdzie znajdują się motory. Przedtem brali wręcz wszystko pod lupę, nawet akumulatory, później kontynuowali kontrolę w pełnym galopie. Hunslett sugerował, że ich odkrycie miało jakiś związek z akumulatorami. Uważałem się jednak za zbyt mądrego, by zaufać jego wnioskowi. Proszę wziąć latarkę elektryczną, admirale, i przyjrzeć się akumulatorom.

Obrzucił mnie spojrzeniem zimnym jak biegun północny, wziął latarkę, przez dwie minuty oglądał akumulatory, wreszcie wyprostował się.

- Nie widzę nic szczególnego.

- Fałszywy celnik był bardziej spostrzegawczy, no może miał nad panem przewagę, bo wiedział czego szuka. Chciał znaleźć potężny nadajnik, a nie aparat o małym zasięgu, który widział w sterówce. Szukał śladów grubego kabla idącego od baterii, kabla łączącego się uchwytem z akumulatorami, względnie szczęk ze sprężynami.

Wuj Arthur zaklął i pochylił się znów nad akumulatorami. Wystarczyło mu kilka sekund.

- Ma pan rację, Calvert.

Lód w jego spojrzeniu stopniał, została tylko gorycz.

- Teraz dopiero zrozumiałem, że odkryli moje plany! - zawołałem. - Wiedzieli, że Hunslett będzie przed świtem sam na pokładzie i że helikopter odstawi mnie na plażę o zmierzchu. Wystarczyło, żeby ktokolwiek z jeziora Houron potwierdził im, że myszkowałem w tamtych okolicach, aby podjęli decyzję zniszczenia helikoptera. I ta cała maskarada ze zniszczonymi nadajnikami! Była im potrzebna, abyśmy uwierzyli, że tylko my możemy nadawać! Trzeba było być naprawdę ślepcem!...

- Strasznie pan krzyczy - odezwał się wuj - a pański tok rozumowania jest pozbawiony logiki.

- Powiedziałem panu, że „Firecresta” odwiedzili goście, wtedy gdy ja i Hunslett piliśmy na pokładzie „Sangri-la”. Niestety, nie zrozumieliśmy, czego szukali...

- Dołożył pan już wielu starań, aby udowodnić mi - jeśli idzie o akumulator - że nie jestem bardziej spostrzegawczy od pana. Powtarza się pan...

- Proszę mi pozwolić skończyć - powiedziałem stanowczym tonem, mimo że wuj nie lubił, kiedy mu przerywano. - Zeszli do maszynowni. Wszystko dokładnie zbadali. Zauważyli, że cztery nakrętki na prawym dieslu nie są pokryte farbą. Tymczasem farba na nakrętkach na lewym silniku była nie naruszona. Podnieśli pokrywę i podłączyli wyjście z radiostacji do małego nadajnika ukrytego za akumulatorami. Naturalnie, przywieźli ze sobą wszystko, co im było potrzebne, gdyż spodziewali się, że będą potrzebować takich a nie innych urządzeń. I potem mogli już spokojnie wysłuchiwać nasze rozmowy. Poznali nasze plany, nasze zamiary i dostosowali do nich swoją działalność. To inteligentni ludzie. Mogli na przykład zniszczyć radiostację, ale wtedy - naturalnie - znaleźlibyśmy nowy sposób komunikowania się, który oni z kolei musieliby odkryć. A tak... sami informowaliśmy ich o wszystkim.

- Zgoda. Ale dlaczego, do diabła, sami zniszczyli tę swoją przewagę, umieszczając tu...

Wskazał na pustą obudowę silnika.

- Tej przewagi i tak już nie mieli - powiedziałem zmęczonym głosem. - Z tej prostej przyczyny, że ja się utopiłem, a Hunslett został uduszony.

- Naturalnie, naturalnie. Co za straszliwa historia! - Wyjął monokl z oka i przetarł pięciami powieki. - Wiedzą doskonale, że odnajdziemy trupa w chwili, kiedy zechcemy wykorzystać radionadajnik. Teraz rozumiem pańską refleksję na temat polisy ubezpieczeniowej na życie. Skouras i spółka nie zdają sobie dokładnie sprawy z tego, co wiemy, ale nie wolno im ryzykować pozostawiając nas wśród żywych. Tym bardziej że w grę wchodzi miliony funtów. Są zmuszeni zlikwidować nas po cichu.

- Trzeba podnieść kotwicę i odpłynąć - powiedziałem. - To jedyny ratunek. Staliśmy tu i tak zbyt długo. Możliwe, że są już w drodze. Niech pan zatrzyma tego lugera, admirale. Na morzu będziemy względnie bezpieczni, ale przedtem musimy odtransportować na ląd Hunsletta i faceta z kabiny na rufie.

- Zgoda. Musimy ich wysadzić na ląd.

Podniesienie kotwicy za pomocą elektrycznej windy nie jest zajęciem dla kretyna, nawet dla kretyna mającego się na baczności. Źle postawiona noga, źle położona ręka, zbyt szerokie spodnie, płaszcz rozwiany na wietrze, jednym słowem: kawałek materiału, który dostałby się między łańcuch a bęben - i szybko można zostać bez nogi lub ręki, gdyż nie ma żadnej możliwości, by dosięgnąć wyłącznika, który znajduje się najczęściej za windą kotwiczną, z tyłu. Takie niebezpieczeństwa czyhają nawet przy dobrych warunkach atmosferycznych. Lecz kiedy pokład jest śliski od wody, praca jest dwakroć niebezpieczniejsza. A jeszcze gorzej, kiedy jest ciemno jak w kominie, kiedy z nieba leją się strugi wody, a statek tańczy pod nogami. W takiej sytuacji zdjęcie zapadki i popuszczenie liny - w dodatku bez zabezpieczenia, aby uniknąć hałasu - staje się operacją grożącą śmiercią. Lepiej jednak było ponieść ryzyko, niż zwrócić uwagę załogi „Sangri-la”. Możliwe, że byłem zbyt zaabsorbowany tą pracą, a tarcie łańcucha i kotwicy głużyło wszelkie inne dźwięki, gdyż nie zareagowałem natychmiast na czyjeś wołanie, mimo że dobiegało mnie ono dwukrotnie.

Brzmiało to jak oddalony głos kobiety. Nawiedziła mnie przelotna myśl, że to pewnie z jakiegoś małego jachtu zakotwiczonego w okolicy. W końcu żeby zmierzyć tonaż ginu wypijanego na statkach brytyjskich po zachodzie słońca, trzeba by było użyć maszyny elektronicznej... Ale głos rozległ się znów, wyraźniejszy i z bliższej odległości. Akcent trwogi, który w nim pobrzmiwał, wykluczał wszelkie hipotezy o morskim pijaństwie. To nie był okrzyk żalu po opróżnieniu ostatniej butelki. Ten głos miał zupełnie inny charakter - wzywał pomocy. Zatrzymałem linę. W mojej dłoni, nie wiadomo kiedy, znalazł się liliput.

- Na pomoc!... Ratunku!...

Głos był przytłumiony, nagłący, beznadziejny. Niosło go wodą od strony burty. Zbliżyłem się i nagle stanąłem nieruchomo, przypomniawszy sobie los Hunsletta, A jeśli te odgłosy pochodzą z łódki, w której dwaj panowie, uzbrojeni w pistolety maszynowe, czekają tylko na słowo, na błysk lampy elektrycznej, aby nacisnąć spust? Wtedy Calvert znalazłby się wśród przodków.

- Ratunku!... Proszę...

Rozpocząłem akcję. Nie dlatego, że głos rozpaczy brzmiał autentycznie, lecz dlatego, że należał bez wątpienia do Charlotty Skouras. Sięgnąłem po gumowy odbijacz przywiązany na stałe do jednej z podpórek barierki. Opuściłem go do wody.

- Czy pani Skouras? - spytałem.

- Tak, to ja. Dziękuję. Dziękuję, mój Boże.

Usta miała prawdopodobnie pełne wody, ciężko oddychała, mówiła z trudem.

- Z boku łodzi jest odbijacz. Proszę go schwycić.

- Tak, mam go...

- Proszę spróbować wdrapać się na pokład.

Usłyszałem westchnienie, plusk wody, jęk.

- Nie... nie mogę.

- Proszę się nie denerwować, zaraz pani pomogę.

Chciałem poszukać wuja Arthura, ale stał już za mną.

- Pani Skouras jest w wodzie - szepnąłem mu do ucha. - Być może to zasadzka, ale nie sądzę. Jeśli pan zobaczy światło, proszę strzelać.

Nie odpowiedział, ale czułem, jak jego ręka sięga do kieszeni po lugera.

Przeszedłem przez burtę i ześliznąłem się po linie aż do opony. Wyciągnąłem rękę i schwyciłem pływaczkę. Nie miała sylwetki sylfa, w dodatku do pasa przymocowała dużą paczkę. Jeśli chodzi o mnie, nie dysponowałem już taką formą fizyczną, jak dawniej, ba, nawet taką jak przed kilkudziesięcioma godzinami, ale z pomocą wuja wciągnąłem damę na pokład. Zanieśliśmy ją do sterówki i położyliśmy na kozetce. Myślę, że gdyby jej zrobiono w tej chwili fotografię, to żaden z wielkich magazynów ilustrowanych nie zamieściłby tego zdjęcia na swojej okładce. Jej czarne spodnie i elegancka bluzka sprawiały wrażenie, jakby przebywała w wodzie ponad miesiąc. Długie, splecione i mokre włosy były przylepione do głowy i policzków. Twarz trupio blada, a wielkie podkrążone oczy spoglądały ze strachem. Tusz i kredka do ust spływały kolorowymi strużkami. Jeśli dodać do tego, że nigdy nie była piękną, łatwo można zrozumieć, że uważając ją za osobę ponętą, dawałem przykład zupełnej aberracji.

- Droga pani... Droga pani... - powtarzał wuj Arthur najbardziej snobistycznym tonem, na jaki mógł się zdobyć i klęcząc u jej boku niezdarnie usiłował wytrzeć jej twarz chusteczką. - Cóż się stało, na Boga? Koniaku, Calvert, koniaku! Ależ! Nie stój pan tak, człowieku!

Wujowi wydawało się chyba, że jest w knajpie. Na szczęście miałem jeszcze resztkę koniaku.

- Jeśli zechce pan zaopiekować się panią Skouras - powiedziałem podając mu szklankę - zakończę podnoszenie kotwicy.

- Nie, nie... - zaprotestowała wyratowana, kaszląc pod wpływem alkoholu. - Nie przybędą tutaj przed upływem dwóch godzin... Wiem o tym... Słyszałam ich. Dzieją się straszne rzeczy, admirał. Byłam zmuszona uciekać... uciekać za wszelką cenę...

- Proszę pani, droga pani Skouras, proszę nie rozpaczać - poradził wuj, tak jakby nasz gość zastanawiał się, czy warto się pogrążyć w otchłani rozpacz i wątplenia, czy nie. - Proszę się jeszcze napić, droga pani Skouras.

- Och nie, tylko nie to!

Wzdrygnąłem się myśląc, że odpycha od siebie doskonały koniak, z którego byłem tak dumny, ale szybko się zorientowałem, że ów okrzyk dotyczył „drogiej pani Skouras”, a nie koniaku.

- Proszę nazywać mnie Charlottą. Żadną panią Skouras. Charlotta Meiner... Charlotta.

Dziwne są kobiety. Nigdy nie gubią znaczenia tego, co najważniejsze i tego, co mniej ważne. Załoga „Sangri-la” kończyła przygotowanie czegoś w rodzaju domowej roboty bomby atomowej, którą chciała wrzucić przez okno do naszej mesy, a czarująca pani nie myślała o niczym innym poza tym, aby mówić do niej Charlotta.

- Co panią zmusiło do ucieczki? - spytałem.

- Calvert! - zaprotestował wuj. - Pani Skou... przepraszam, Charlotta doświadczyła strasznego szoku. Proszę pozwolić jej odzyskać siły. Ona nie jest...

- Nie, nie... - z trudem uniosła się na twardej marynarskiej kozetce i spojrzała na mnie z bladym uśmiechem, na wpół przerażonym, na wpół ironicznym. - Tak, panie Petersen, czy panie Calvert... w końcu nazwisko nie jest ważne. Ma pan rację. Aktorki potrafią opanowywać swoje emocje. Tu nie jestem na scenie, ale mimo to... - Nowy łyżeczek koniaku zaróżowił jej policzki. - Od pewnego czasu zauważyłam, że na „Sangri-la” dzieją się dziwne rzeczy. Na pokład przybywali różni dziwni ludzie. Bez powodów zmieniano członków załogi. Pozostawiano mnie na łodzi z moją pokojówką, podczas gdy jacht odbywał niedługie, tajemnicze podróże. Mój mąż - sir Anthony - nic mi nie mówił. Bardzo się zmienił od czasu naszego ślubu. Wydaje mi się, że się narkotyzuje. Widziałam rewolwery... Kiedy ci dziwni ludzie przybywali na pokład, mój mąż odsyłał mnie po obiedzie do kabiny... I proszę mi wierzyć, że nie zazdrość była tego powodem. Od dwóch dni miałam wrażenie, że musi nastąpić kryzys... Po waszym odpłynięciu Anthony odesłał mnie do kajuty. Opuściłam salon, ale podsłuchiwałam w korytarzu. Lavorski powiedział: „Pański admirał jest takim delegatem UNESCO, jak ja synem Neptuna, Skouras. Wiem dobrze, kim on naprawdę jest. Wszyscy o tym wiemy. Wszystko jest już zbyt zaawansowane, a wasz koleś - za dobrze poinformowany. Jego przyjaciele również. A więc niech pan wybiera między nami a nimi”. Imrie - o Boże, jak go nienawidzę! - powiedział: „O północy wyśle Quinna, Jacquesa i Kramera. O pierwszej otworzą zawory denne „Firecresta” na środku cieśniny”.

- Pani mąż ma znakomite stosunki - odezwałem się.

- Panie Petersen - powiedziała, patrząc na mnie nieśmiało - naturalnie, jeżeli nie nazywa się pan Calvert, jak mówi admirał, względnie Johnson, jak nazywa pana Lavorski...

- Rozumiem, że się pani w tym wszystkim gubi. Proszę używać nazwiska Calvert. Philip Calvert.

- Dobrze, Philipie. - Wymówiła to imię po francusku, co brzmiało szczególnie przyjemnie. - Pan zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje. Żartuje pan w takiej chwili! Waszemu życiu zagraża niebezpieczeństwo i...

- Pan Calvert - przerwał wuj kładąc nacisk na pierwsze słowo, prawdopodobnie zgorzony faktem, że członkowie arystokracji i przedstawiciele plebsu mówią sobie po imieniu. - Pan Calvert nie zawsze wyraża się jak należy, ale doskonale zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Jest pani naprawdę odważna, Charlotta. - No jasne, ludzie należący do arystokracji mogą mówić sobie po

imieniu. To nie to samo, co rozmowa ze mną. - Podjęła pani duże ryzyko, podsłuchując pod drzwiami. Gdyby panią zauważyli...

- Zauważyli mnie, admirale. Jestem tutaj między innymi i z tego powodu. Przybyłam dlatego, że dowiedziałam się, iż grozi wam niebezpieczeństwo oraz dlatego, że sama też miałam powody, by się obawiać. Anthony spostrzegł mnie w korytarzu i odprowadził do mojej kabiny.

Stała na drżących nogach, odwróciła się do nas plecami i podniosła moką bluzkę. Zobaczyliśmy trzy sine pręgi w poprzek pleców. Wuj Arthur był wstrząśnięty i niezdolny do ruchu. Zbliżyłem się, by obejrzeć rany: szerokie na dwa centymetry łączyły obie łopatki. W wielu miejscach pokazała się krew. Dotknąłem ostrożnie palcem uszkodzonej skóry. Bez wątpienia ślady były świeże i prawdziwe. Charlotta nie drgnęła pod dotknięciem mojej dłoni. Cofnąłem się.

Odwróciła się do nas twarzą.

- Niepiękne, prawda? - uśmiechnęła się. - Mogłabym pokazać wam jeszcze gorsze!

I znów ten uśmiech!

- O nie, bardzo proszę - błagalnym tonem powiedział wuj Arthur. - Nie chcę tego widzieć, moja biedna Charlotto. Cierpiała pani męki. To straszne, potworne. Ten osobnik... to indywiduum... to nie człowiek. Potwór! Potwór... Być może... pod wpływem narkotyków... Nie do pojęcia!

Jego twarz oblał rumieniec oburzenia, mówił tak łamiącym się głosem, jakby Quinn ścisnął go za gardło.

- Nikt by w to nie uwierzył! - powtarzał wuj.

- Prócz Madeleine, jego pierwszej żony - sprostowała spokojnie Charlotta. - Teraz rozumiem, dlaczego kilka razy przed śmiercią przebywała na kuracji w szpitalach psychiatrycznych... Ale nie mam ochoty pójść tą samą drogą - dodała z drżeniem. - Jestem silniejsza od Madeleine Skouras. Dlatego też zwinęłam manatki i odeszłam.

Wskazała na plastikowy worek uprzednio przywiązany do jej pasa, w którym znajdowała się odzież.

- Jeśli stwierdzą, że pani uciekła, nie będą czekać z przybyciem tutaj aż do północy - powiedziałem.

- Nie dowiedzą się o mojej ucieczce przed świtem. Każdego wieczora zamykam drzwi na klucz. Dziś zamknęłam je po prostu od zewnątrz.

- Dobra myśl. Ale może być kłopot, jeżeli pani natychmiast nie zmieni tego przemoczonego ubrania. Nie uciekła pani z „Sangri-la” po to, aby umrzeć tu na zapalenie płuc. Ręczniki są w mojej kajucie. Potem umieścimy panią w hotelu „Columbia”.

Oczywiście, mogło mi się zdawać, że jej opadły ramiona, ale wyraz przegranej w jej oczach

bynajmniej nie był wytworem mojej imaginacji.

- Sądziłam, że wymyślicie coś lepszego - powiedziała. - Chcecie mnie umieścić tam, gdzie na pewno zaczną poszukiwania. Nigdzie w Torbay nie będę czuła się bezpieczna. Mój mąż zabierze mnie i odstawi do prywatnej kabiny. Nie. Moją jedyną nadzieją jest ucieczka. Waszą również. Dlaczego nie uciekniemy razem?

- Nie - zaprotestowałam.

- Nie lubi pan kłopotliwych sytuacji, prawda? - Była przygnębiona, upokorzona, ale i dumna jednocześnie. Odwróciła się do admirała i ujęła go za obie ręce. - Jest pan szlachcicem, sir Arthurze. Odwołuję się do pańskiej szlachetności. - No jasne, czymże jest ten wieśniak Calvert? - Proszę mi pozwolić pozostać. Bardzo pana o to proszę!

Wuj Arthur rzucił okiem na mnie, zawahał się, spojrzał na Charlottę Skouras, zajął w jej duże brązowe oczy - i był zgubiony.

- Naturalnie, droga przyjaciółko, jest pani tutaj u siebie.

Złamał się wpół, w ukłonie tak samo arystokratycznym, jak jego monokl i broda.

- Jestem na pani rozkazy.

Uśmiechnęła się do mnie, a jej uśmiech nie wyrażał ani satysfakcji, ani triumfu; był po prostu przyjazny.

- Philipie, chciałabym, żeby ta decyzja była jednogłośnie.

- Jeśli admirał chce wystawić panią na znacznie większe ryzyko, to już jego wola. Jeśli idzie o moją zgodę, nie jest ona konieczna. Jestem zdyscyplinowany i - naturalnie - posłuszny.

- Wzruszająca uprzejmość - odezwał się wuj kwaśnym tonem.

Nagle w moim umyśle rozjaśniło się. Zrozumiałem, nie rozumiejąc zresztą dlaczego nie rozumiałem wcześniej.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziałem. - Ani przez chwilę nie powinienem był wątpić w decyzję admirała. Ma on absolutną rację, pani miejsce jest tu na pokładzie. Myślę, że powinna pani pozostać pod pokładem tak długo, jak długo „Firecrest” będzie zakotwiczony w Torbay.

- Nareszcie sensowna odpowiedź! - Wuj był zachwycony zmianą mojego stanowiska i poddaniem się życzeniom arystokracji.

- To nie potrwa długo - dodałem, uśmiechając się do Charlotty Skouras. - Za godzinę opuścimy Torbay.

- Nic mnie nie obchodzi oskarżenie, które pan wniesie przeciwko niemu, sierżancie McDonald

- powiedziałem przenosząc spojrzenie z policjanta na mężczyznę zakrywającego roztrzaskaną twarz i nos mokrym ręcznikiem. - Włamanie. Napad i pobicie. Nielegalne posiadanie broni z zamiarem przestępstwa. Niech pan sobie z tego wybierze to, co panu odpowiada.

- To nie jest takie proste - rozważał sierżant, stojąc za balustradą, na której opierał swoje wielkie ciemne łapska patrząc na zmianę to na mnie, to na więźnia. - Nie dokonał włamania, panie Petersen. Po prostu wszedł na pokład pańskiego statku. Tego prawo nie zabrania. Napad i pobicie? Uważam go raczej za ofiarę niż napastnika. Nielegalne posiadanie broni? Nie zauważyłem u niego żadnej.

- Wpadła do morza.

- Och, to tylko domysł. Nie mamy żadnego dowodu na to, że chciał popełnić przestępstwo.

Ten McDonald zaczynał mnie już denerwować. Bardzo skutecznie ułatwił robotę operetkowym celnikom. Teraz znowu próbował wpakować kij w koła mego wozu.

- Za pięć minut powie mi pan, że to wszystko jest wynikiem mojej gorączkowej wyobraźni; że zszedłem na ląd, rozbiłem twarz pierwszemu napotkanemu człowiekowi i wymyśliłem całą tę historię, przyprowadzając do pana moją ofiarę. Rozumiem, że można być ograniczonym, ale nie aż do tego stopnia.

Twarz policjanta zarumieniła się, a dłonie zacisnęły tak, że kłykcie zbieleły.

- Uprzejmie proszę, by używał pan innego tonu!

- Jeżeli pan w dalszym ciągu będzie zachowywał się jak dureń, będę niegrzeczny. Czy weźmie go pan pod klucz, czy też nie? Mam świadka. Niech pan pójdzie do starej przystani, jeśli chce go pan zobaczyć. To kontradmirał sir Arthur Arnford-Jason. Czy jego świadectwo jest dla pana również wątpliwe?

- Ostatnim razem, gdy pana widziałem, był pan w towarzystwie pana Hunsletta.

- I Hunslett ciągle znajduje się na pokładzie. Proszę przesłuchać mojego więźnia, potwierdzi to panu.

- Posłałem po lekarza. Będzie musiał zająć się jego twarzą. Nie rozumiem słowa z tego, co mówi.

- Stan jego twarzy rzeczywiście utrudnia mu mówienie - przyznałem. - Ale główny problem w tym, że on mówi tylko po włosku.

- Po włosku? To można załatwić. Właściciel „Cafe des Iles” jest Włochem.

- Tym lepiej. Będzie mógł zadać mu cztery krótkie pytania. Gdzie jest jego paszport? W jaki sposób przybył do Anglii? Kto go zatrudnia? Gdzie mieszka?

Sierżant obrzucił mnie wiele mówiącym spojrzeniem.

- Jak na biologa sprawia pan dziwne wrażenie, panie Petersen - powiedział, cedząc powoli słowa.

- A pan jak na policjanta, panie McDonald. Dobranoc.

Wyszedłem z komisariatu i stanąłem w cieniu budki telefonicznej. W kilka minut później przybył jakiś człowiek z małą skórzaną walizeczką w ręku. Wszedł do komisariatu. Wyszedł po pięciu minutach. Nic dziwnego. Lekarz internista nie może działać wiele, gdy pacjent wymaga leczenia w szpitalu. Drzwi komisariatu otworzyły się ponownie i ukazał się w nich sierżant w czarnym, zapiętym pod szyję płaszczu. McDonald szedł w kierunku morza szybkim krokiem, nie patrząc na lewo ani na prawo. Skierował się w stronę kamiennego mola, oświetlił wilgotne schody, zszedł i przyciągnął do siebie przymocowaną w tym miejscu łódź. Pochyliłem się nad nim i zapaliłem własną latarkę.

- Dlaczego, do diabła, nie zaopatrzyli pana w aparat radiowy lub telefon do przekazywania pilnych wiadomości? Nie mówiąc już o tym, że ryzykuje pan przeziębienie próbując dostać się na „Sangri-la” łodzią w czasie takiej pogody.

Wyprostował się, puścił łódź i wszedł po schodkach ciężkim krokiem starego człowieka. Łódź odpłynęła w ciemności.

- Co pan powiedział o „Sangri-la”?

- O, nie chciałbym się przyczynić do pańskiego spóźnienia, sierżancie. Interesy są ważniejsze od rozmów. Pańscy zwierzchnicy powinni być obsłużeni pierwsi... Niech pan szybko płynie i zamelduje, że jeden z ich najemników został okrutnie poturbowany i że pan Petersen ma wiele wątpliwości na temat uczciwości sierżanta McDonald.

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co pan mówi - odpowiedział głuchym głosem. - „Sangri-la”... Nie mam nic wspólnego ze „Sangri-la”.

- Doskonale. A więc płynie pan na połów ryb. Zapomniał pan jednak o wędkach.

Sierżant odzyskał nagle pewność siebie.

- Zajmuj się pan swoimi sprawami i nie mieszaj w sprawy innych!

- Właśnie to robię, sierżancie. A pan się zdradził. Czy myśli pan, że nasz włoski przyjaciel specjalnie mnie interesuje? Nie. Może pan go oskarżyć o to, że gra w karty na ulicy, jeżeli panu to sprawia przyjemność. Przyprowadziłem go, aby uzyskać dowód, że działa pan razem z tymi facetami. Chciałem zobaczyć, jak pan zareaguje, chciałem również uzyskać potwierdzenie moich przypuszczeń. I zareagował pan tak, jak przewidziałem.

- Nie jestem bardzo inteligentny - odpowiedział z godnością - ale nie jestem także zupełnym idiotą. Myślałem początkowo, że jest pan jednym z nich lub że ma pan ten sam cel... Teraz widzę, że

tak nie jest. Pan pracuje dla rządu.

- Jestem pewnego rodzaju urzędnikiem państwowym. Tak. „Firecrest” jest tutaj. Niech pan pójdzie ze mną zobaczyć mego szefa.

- Nie mogę otrzymywać rozkazów od pańskiego szefa.

- Jak pan chce.

Oddaliłem się o kilka metrów i nagle spytałem:

- Jeśli chodzi o pańskich synów, sierżancie McDonald. Tych szesnastoletnich bliźniaków, którzy jak mi powiedziano, zginęli w Craigmore jakiś czas temu...

- Co z moimi synami?

- Będzie mi przykro, kiedy pewnego dnia będę im musiał powiedzieć, że ich własny ojciec odmówił kiwnięcia palcem, aby uratować im życie.

Znieruchomiał w ciemnościach i zamilkł. Nie stawiał oporu, gdy go wziętem za ramię i zaprowadziłem na „Firecresta”. Wuj Arthur przybrał na powrót swoje onieśmielające oblicze. A wuj Arthur onieśmielający - to widok wart zobaczenia. Kiedy wprowadziłem McDonalda do sterówki, obrzucił go spojrzeniem bazyliuszka, spotęgowanym przez błyszczący monokl. Nieszczęsny sierżant, przebity promieniem przenikliwszym od lasera, stanął nieruchomo.

- A więc zrobił pan fałszywy krok, sierżancie - powiedział admirał głosem cichym i monotonnym, od którego dostawało się gęsiej skórki. - Pańskie zachowanie jest przyznaniem się do winy. Pan Calvert zszedł na ląd z więźniem i wystarczającą ilością sznura, aby pana powiesić. Chwycił się pan tego sznura obiema rękami. To nie bardzo zręcznie, sierżancie. Nie powinien był pan czynić prób skontaktowania się ze swoimi przyjaciółmi.

- To nie są moi przyjaciele - odpowiedział z goryczą McDonald.

- Przekażę panu na temat pana Calverta - Petersen to pseudonim - to, co uznam za istotne. Jeżeli pan powtórzy chociaż jedno słowo z tych informacji, straci pan jednocześnie stanowisko, emeryturę i jakąkolwiek nadzieję na znalezienie pracy w Anglii... naturalnie, po kilku latach spędzonych w więzieniu za naruszenie przepisów o ochronie tajemnicy państwowej. Osobiście zredaguję akt oskarżenia. - Przerwał, by dorzucić do tego arcydzieła: - Czy zostałem dobrze zrozumiany?

- Tak. Zrozumiałem bardzo dobrze - odpowiedział ponurym tonem sierżant.

Wuj Arthur udzielił mu informacji, naturalnie tych, które uważał za stosowne i zakończył swoje przemówienie życzeniem, abyśmy mogli od tej chwili liczyć na jak najszerzą współpracę ze strony strażnika porządku publicznego.

- Pan Calvert przypisuje mi w tym wszystkim rolę, jakiej bynajmniej nie odgrywam - odpowiedział ponuro McDonald.

- Psiakrew - nic wytrzymałem. - Wiedział pan że celnicy byli fałszywi. Że nie mieli aparatu do sporządzania fotokopii. Że ich wizyta na pokładzie miała jako jedyny cel odnalezienie i zniszczenie naszego nadajnika czy też naszych nadajników. Że nie mogli powrócić na ląd stały podczas takiej pogody. Ich szalupa była w istocie tendrem „Sangri-la”. Stąd odpływaliście bez świateł, a żadna łódź nie opuściła portu po waszym odpłynięciu. Słyszelibyśmy to. Skąd pan mógł wiedzieć, że kable telefoniczne zostały przecięte w cieśninie? Co? Właśnie w cieśninie, a nie gdzie indziej. Dlaczego powiedział mi pan następnego dnia, że nie zostaną naprawione? Powinien był pan poprosić celników, by zadzwonili do biura napraw po powrocie do Glasgow, aby łączność została przywrócona. Wiedział pan, że oni nie powrócą na stały ląd. Tak samo wiedział pan, że pańscy synowie żyją, w przeciwnym bowiem razie zamknąłby pan ich konta oszczędnościowe.

- O tym zapomniałem - odpowiedział powoli McDonald. - Jeśli chodzi o pozostałe sprawy, są one za trudne dla mnie. Teraz to koniec, admirale. Uprzedzili mnie, że zabiją moje dzieci.

- Jeżeli obieca nam pan pełną współpracę, osobiście będę czuwał nad tym, aby zachował pan swoje stanowisko w Torbay, dopóki nie zacznie pan się potykać o własną brodę, sierzancie - obiecał wuj Arthur. - Kim są ci tajemniczy „oni”?

- Jedynymi, których znam, są kapitan Imrie i dwaj celnicy: Durran i Thomas. Durran nazywa się naprawdę Quinn. Nazwisk innych nie znam. Przychodzą do mnie z zapadnięciem nocy. Dwa razy udawałem się na „Sangri-la”, aby spotkać się z Imrie.

- A sir Anthony Skouras?

- Właśnie tego nie rozumiem... to bardzo dobry człowiek. Znakomity. Przynajmniej dotąd w to wierzyłem. Ale jeśli pan mówi, że jest on zamieszany w to wszystko... Każdy człowiek może wpaść w złe towarzystwo... Ale to bardzo dziwne.

- Rzeczywiście. Jaką rolę pan odgrywał?

- Od kilku miesięcy działy się tutaj przedziwne rzeczy. Ginęły statki. Również ludzie. Rybakom darły się sieci w porcie. Uszkodzano też silniki jachtów. W ten sposób kapitan Imrie chciał przeszkodzić niektórym statkom w udaniu się w określonych kierunkach i określonym czasie.

- Pańska rola, jeżeli dobrze rozumiem, polegała na prowadzeniu dochodzenia bez rezultatów. Jest pan dla nich niezastąpiony, sierzancie. Człowiek w pańskim wieku, mający za sobą całą karierę, jest ponad wszelkie podejrzenia. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi?

- Słowo daję, admirale, nie wiem.

- Naprawdę nic pan nie wie?

- Nie.

- Co panu daje pewność, że pańskie dzieci jeszcze żyją?

- Widziałem je trzy tygodnie temu na pokładzie „Sangri-la”. Czuły się dobrze.

- Czy jest pan tak naiwny, aby wierzyć, że wróca do pana żywe po zakończeniu całej sprawy? Czy pomyślał pan o tym, że będą mogły poznać porywaczy i świadczyć przeciwko nim?

- Imrie zapewnił mnie, że nie stanie się im nic złego, jeśli będę posłuszny. Powiedział mi również, że tylko durnie popełniają niepotrzebne gwałty.

- Pańskim zdaniem nie dojdzie do morderstwa?

- Do morderstwa? Dlaczego mówi pan o morderstwie?

- Calvert! Niech pan poczęstuje sierżanta porządną szklanką whisky.

Kiedy chodziło o pokrzepienie innych moimi zapasami, wuj Arthur okazywał zawsze wyjątkową gościnność... A przecież nie przyznał mi żadnego funduszu reprezentacyjnego. Poczęstowałem sierżanta, ale widząc, że grozi mi nieuchronne bankructwo, poczęstowałem również siebie. W kilka sekund później sierżant opróżnił szklankę. Zaprowadziłem go do maszynowni. Kiedy wróciliśmy, bez oporu zgodził się na drugą kolejkę. Twarz miał bladą.

- Powiedziałem panu - ciągnął wuj Arthur - że pan Calvert dokonał dziś po południu zwiadu na pokładzie helikoptera. Zapomniałem sprecyzować, że pilot został zabity tego wieczora. Nie poinformowałem pana również, że w ciągu sześćdziesięciu godzin zamordowano dwóch moich najlepszych agentów. A teraz przyszła kolej na Hunsletta. Widział go pan. Czy dalej wierzy pan, że mamy do czynienia z dżentelmenami-włamywaczami szanującymi życie ludzkie?

Twarz McDonalda odzyskała kolor, jego spojrzenie stało się twarde i zimne, i jakby trochę desperackie.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - spytał.

- Zanieś pan Hunsletta do komisariatu razem z Calvertem. Zażąda pan przeprowadzenia sekcji; potrzebny nam jest oficjalny dokument, stwierdzający przyczynę śmierci, który będzie stanowił dowód na procesie sądowym - pozostałe trupy prawdopodobnie nigdy nie zostaną odnalezione. Następnie uda się pan na pokład „Sangri-la” i powie Imriemu, że przywieźliśmy panu Hunsletta i Włocha. Powie pan również, że słyszał jak mówiliśmy, iż zamierzamy powrócić do Clyde, aby sprowadzić echosondę oraz posiłki. Powie pan, że zużyjemy na to co najmniej dwa dni. Czy wie pan, w którym miejscu przecięte zostały kable telefoniczne?

- Sam je przeciąłem.

- Po powrocie ze „Sangri-la” zreperuje je pan. Przed świtem. I chcę, żeby przed świtem pan zniknął. Pan, pańska żona oraz pański syn. Musicie ukrywać się trzydzieści sześć godzin, jeśli pragniecie dalej żyć. Rozumie pan?

- Rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje, ale nie pojmuję przyczyny.

- Przede wszystkim - wykonać polecenie. Prawda, jeszcze jedna sprawa. Hunslett nie ma rodziny... Mało kto z moich ludzi ma rodzinę. Będzie mu tak samo dobrze na cmentarzu w Torbay, jak

gdzie indziej. Niech pan wszystko urządzi tak, aby pogrzeb odbył się w piątek po południu. Chcemy w nim wziąć udział. Calvert i ja.

- W piątek? Ale przecież to... pojutrze.

- Rzeczywiście pojutrze. Zasłona spadnie. Wasi chłopcy znajdą się w domu.

McDonald przyglądał się długo admirałowi.

- Skąd pan ma tę pewność? - spytał wreszcie.

- Nie mam całkowitej pewności. Proszę jednak spojrzeć na Calverta, on jest pewien. Na nieszczęście, sierżancie, przepisy o ochronie tajemnicy państwowej nie pozwolą panu opowiedzieć przyjacielom o tym, że pewnego dnia współpracował pan z Philipem Calvertem. To, co jest możliwe, Calvert zrobi na pewno. Wierzę, że może osiągnąć sukces, w każdym razie życzę mu tego.

- I ja mu również tego życzę - powiedział McDonald opuściwszy głowę.

Jasne. I ja sobie również tego życzyłem, mimo że podobno miałem pewność, o której mówił admirał. Ale atmosfera była tak naładowana brakiem wiary, że uważałem, iż nie należy tego braku jeszcze bardziej potęgować. Ubroiłem swoją twarz w uśmiech pełen zaufania i zaprowadziłem McDonalda do maszynowni.

ŚRODA: OD DWUDZIESTEJ DRUGIEJ CZTERDZIEŚCI, DO DRUGIEJ NAD RANEM W CZWARTEK

Przybyło ich trzech, aby nas zabić. Nie o północy, jak się spodziewaliśmy, lecz o dwudziestej drugiej czterdzieści. Gdyby przybyli pięć minut wcześniej, zrealizowaliby bez wątpienia swój zamiar, gdyż byliśmy przycumowani do kamiennego mola. Jeśliby im się udało, winien byłbym tylko ja, ponieważ po odniesieniu ciała Hunsletta do komisariatu uparłem się, by złożyć wizytę aptekarzowi z Torbay, który nie miał ochoty na popełnienie pewnego małego oszustwa. Musiałem poświęcić dobrych parę minut i użyć złośliwych grózb, aby zmusić tego pigularza do oddania mi przysługi, której żądałem: podarowania małej buteleczki z zieloną naklejką i napisem: „pastylki”. Na szczęście nadrobiłem tę stratę czasu, gdyż miałem wiatr za rufą i przybyłem na „Firecresta” o dwudziestej drugiej trzydzieści.

Na atlantyckim wybrzeżu Szkocji nigdy nie ma „złotego” lata, a ta noc nie była wyjątkowa. Wiał zimny wiatr i snuła się gęsta mgła, która uniemożliwiała wszelką widzialność. Ruszając musiałem włączyć reflektor zamontowany na dachu sterówki, gdyż ufając tylko busoli mógłbym nie zauważyć przesmyku między Torbay a wyspą Garve. Przejście miało zaledwie pięćset metrów szerokości i ryzykowałem zderzenie z którymś ze statków, stojących tam na kotwicy, tym bardziej że światła pozycyjne we mgle były zupełnie niewidoczne.

Urządzenie sterownicze reflektora znajdowało się na suficie sterówki. Skierowałem snop światła bardzo nisko i omiotłem morze na czterdzieści stopni z każdej strony. Natychmiast zauważyłem pierwszą łódź wiosłową płynącą w odległości pięćdziesięciu metrów przed nami, po lewej burcie. Wiosła były zabezpieczone białym płótnem w miejscach, gdzie tkwiły w dulkach, naturalnie po to by zmniejszyć hałas. Sylwetka jednego z wiosłarzy przypominała Quinna. Sternik, siedzący twarzą do mnie, nosił płaszcz nieprzemakalny i beret, a w ręku trzymał niemiecki pistolet maszynowy, typu - jak mi się wydawało - „Schmeisser”. Był to prawdopodobnie Jacques, ekspert w tych sprawach. Obok niego zauważyłem trzecią postać, trzymającą krótką broń. Panowie Quinn, Jacques i Kramer przybywali, aby złożyć swoje uszanowanie admirałowi, tak jak to zapowiedziała Charlotta, tyle że dużo wcześniej...

Charlotta stała obok mnie z prawej strony od chwili podniesienia kotwicy.

Podczas pobytu w porcie była zamknięta w jednej z kabin z wygaszonym światłem. Po mojej lewej oddychał szybko czystym nocnym powietrzem wuj Arthur, paląc jedno ze swoich ulubionych krótkich cygar. Wziąłem latarkę elektryczną i sprawdziłem czy mam liliputa w mojej prawej kieszeni.

- Proszę otworzyć drzwi sterówki - poleciłem Charlocie - umocować je haczykiem i odsunąć się. Admirale, proszę ująć ster. Kiedy zawołam, skieruje go pan całą w lewo, następnie powróci pan na kurs północny.

W milczeniu wykonali moje polecenia. Usłyszałem, jak drzwi zaskoczyły na haczyk. Posuwaliśmy się z szybkością trzech węzłów. Łódź znajdowała się w odległości zaledwie dwudziestu pięciu metrów. Obok faceci, siedzący do nas twarzami, osłaniali dłońmi oczy przed światłem reflektora. Quinn przestał wiosłować. Mieliśmy ich w odległości około trzech metrów po

lewej stronie.

W chwilę później zobaczyłem, jak Jacques wycelował z pistoletu maszynowego w reflektor, więc otworzyłem cały gaz. Diesel zawarczał, „Firecrest” skoczył do przodu.

- Całkowite wychylenie!

Wuj Arthur obrócił koło sterowe. Nagły napór naszej lewej burty spowodował nacisk na ster ustawiony w lewo przez wuja Arthura i przesunął rufę „Firecresta” w prawo. Pistolet maszynowy z tłumikiem splunął ogniem bez dźwięku. Kule zrykoszetowały na przednim aluminiowym maszcie, nie dosięgnąwszy ani reflektora, ani sterówki. Quinn zrozumiał mój zamiar i gwałtownie zanurzył wiosła w wodę.

Było już jednak za późno.

- Ster zero! - zawołałem.

W tej samej chwili ustawiłem pozycję dławika na luzny bieg i wyskoczyłem na pokład przez otwarte drzwi. „Firecrest” uderzył w łódź na wysokości Jacquesa, odłamał dziób, przewrócił szalupę i wyrzucił trzech mężczyzn do wody. Resztki łodzi i dwie szamoczące się postacie wolno płynęły wzdłuż prawej burty. Latarką oświetliłem człowieka znajdującego się bliżej naszej burty. Był to Jacques, który instynktownie trzymał pistolet maszynowy nad głową, by nie zamókł, choć i tak był z pewnością mokry po wpadnięciu do wody. Złączyłem dłonie trzymając lufę liliputa równoległe do latarki i wystrzeliłem dwa razy. Czerwony kwiat rozkwitł w miejscu, gdzie przedtem widziałem twarz Jacquesa. Morderca pograżył się w wodzie, tak jakby rekin wciągnął go w głębinę. Pistolet maszynowy podążył za nim. Nie pomyliłem się, to był schmeisser...

Ponownie zbadałem okolicę za pomocą latarki. Quinn zniknął; może ukrył się za szczątkiem ich łodzi, może zanurkował pod naszą. Wystrzeliłem jeszcze dwa razy w kierunku trzeciej osoby. Wydała okrzyk, który szybko zamienił się w bulgotanie. Wreszcie wszystko ucichło. Usłyszałem obok siebie wymiotującą Charlotte. Miałem naprawdę co innego do roboty niż trzymanie jej za głowę. A poza tym, co robiła na pokładzie?

Musiałem uporać się z ważniejszymi sprawami, na przykład powstrzymać wuja Arthura, by nie zdemolował starego kamiennego mola w Torbay, gdyż to nie spotkałoby się z uznaniem mieszkańców. Zerowa pozycja steru u admirałów nie była prawdopodobnie taka sama jak u zwykłych śmiertelników, gdyż nasz statek zdążył obrócić się o dwieście siedemdziesiąt stopni. Wuj byłby wspaniały przy sterze fenickich galer, wyspecjalizowanych w sztuce uderzania swoich przeciwników ostrogą, ale w charakterze sternika pośrodku portu Torbay - nie bardzo dawał sobie radę.

Skoczyłem do sterówki, wstawiłem dławik na wstecz i obróciłem koło w lewo. Następnie wybiegłem na pokład i wciągnąłem Charlotte do wewnątrz dosłownie w ostatniej sekundzie: mogła zostać pozbawiona głowy przez obrośnięte wąsonogami słupy w przedniej części mola. Trudno powiedzieć, czy otarliśmy się o molo, czy nie, ale z pewnością napędziliśmy strachu wąsonogom. Cofnąłem się razem z Charlottą do sterówki. Ciężko oddychałem. To wskakiwanie do sterówki i wyskakiwanie na pokład pozbawiało człowieka sił.

- Z całym szacunkiem, admirale, ale co, do diabła, próbuje pan robić?

- Ja? Co się stało?

Wydawał się być tak samo przerażony, jak przebudzony w styczniu śpiący niedźwiedź.

Przestawiłem silnik na „wolno naprzód” i skierowałem „Firecresta” na kurs północny według namiaru z busoli.

- Proszę trzymać ten kierunek - powiedziałem. - Ja tymczasem spenetruję morze.

Włączyłem reflektor. Ani śladu łodzi, ani śladu niczego na czarnych wodach. Oczekiwałem widoku zapalonych świateł w Torbay, gdyż strzały rewolwerowe niesie po morzu daleko, nawet jeśli są to tylko suche trzaski liliputa. Nikt jednak nie dawał znaku życia. Żadnego ruchu! Prawdopodobnie poziom w butelkach z ginem był niższy niż zazwyczaj. Sprawdziłem kurs według busoli: trzysta czterdzieści. Jak pszczoła wabiona kwiatem czy opiłek żelaza ciągnięty przez magnes wuj Arthur był łącony przez brzeg, do którego jeszcze raz chciał nas skierować. Odebrałem mu ster. Delikatnie, ale stanowczo.

- Prawie trzasnął pan w molo, admirale - powiedziałem.

- Chyba istotnie tak było. - Wyjął chustkę i wytarł monokl. - Ten przeklęty monokl spocił się w złej godzinie. Czy pan przed chwilą strzelał na postrach? Wydaje mi się, że nie.

Zauważyłem, że mniej więcej od godziny stał się niezwykle wojowniczy. Bardzo cenił Hunsletta.

- Zastrzeliłem Jacquesa, ich specjalistę od pistoletu maszynowego i Kramera. Quinnowi jednak udało się zbiec.

Sytuacja przedstawiała się źle. Byłem praktycznie biorąc sam wobec burzy i ciemności. Wiedziałem, że wuj Arthur nie najlepiej widzi w świetle dziennym, ale nigdy nie uwierzyłbym, że po zachodzie słońca jest ślepy jak nietoperz. Żeby chociaż miał, jak wszystkie nietoperze, mały wewnętrzny radar, który pozwalałby mu wykrywać skały, przylądki, wyspy i inne przeszkody, na które mogliśmy wpaść i rozbić się... A więc byłem zdany wyłącznie na siebie i musiałem w związku z tym zrewidować swoje plany, mimo że wydawało mi się niemożliwością cokolwiek zmienić.

- Jacques i Kramer - komentował wuj. - To nieźle. Szkoda, że nie przyłączył się do nich Quinn, ale mimo to - nieźle. Szeregi przeciwników topnieją. Jak pan sądzi, czy nasi przyjaciele będą nas ścigać?

- Nie... Z czterech powodów. Po pierwsze: nie wiedzą dotąd, co się wydarzyło. Po drugie: ich dwie wieczorne ekspedycje źle się zakończyły i nie będą planować nowego abordażu, nim nie złapią oddechu. Po trzecie: do pościgu będą chcieli użyć swojej łodzi motorowej, nie ze „Sangri-la”, a tę ich motorówkę słysząc na odległość stu metrów, muszą się zatem liczyć z tym, że możemy ją rozbić. Po czwarte: straszliwa mgła. Proszę spojrzeć, jak nikną światła Torbay. Nie będą nas ścigać z tej prostej przyczyny, że nie zdołają nas znaleźć.

Dotychczas miałem w sterówce tylko jedno źródło światła - niebieskawy odblask kompasu - ale nagle rozblęsnęła lampa na suficie. Trzymając rękę na wyłączniku Charlotta patrzyła na mnie dzikim wzrokiem, jakbym był co najmniej mieszkańcem Marsa. Z jej oczu zniknął wyraz podziwu, a jej głos był niższy i bardziej matowy niż zwykle i lekko drżał.

- Jakim pan jest właściwie człowiekiem, Calvert? - No, no, już nie nazywała mnie Philipem. - Jest pan... to potworne! Zabija pan dwóch ludzi i kontynuuje konwersację spokojnie i sensownie, jakby nic się nie wydarzyło. Kim pan właściwie jest? Zawodowym mordercą? To nieludzkie! Czy nie ma pan serca? Żadnych uczuć? Żadnych wyrzutów sumienia?

- Mam. Żałuję, że nie zabiłem Quinna.

Obrzuciła mnie przerażonym spojrzeniem i odwróciła się do wuja Arthura.

- Widziałam tego człowieka - powiedziała głośnym szeptem. - Widziałam jego twarz rozrywaną kulami. Calvert mógł go aresztować... założyć kajdanki... oddać w ręce policji... Ale on tego nie zrobił. Zabił go. Drugiego również. Świadomie, z premedytacją. Dlaczego, admirale?

- Nie ma żadnego „dlaczego”, droga przyjaciółko - odpowiedział wuj Arthur tonem, w którym wyczuwało się zniecierpliwienie. - Tu są niepotrzebne jakiegokolwiek tłumaczenia. Calvert zabił ich, gdyż w przeciwnym razie oni by nas zabili. Przybyli w tym celu. Pani sama nam o tym powiedziała. Czy zastanawiałaby się pani nad celowością zabicia jadowitej żmii? Ci ludzie nie są warci innego określenia. Jeśli zaś chodzi o ich aresztowanie...

Wuj zamilkł na chwilę, być może po to, aby się uśmiechnąć, a być może po to, by przypomnieć sobie twierdzenie, które wypowiedziałem kilka godzin temu...

- W tej grze nie ma remisów - ciągnął. - Zabija się albo zostaje się zabitym. To niebezpieczni ludzie, mordercy, i nie należy nigdy dać się uprzedzić.

Kochany, stary wuj Arthur! Zapamiętał lekcję. Powtórzył ją prawie słowo w słowo. Charlotta długo przyglądała się admirałowi, aż wreszcie wyszła, rzuciwszy mi mroźne spojrzenie..

- A więc, jest pan równie zły jak ja, admirale - stwierdziłem.

Pojawiła się ponownie z wybiciem północy i znowu zapaliła światło. Była starannie uczesana i ubrana w białą suknię z syntetycznego materiału. Twarz miała mniej spuchniętą. Skierowała w moją stronę uśmiech, na który nie odpowiedziałem. Zachowywała się tak, jakby coś jej dolegało, pewnie bolały ją plecy. Uśmiechnęła się lekko do mnie po raz drugi, ale znów się nie odwzajemniłem.

- Mijając cypel Carrare pół godziny temu - powiedziałem - o mało nie rozniosłem latarni morskiej. W tej chwili mam nadzieję, że płyniemy na północ do Dubh Sgeir, ale być może przyłodek jest na wprost nas. Mgła zgęstniała. Z pewnością na głębokości tysiąca pięciuset metrów pod ziemią nie jest bardziej ciemno. Mam zbyt mało doświadczenia w prowadzeniu statku takiego jak ten, w dodatku na najbardziej niebezpiecznych wodach Królestwa. Nasza skromna nadzieja na sukces zależy

od mojego wzroku. Od godziny moje oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności. A teraz wszystko na nic. Proszę zgasić to przeklęte światło!

- Proszę mi wybaczyć. - Światło zgasło. - Nie myślałam...

- Nie należy zapalać światła pod żadnym pozorem! Nawet w pani kajucie. To nie skały Loch Houron napawają mnie strachem.

- Bardzo pana przepraszam... Przepraszam za to, co powiedziałam przed chwilą... Nie mam prawa sądzić innych. A poza tym osądzałam nie myśląc. Ale musi pan zrozumieć... byłam zaszokowana. Widzieć, jak zabija się w ten sposób ludzi... Nawet nie zabija, bo zabija się w gniewie, w zdenerwowaniu, a to była raczej egzekucja. Rozumiem stanowisko sir Arthura: zabić, aby nie zostać zabitym, ale przecież pan niczym nie ryzykował... Pan zrobił to, jakby było dla pana czymś zwyczajnym. - Jej głos drżał coraz bardziej, chwilami zamierał.

- Muszę wyprowadzić panią z błędu, moja droga - zabrał głos wuj Arthur. - On zabił nie dwóch ludzi tego wieczoru, lecz trzech. Tego trzeciego pozbawił życia, zanim pani przybyła. A mimo to Philip Calvert nie jest zawodowym mordercą. Nie miał rzeczywiście wyboru. Twierdzi pani, że strzelał z zimną krwią, kpiąc sobie ze wszystkiego. W jakimś sensie ma pani rację, gdyż inaczej musiałby zwariować. W rzeczywistości jednak te zabójstwa nie są dla niego prostą sprawą. Nie wykonuje swojego zawodu tylko dla pieniędzy. Jego pensja jest bardzo skromna... oczywiście w stosunku do jego umiejętności. - Nareszcie zdanie, którego nie omieszkać zacytować przy następnej rozmowie sam na sam z wujem. - Nie uprawia on tego zawodu również z miłości do silnych wrażeń, gdyż „kocha”, jak to się zwykło mówić, muzykę, astronomię, filozofię. Calvert działa, bo chce by respektowano różnicę między dobrem a złem, dozwolonym a niedozwolonym i kiedy ta różnica zbyt się zaciera, kiedy zło zagraża zniszczeniem dobra, nie waha się przed zastosowaniem środków potrzebnych do przywrócenia równowagi. W sumie, być może jest lepszym człowiekiem od pani i ode mnie, droga Charlotta.

- Zapomina pan o czymś, admirale - wtrąciłem kpiąco. - Jestem również powszechnie znany z mojego niezwykle sympatycznego odnoszenia się do małych dzieci.

- Proszę mi wybaczyć, Calvert. Możliwe, że nie sprawiło to panu zbyt przyjemności, ale musiałem o tym powiedzieć. Jeżeli Charlotta uznała, że należy wrócić, aby nas przeprosić, uważam za celowe powiedzieć jej kilka słów prawdy.

- Wydaje mi się, że nie tylko dlatego do nas przyszła - powiedziałem z uśmiechem. - Powróciła, gdyż pożerała ją kobieca ciekawość. Chce wiedzieć, dokąd się udajemy.

- Czy mogę zapalić? - spytała.

- Proszę tylko nie błyskać zapałkami przed moimi oczyma.

Zapaliła papierosa i powiedziała:

- To prawda, jestem ciekawa, ale nie tego, dokąd się udajemy. Płyniemy w górę Loch Houron,

powiedział mi pan o tym. Chciałabym natomiast wiedzieć, co się dzieje. Co znaczą te straszliwe tajemnice, te dziwne wizyty na pokładzie „Shangri-la”? Jakie powody mogą usprawiedliwiać śmierć trzech osób jednego tylko wieczora? Kim panowie właściwie są i co robią? Nigdy nie wierzyłam, że jest pan przedstawicielem UNESCO, sir Arthurze. Proszę mi to wyjaśnić. Mam chyba prawo znać prawdę.

- Proszę nie odpowiadać - poradziłem.

- A dlaczego by nie? - zaproponował wuj Arthur. - Jedziemy na tym samym wózku, czy pani Skouras chce tego, czy nie. A poza tym, tak jak powiedziała, ma prawo wiedzieć. Zresztą cała ta historia przestanie być tajemnicą za kilka dni.

- W stosunku do McDonalda zachowywał się pan inaczej. Groził mu pan najsurowszymi konsekwencjami, jeśli naruszy prawo o zachowaniu tajemnicy państwowej.

- Rzeczywiście. Ale on mógł wszystko skomplikować, opowiadając o wszystkim na prawo i lewo podczas gdy pani Skou... chciałem powiedzieć Charlotta, nie może tego zrobić. Jestem o tym absolutnie przekonany. Charlotta jest moją starą przyjaciółką, do której mam zaufanie, Calvert. Powinna wiedzieć.

- Mam wrażenie, że pański współpracownik nie bardzo mnie lubi. Ale może on w ogóle nie lubi kobiet?

- Bardzo lubię - odpowiedziałem. - Chciałem tylko przypomnieć admirałowi jedną z jego złotych zasad: „Nigdy, nigdy - nie wiem ile razy nigdy, w każdym razie cztery czy pięć co najmniej - nie powierzać nic nikomu, jeżeli nie jest to konieczne lub ważne. W tym przypadku nie jest to ani konieczne, ani ważne.

Wuj Arthur zapalił jedno ze swoich podłych cygar, ignorując mnie zupełnie. Jego złote zasady nie odnosiły się do stosunków między członkami arystokracji.

- Droga przyjaciółko - powiedział po chwili - chodzi o zniknięcie statków. Dokładnie pięciu statków. Nie licząc pewnej liczby małych jednostek.

- Również pięciu - sprecyzowałem.

- Zgoda. Piątego kwietnia tego roku statek parowy „Holmwood” zaginął na południowym wybrzeżu Islandii. Piractwo. Załoga była więziona na łądzie dwa czy trzy dni, potem została wypuszczona, zdrowa i cała. Nikt więcej nie zobaczył „Holmwooda”. Dwudziestego czwartego kwietnia motorowiec „Antara” ułotnił się w kanale St. George. Siedemnastego maja podobna jednostka, „Headley Pioneer”, zniknęła u północnych wybrzeży Irlandii. Szóstego sierpnia statek handlowy „Hurricane Spray”, opuścił Clyde, aby zaginąć na zawsze. Wreszcie ostatniej soboty wyparował „Nantesville”, w krótkim czasie po wypłynięciu z Wexford. W tych wszystkich przypadkach załoga powróciła. Wszystkie te statki miały wspólną cechę - oprócz nieoczekiwanego zniknięcia i powrotu załóg - transportowały wyjątkowo cenny ładunek, bardzo łatwy do upłynnienia. W ładowniach „Holmwoodu” znajdowało się południowoafrykańskie złoto o wartości ponad dwóch

i pół miliona funtów. Na „Antarze” - nie oszlifowane diamenty brazylijskie dla celów przemysłowych, ich wartość - półtora miliona funtów. Na „Headley Pioneer” były szmaragdy z kopalni „Muzo” w Kolumbii, oszlifowane i w stanie surowym, na sumę dwóch milionów funtów. W skarbcu „Hurricane Spray”, który płynął z Rotterdamu do Nowego Jorku, zatrzymał się po drodze w Glasgow, były trzy miliony funtów w szlifowanych diamentach. Wreszcie „Nantesville” transportował sztaby złota należące do skarbu amerykańskiego o wartości ponad ośmiu milionów funtów. Skąd i od kogo piraci otrzymywali informacje? Nie mamy pojęcia. Wybór statków transportowych, daty i porty odpłynięcia i przybycia, wartość ładunków - wszystko było trzymane w ścisłej tajemnicy. A mimo to piraci zostali doskonale poinformowani. Calvertowi wydaje się, że zna już źródło ich informacji. Przy trzecim statku było właściwie jasne, że mamy do czynienia z doskonale zorganizowaną bandą.

- Czy chce pan powiedzieć, że Imrie jest w to wmieszany?

- Wmieszany to może nie najlepsze słowo - powiedział wuj Arthur oschle. - Nie można wykluczyć, że jest on mózgiem kierującym tym wszystkim.

- Nie zapominajmy o Skourasie - dodałem. - Jest również w to pogrążony, i to po uszy.

- Nie ma pan prawa tak twierdzić - zaprotestowała natychmiast Charlotta.

- Nie mam prawa? - spytałem. - A dlaczego? Dlaczego nagle chce pani bronić tego mistrza pejcza. Jak tam pani plecy, ? propros?

Milczała. Wuj Arthur milczał również. Było to jednak zupełnie inne milczenie. Po chwili admirał podjął wątek opowieści.

- Po zaginięciu „Headley Pioneera” Calvert wpadł na pomysł ukrycia naszych ludzi, wyposażonych w nadajniki radiowe, na niektórych statkach transportujących sztaby złota czy inne kosztowności. Bez trudu, jak pani rozumie, uzyskaliśmy zgodę na współpracę towarzystw okrętowych i zainteresowanych rządów. Nasi agenci, z niezbędnym zapasem żywności, ukrywali się w ładowniach, względnie innych pustych pomieszczeniach. Tylko kapitan wiedział o ich obecności. W określonych odstępach czasu nadawali sygnały rozpoznawcze trwające około piętnastu sekund. Odbieraliśmy je za pomocą stacji goniometrycznych umieszczonych wzdłuż wybrzeża Atlantyku - stacje były umiejscowione wyłącznie na tym obszarze, gdyż właśnie tam odnajdywano załogi - jak również za pomocą urządzeń radiolokacyjnych „Firecrest”. Nasz „Firecrest” jest bowiem statkiem szczególnym, droga przyjaciółko... - Przez chwilę wydawało mi się, że zacznę chwalać swoje osiągnięcia w projektowaniu, ale na szczęście w porę przypomniał sobie, że doskonale znam całą prawdę. - Odbieranie tych sygnałów pozwalało nam śledzić na mapie drogę interesujących nas obiektów - podjął znowu. - Od siedemnastego maja do piątego sierpnia nic się nie wydarzyło. Nie było żadnych aktów piractwa. Przystępczym operacjom prawdopodobnie nie sprzyjały jasne i krótkie noce. Szóstego sierpnia zagiął „Hurricane Spray”. Nie mieliśmy tam nikogo na pokładzie. Dysponowaliśmy tylko trzema ekipami. Dwóch naszych najlepszych ludzi. Delmont i Baker, znajdowało się na pokładzie „Nantesville”, statku handlowego, który w sobotę odpłynął z Wexford. W kilka godzin później, podczas wyjścia z kanału, statek został porwany. Baker i Delmont zaczęli natychmiast nadawać sygnały. Stacje goniometryczne przekazywały nam położenie statku co pół

godziny. Calvert i Hunslett oczekiwali w Dublinie, kiedy...

- No dobrze - przerwała - ale co się stało z panem Hunslettem?

- Dojdziemy do tego. „Firecrest” wypłynął w morze. Zamiast podążać za „Nantesville” płynął przed nim po przewidywanym kursie. Po dopłynięciu do Mull of Kintyre zamierzali czekać aż do nadpłynięcia „Nantesville”, ale zerwał się południowo-zachodni wicher i „Firecrest” musiał szukać schronienia. Gdy „Nantesville” dopłynął do Mull of Kintyre, nasze namiary wskazywały, że płynie na północ. Sprawiało to wrażenie, jakby chciał przejść przylądek po jego stronie zachodniej. Calvert zaryzykował. Popłynął w górę jeziora Fryne i minął kanał Crinan. O zachodzie słońca zamyka się tam śluzy. Mógł kazać je otworzyć, ale nie chciał. Wiatr zmienił kierunek na zachodni. Statek o wielkości „Firecresta” nie może ryzykować przejścia przez Dorus Mor przy zachodnim wietrze o sile dziewięciu w skali Beauforta, jeśli załoga ma żony i dzieci. A nawet wówczas, kiedy ich nie ma... W nocy „Nantesville” skręcił na zachód i znalazł się na Atlantyku. Zdawało się nam, że go zgubiliśmy. Teraz domyślamy się, dlaczego zastosował ten manewr. Chciał przybyć w godzinie przypływu, w nocy, na określone miejsce. Ale miał dużo czasu. Dlaczego popłynął na zachód? Dlatego, że był to najlepszy sposób na przeciwstawienie się wichurze z zachodu. A poza tym nie chciał, aby go widziano z brzegu w ciągu całego następnego dnia. Wolał przybyć na miejsce swego przeznaczenia bezpośrednio z pełnego morza po zapadnięciu zmroku. W ciągu nocy pogoda trochę się uspokoiła. Calvert wypłynął z Crinan o świcie, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy „Nantesville” dokonywał zwrotu na wschód. Sygnały nadawane przez Delmonta i Bakera nadal nadchodziły o właściwych porach. Ostatni sygnał odebraliśmy o godzinie dwudziestej drugiej dwadzieścia. A potem nastąpiła głucha cisza.

Wuj z wściekłością zaciągał się cygarem, które oświetlało całą sterówkę. Mógłby zdobyć majątek polecając swoje usługi w dziale dezynfekcji okrętów towarzystw przewozowych. Wystarczyłby za całą ekipę. Po chwili podjął swoje opowiadanie, tym razem już dużo szybciej, jakby dalszy bieg wypadków sprawiał mu przykrość, w co zresztą nie wątpiłem.

- Nie wiemy, co się wydarzyło. W każdym razie musieli się zdradzić przez nieostrożność, w to jednak nie wierzę. Być może któryś z członków pirackiej załogi odnalazł przez przypadek ich kryjówkę, co raczej jest też niemożliwe. Człowiek wpadający na dwóch agentów, takich jak oni, nie miałby okazji natknąć się na nich ponownie. Calvert sądzi, że radiotelegrafista piratów przez przypadek natrafił na naszą częstotliwość w czasie piętnastu sekund nadawania. Jest to szansa jedna na dziesięć tysięcy. Być może w tym wypadku piraci mieli szczęście... Ciąg dalszy można łatwo odgadnąć. Ostatnie współrzędne wskazują, że „Nantesville” szedł kursem 082. To kierowało go w stronę jeziora Houron. Prawdopodobny czas przybycia: zachód słońca. Calvert mógł dotrzeć tam z łatwością, gdyż jego droga była trzy razy krótsza, ale przypuszczał, że Imrie, odkrywszy seanse radiowe Delmonta i Bakera, domyśli się, iż podążamy za nim i znamy cel, do którego zmierza. Sądził, że jeśli „Nantesville” będzie dalej szedł swoim kursem, to pośle na dno za pomocą strażów lub staranowania każdy statek, który usiłowałby mu przeszkodzić w wejściu do Loch Houron. W konsekwencji Calvert zakotwiczył „Firecresta” w Torbay i wyruszył na zwiad od strony jeziora Houron w stroju pletwonurka na pontonie z silnikiem. I rzeczywiście: u ujścia jeziora do morza pojawił się statek handlowy. Calvertowi udało się wejść na pokład podczas nocnych ciemności. Nazwa statku i bandera, pod którą płynął, były zmienione, jeden maszt został zdemontowany,

nadbudówki przemalowane, ale z pewnością był to „Nantesville”. Następnego dnia burza zablokowała „Firecresta” w Torbay, mimo to Calvert dokonał zwiadu lotniczego w poszukiwaniu „Nantesville” lub miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Popęłnił jednak błąd. Sądził, że statek opuścił Loch Houron, kierując się w stronę wybrzeży szkockich. Dlaczego? Bo Imrie zdawał sobie sprawę z tego, iż my wiemy, że kieruje się w stronę jeziora. Z danych geograficznych wynika, że jezioro to, połączone z morzem, jest ostatnim miejscem w Szkocji, w którym zdrowy na umyśle marynarz usiłowałby ukryć swój statek. Inaczej mówiąc, Calvert myślał, że „Nantesville” wyszedł z Loch Houron z nastaniem ciemności, które pozwoliły mu niepostrzeżenie minąć cieśninę Torbay czy też południowe wybrzeże wyspy. Dlatego ograniczył swój zwiad lotniczy do wybrzeży lądu, Torbay i cieśniny. W tej chwili jest przekonany, że statek zakotwiczone na jeziorze Houron, i to właśnie musimy sprawdzić... Oto cała historia, moja droga. A teraz, jeśli pani pozwoli, chciałbym wyciągnąć się na godzinę na kozetce. Ach, te nocne eskapady... Nie jestem już chłopcem, Charlotta, potrzebny mi jest sen.

To było dobre! Ja również nie byłem już chłopcem i wydawało mi się, że nie spałem od miesięcy, podczas gdy wuj Arthur, który kładł się do łóżka zawsze równo o północy, miał zaledwie piętnaście minut opóźnienia. Z drugiej jednak strony, jedną z moich ambicji, które mi jeszcze pozostały, było osiągnięcie wieku emerytalnego i dlatego też nie pozostało mi nic innego, jak odsunąć admirała na zawsze od koła sterowego.

- Z pewnością usłyszałam prawdę - odezwała się Charlotta - ale nie całą prawdę. Gdzie jest pan Hunslett? Zadaję sobie pytanie, w jaki sposób pan Calvert mógł wejść na pokład „Nantesville” i co tam widział?

- Lepiej nie znać pewnych spraw, moja droga. Niech pani nie próbuje dzielić naszych trosk. Niech pani zostawi to nam.

- Widzę, że ostatnio nie przyglądał mi się pan dobrze, sir Arthurze - powiedziała spokojnym tonem.

- Nie rozumiem pani.

- Być może nie zauważył pan, że już przestałam być dzieckiem, nawet młodą kobietą. Niech mnie pan za taką nie uważa. Jeśli pragnie pan odpocząć tej nocy na kozetce...

- Dobrze. Jeżeli pani na tym zależy... Proszę przyjąć do wiadomości, że Calvert nie ma monopolu na gwałt. Na pokładzie „Nantesville” odnalazł dwóch moich ludzi: Delmonta i Bakera. Byli martwi. Zasztyletowani.

Wuj Arthur wygłosił te zdania tonem całkowicie beznamiętnym, takim, jakiego używa się podczas sprawdzania spisu rzeczy oddanych czy otrzymanych z pralni.

- Dzisiejszego wieczora został zabity także pilot helikoptera, a jego maszyna zniszczona niedaleko Torbay. W godzinę później Hunslett został zamordowany. Calvert znalazł go tutaj ze złamanym karkiem.

Cygaro rozbłysło wiele razy, nim Charlotta zdołała wydusić z siebie jakieś słowo.

- To są potwory - wyszeptała wreszcie zdławionym głosem. - Potwory... Jak możecie walczyć z takimi ludźmi?

Wuj Arthur wypuścił kilka kłębow dymu przed udzieleniem odpowiedzi.

- Ja nie mam zamiaru próbować. Generałowie rzadko biorą udział w starciu wręcz w okopach. Będzie z nimi walczył Calvert. Dobranoc, moi przyjaciele.

Wyszedł. Nie chciałem mu się sprzeciwiać, ale wiedziałem, że Calvert nie może z nimi walczyć. Nie miał już siły. Był sam ze swoim ślepym jak kret szefem i z kobietą, której zachowanie, słowa i w ogóle cała reszta włączała w nim dzwonek alarmowy. Calvert potrzebował pomocy, i to szybko. Po wyjściu wuja pozostaliśmy sami w ciemnościach sterówki. Charlotta i ja. Sami z ciszą. Ale ciszą miłą dla ucha. Deszcz łomotał po dachu, woda była czarna, a szare kłęby mgły gęstniały z każdą chwilą. Brak widzialności zmusił mnie do zredukowania szybkości. W tych warunkach miałem olbrzymie trudności przy sterowaniu. Na szczęście „Firecrest” był wyposażony w znakomitego pilota automatycznego, dużo lepszego sternika ode mnie i stokrotnie przewyższającego umiejętności wuja Arthura.

- Eilean Oran i Craigmore. Dwie wyspy w głębi jeziora Huron. Naturalnie, jeżeli je odnajdę.

- Eilean Oran i Craigmore - powtórzyła swoim lekkim francuskim akcentem, który stępiał chropowatość języka celtyckiego. - Jak bardzo te nazwy są dalekie od naszych dramatów i nienawiści, od kradzieży i morderstw! One wręcz tchną romantyzmem.

- To bardzo złudne, owo tchnienie, moja droga. - Znów to „moja droga”. Uwaga. Zaczynam iść w ślady wuja Arthura. - Te wyspy oddychają raczej ponurą samotnością, są skaliste i puste. I właśnie tam znajduje się klucz do całej tajemnicy.

Nie odpowiedziała. Patrzyłem przed siebie w kierunku Dubh Sgeir poprzez obracający się bulaj i zadawałem sobie pytanie, kiedy się znów zobaczymy? W chwilę później poczułem jej rękę na moim ramieniu. Drżącą rękę. Nie wiem, skąd pochodziły jej perfumy, ale z pewnością nie z jakiegoś domu handlowego czy arabskiego bazaru. Pomyślałem, że nigdy nie potrafię zrozumieć nieprawdopodobnej kobiecej mentalności. Dziś wieczorem jej życiu groziło niebezpieczeństwo tak wielkie, że musiała uciec przepływając podczas nieprawdopodobnej pogody prawie połowę basenu portowego. A mimo to przed skoczeniem do wody nie zapomniała o zabraniu flakonu perfum.

- Philipie?

To brzmiało dużo lepiej od „panie Calvert”. Na szczęście nie było wuja Arthura. Gdyby to słyszał, doznałby szoku.

- Tak?

- Jest mi bardzo przykro. - Powiedziała to tak, jakby naprawdę żałowała. Nie zabrzmiało to w każdym razie jak wyuczony tekst ani próba wykorzystania filmowego doświadczenia. - Żałuję tego,

co powiedziałam... Nie wiedziałam niczego o Hunsletcie, Delmoncie i Bakerze, o pańskim pilocie. To byli pańscy przyjaciele. Jest mi bardzo przykro, Philipie.

Chyba trochę szarżowała. Była zbyt blisko. I zbyt ciepła. Potrzebny byłby znakomity kafar, aby wsunąć między nas bibułkę papierosową. I zapach tych perfum, bynajmniej nie tandetny... Spece od reklamy w tygodnikach z błyszczącymi okładkami nazwaliby go odurzającym. W mojej głowie coraz głośniej rozbrzmiewał dzwonek alarmowy. Postanowiłem zareagować po męsku i pomyślałem o czymś innym. Milczała. Ścisnęła mi silniej ramię. Słyszałem rurę wydechową diesla dudniącą za nami, dźwięk budzący zaufanie. „Firecrest” rzucał się wzdłuż wyprzedzających go grzywaczy. Nagle połapałem się w anomaliach warunków meteorologicznych.

Temperatura po północy wyraźnie wzrosła. Chciałbym porozmawiać z chłopcami z Kentu na temat ich gwarancji, że szyba w żadnych warunkach nie pokryje się mgłą. No, możliwe, że nie przewidywali tak anormalnych warunków. Szykowałem się do wyłączenia automatycznego pilota, aby po prostu mieć jakieś zajęcie, gdy Charlotta powiedziała, że schodzi na dół i zaproponowała mi filiżankę kawy.

- Zgoda - powiedziałem - ale pod warunkiem, że nie będzie pani potrzebne światło i że nie podepcze pani nóg wuja, przepraszam, sir Arthura.

- Może pan śmiało mówić „wuj Arthur”. To do niego znakomicie pasuje.

Uścisnęła mi jeszcze raz ramię i zniknęła. Anomalie meteorologiczne nie trwały długo. Temperatura opadła i gwarancja przeciwmgielna szyby była znów całkowicie usprawiedliwiona. Zaryzykowałem przekazanie „Firecresta” automatycznemu pilotowi i pobiegłem do przedniej ładowni po ekwipunek pletwonurka, który przenieśliśmy do sterówki.

Charlotta zużyła dwadzieścia pięć minut na przygotowanie kawy. Gaz, którego używaliśmy, dawał o wiele więcej kalorii ciepła niż standardowy gaz spotykany w gospodarstwach domowych. Nawet uwzględniając trudności związane z pracą po ciemku był to światowy rekord powolności w parzeniu kawy na pełnym morzu. Usłyszałem brzęk szkła, kiedy niosła kawę przez mesę i uśmiechnąłem się do siebie w ciemnościach. Pomyślałem jednak o Hunsletcie, Bakerze, Delmoncie i Williamsie i uśmiech znikł z mojej twarzy.

Nie było mi także do śmiechu, kiedy postawiłem nogę na lądzie w Eilean Oran, zdjąłem akwalung i zamocowałem mój przenośny reflektorek między skałami, kierując w stronę morza jego światło. Nie uśmiechałem się, ale nie z tego samego powodu, dla którego się nie uśmiechałem nieco ponad pół godziny wcześniej, gdy Charlotta przyniosła kawę do sterówki. Nie uśmiechałem się, gdyż czułem obawę. Przez dziesięć minut przed opuszczeniem „Firecresta” próbowałem nauczyć sir Arthura i Charlottę sztuki utrzymania statku w małym, określonym sektorze w odniesieniu do stałego punktu na brzegu: „Podczas kursu na zachód utrzymujcie dziób pod wiatr i fale. Przy silniku na „wolno” da to wam wystarczającą szybkość sterowną. Jeśli popłyniecie zbyt daleko, skierujcie się na południe - gdyby skierowali się na północ, znaleźliby się na skalistym brzegu Eilean Oran - kierujcie się na wschód na pół szybkości, ponieważ jeśli zwolnicie, to ustawicie statek burtą do wiatru i fali. Potem skierujcie się ostro na północ, a następnie znów wolno na kurs na zachód. Widzicie te fale przybojowe? Utrzymujcie je dwieście metrów po prawej stronie w drodze na zachód

i troszkę dalej w drodze powrotnej na wschód... „, itd. , itd.

Charlotta i wuj uroczyście potwierdzili gotowość wykonywania moich instrukcji i sprawiali wrażenie dotkniętych moim widocznym brakiem zaufania. A jednak mój niepokój był zupełnie usprawiedliwiony, gdyż żadne z nich nie wykazywało szczególnych zdolności do rozróżniania falochronów wschodnich czy zachodnich, fal morskich skierowanych na północ czy południe i biegnących w stronę łądu... Pełen obaw o powodzenie całej sprawy postanowiłem umieścić na łądzie reflektor, który miał im służyć za latarnię morską. Pozostawało mi tylko życzyć sobie, aby wuj Arthur nie zrobił tego samego, co kapitan francuskiego szlupu z XVIII wieku, który zmyłony przez ogień zapalone na skałach Kornwalii przez rabusiów wraków, biorąc ich za zbawców wskazujących port, rozbił się na rafach. Admirał sir Arthur był może zbyt inteligentny, aby zrobić coś takiego, ale morze nie było jednak jego domem.

Hangar na łódzie był prawie pusty. Znajdowała się w nim stara szalupa ze zmurszałego drewna, z pękniętym kadłubem i silnikiem sprawiającym wrażenie kupy zardzewiałego żelastwa. Nie tego szukałem. Ruszyłem więc w stronę domu. W jednym oknie paliło się światło. O wpół do drugiej w nocy. Było to w tej części domostwa, która stała tyłem do morza. Dotarłem tam i dyskretnie zajrzałem. Mały pokój, czysty, miły, dobrze utrzymany, ściany bielone wapnem, chodnik na podłodze, polana w kominku. Donald McEachern, ciągle źle ogolony, ciągle w tej samej koszuli, przyglądał się kominkowi siedząc w głębokim wiklinowym fotelu. Patrzył na przygasający ogień jak człowiek, który nie ma nic innego do roboty na świecie, jak właśnie tylko przyglądać się przygasającemu ogniovi. Obszedłem dom, nacisnąłem ostrożnie kłamkę i wszedłem.

Usłyszał mnie i odwrócił się. Nie zrobił tego szybko, ale tak, jak robi to ktoś, kto wie, że nikt już nie jest w stanie go skrzywdzić. Spojrzał na mnie, na pistolet, który trzymałem w dłoni, na wiszący na ścianie karabin i znów osunął się w fotelu.

- Kim pan jest, do diabła?

- Calvert. Byłem tutaj wczoraj. - Odsunąłem swój gumowy kaptur. Poznał mnie. - Ta broń nie będzie panu dziś potrzebna, McEachern. A zresztą nie odbezpieczył pan jej wczoraj.

- Ma pan dobre oko. Broń nie była nabita.

- I nikt za panem nie stał?

- Nie rozumiem, o czym pan mówi. Czego pan chce?

- Chcę wiedzieć, dlaczego pan mnie tak źle przyjął?

Włożyłem rewolwer do kieszeni.

- Kim pan jest?

Sprawiał wrażenie starszego niż wczoraj, człowieka zużytego, skończonego.

- Powiedziałem panu: Philip Calvert. Kazali panu straszyć gości, prawda? ... Dziś wieczorem

zadałem kilka pytań jednemu z pańskich przyjaciół, Archie McDonaldowi, sierżantowi policji w Torbay. Powiedział mi, że jest pan żonaty. Nie widzę pani McEachern.

W przekrwionych oczach ukazał się błysk, uniósł się, ale szybko opadł znów na fotel.

- Pewnego wieczoru, panie McEachern, wypłynął pan w morze łodzią i widział rzeczy, których nie należało widzieć. Schwytali pana, sprowadzili tutaj, porwali pańską żonę i powiedzieli, że jeśli piśnie pan słowo o tym, co się stało, nigdy już nie zobaczy pan żony żywej. Rozkazali pozostać panu w domu na wypadek, gdyby ktoś tu przybył i dziwiąc się nieobecności rodziny McEachernów, uderzył na alarm. Aby panu uniemożliwić podniesienie alarmu - gdyby pan na tyle stracił zmysły - uszkodzili pański motor. Zrobili to bardzo zręcznie, przykrywając go workami zmoczonymi morską wodą, gdyż w ten sposób jego zły stan świadczy o pańskiej niechlujności.

- Tak, ma pan rację, tak właśnie zrobili.

Wzrok miał ciągle utkwiony w ogniu, odpowiadał szeptem, tak jakby rozmyślał głośno, nie zdając sobie sprawy z tego, do kogo mówi.

- Uprawdzili mi ją i uszkodzili łódź. Wzięli z szafy oszczędności. Gdyby chociaż zostawili nas razem, Mairi i mnie. Jest o pięć lat starsza ode mnie.

- W jaki sposób żył pan od tego czasu?

- Co piętnaście dni dostarczają mi konserwy... Niedużo... Również mleko w puszkach. Mam zapas herbaty, od czasu do czasu złowię rybę... - Zmarszczył czoło, jakby nagle zrozumiał, że daje mu zupełnie nową szansę. - Kim pan jest? Nie jest pan członkiem bandy. Ani policjantem. Wiem, że nie jest pan z policji. Nie raz i nie dwa widziałem policjantów... Jest pan kimś innym.

Czułem, jak jego serce napęcza się znów otuchą. Widziałem to w jego oczach, w jego twarzy. Przyglądał mi się uważnie przez chwilę i wreszcie sam odpowiedział sobie na pytanie.

- Wiem, kim pan jest. Jest pan człowiekiem pracującym dla rządu. Naturalnie. Jest pan agentem tajnej służby.

A, do diabła! Powinienem uchylić kapelusza! Wyłaniałem się z nicości bez najmniejszej etykiety, byłem zapięty po szyję w swoim kombinezonie i oto ten człowiek zidentyfikował mnie bez cienia wahania. Jak tu mówić o niewzruszonych twarzach ludzi-depozytariuszy tajemnic państwowych! Przez chwilę rozbawiła mnie myśl o wszelkich okropnościach, jakimi zagrozi wuj Arthur temu biednemu człowiekowi, aby zagwarantować jego dyskrecję. Ale przecież Donald McEachern nie miał zbyt wiele do stracenia po sześćdziesięciu latach przebywania na Eilean Oran. Każde więzienie sprawiłoby na nim wrażenie luksusowego hotelu. Wobec tego, że wszelkie groźby wydały mi się zbędne, oświadczyłem mu - i to po raz pierwszy w moim życiu:

- Rzeczywiście. Jestem agentem tajnej służby i chcę panu przyprowadzić z powrotem pańską żonę, panie McEachern.

Pokiwał powoli głową.

- To będzie dobry uczynek, panie Calvert. Nie zna pan jednak drapieżników, z którymi będzie pan miał do czynienia.

- Jeżeli kiedykolwiek otrzymam medal, będzie to z pewnością pomyłka, panie McEachern. Ale jeśli chodzi o resztę, bardzo dobrze wiem, co mi grozi. Proszę mieć do mnie zaufanie. Wszystko pójdzie dobrze. Pan brał udział w wojnie?

- Czy powiedziano panu o tym?

- Nie. Ale to się wyczuwa.

- Dziękuję. - Jego plecy powoli wyprostowały się. - Mam dwadzieścia dwa lata służby za sobą. Sierżant z pięćdziesiątego pierwszego pułku highlanderów. - Sierżant! I w dodatku z pięćdziesiątego pierwszego! Znakomicie, panie McEachern. Wielu ludzi, i to nie tylko Szkotów, twierdzi, że nie było lepszego pułku na świecie.

- Donald McEachern nie będzie się panu sprzeciwiał... Z pewnością są gorsze pułki. - Cień uśmiechu pojawił się na jego twarzy. - Ale rozumiem, co chce mi pan powiedzieć, panie Calvert. Ludzie z pięćdziesiątego pierwszego pułku nie mają zwyczaju uciekać ani się poddawać... - Zerwał się nagle. - Mój Boże, co ja wygaduję! Idę z panem.

- Dziękuję - powiedziałem ciepło. - Pan już się dość nawojował. Proszę to mnie zostawić.

- Prawdopodobnie ma pan rację. Nie mógłbym z pewnością dotrzymać panu, kroku.

Usiadł. Podeszedłem do drzwi.

- Dobranoc, panie McEachern. Wkrótce ona tu będzie.

- Wkrótce będzie tutaj... - Podniósł na mnie wilgotne oczy, a jego głos wyrażał nadzieję taką samą jak jego twarz. - Wie pan - powiedział - ja w to wierzę.

- Proszę na to liczyć. Przyprawdzą ją tutaj sam i nic nie sprawi mi większej przyjemności. W piątek rano.

- W piątek rano? Tak szybko?

Patrzył w dal. Patrzył w punkt odległy o miliardy lat świetlnych, nie widząc mnie stojącego przed uchylonymi drzwiami. Uśmiech, prawdziwy uśmiech szczęścia rozświetlał jego zmęczone oczy.

- Nie zmrużę oka tej nocy, panie Calvert. Nie zrobię tego również następnej nocy.

- Wyrówna to pan sobie w piątek wieczorem!

Wielkie łzy spływały po jego szarych, nie ogolonych policzkach. Zamknąłem cicho drzwi,

pozostawiając go z marzeniami.

CZWARTEK: MIĘDZY DRUGĄ A CZWARTĄ TRZYDZIEŚCI

Zamieniłem Eilean Oran na Craigmorie i nadal się nie uśmiechałem, a duże fale rzucając mną o niewidzialne rafy pozbawiały mnie oddechu i pokrywały moje ciało sińcami. Nie mogłem być zadowolony, gdyż wuj i Charlotta tworzyli załogę, przy której bałem się o życie, a poza tym północny cypel Craigmorie był dużo bardziej wysunięty i okolony rafami, a więc niebezpieczniejszy od południowej części Eilean Oran. Na domiar złego mgła zaczęła gęstnieć. W głowie kotłowała mi myśl, czy zdołam dotrzymać obietnicy danej McEachernowi. Gdybym miał czas na rozmyślania, znalazłbym prawdopodobnie dobre dwa tuziny innych równie ważnych przyczyn, dla których się nie uśmiechałem. Nie miałem jednak czasu myśleć, gdyż noc mijała, a mnie czekało jeszcze wiele roboty przed świtem.

Fale okręzały rafę, która służyła za falochron w małym, naturalnym porcie Craigmorie i gwałtownie kołysały zakotwiczonymi w nim dwoma statkami rybackimi. Nie musiałem się więc martwić odgłosami chlapania podczas wdrapywania się na pokład. Niebezpieczeństwo stanowiła jedynie wielka oszklona latarnia, umocowana na hangarze, który służył do ćwiartowania rekinów. Każdy cierpiący na bezsenność w tej okolicy mógł mnie z łatwością zauważyć. Pocięczałem się jednak, że ta sama latarnia była dla wuja Arthura znakomitym punktem orientacyjnym dla utrzymania „Firecresta” na pełnym morzu.

Statek, na którego pokład się wdrapałem, sprawił na mnie wrażenie dużej motorowej łodzi. Miał około piętnastu metrów długości i sylwetkę, która dawała pewność, że nie obawia się huraganów. W ciągu dwóch minut spenetrowałem pokład. Dobry mały stateczek, czysty, wyposażony we wszystko, co trzeba. Autentyczna łódź rybacka. Czuję, że moje szanse rosną. Drugi stateczek był podobny w najmniejszych szczegółach do pierwszego. Jak bliźniak. Dopłynąłem do lądu, ukryłem mój akwalung powyżej poziomu przyboru i skierowałem się w stronę hangaru starając się, by cały czas zasłaniał mnie od światła. W hangarze znajdowały się stalowe baryłki i wanny, i cały arsenał okrutnej broni, z pewnością używanej do ćwiartowania: dźwigi na kołach, jakaś nie zidentyfikowana, ale z pewnością niegroźna maszyna, prócz tego szczątki kilku rekinów i najbardziej przeraźliwy zapach, jaki w życiu poczułem. Szybko wyszedłem.

Pierwszy dom zawiódł moje oczekiwania. Wpakowałem latarkę do wnętrza przez wybite okno. Zobaczyłem pokój opuszczony przed przeszło chyba pięćdziesięciu laty. Williams miał rację. Mieszkańcy opuścili osadę przed pierwszą wojną światową. Ciekawe, że tylko tapety sprawiały wrażenie świeżych - dziwne i niewytłumaczalne zjawisko na Zachodnich Wyspach. Babcia - w tamtych dniach dziadkowie woleliby podpisać pakt z diabłem, niż kiwnąć palcem w domu - nakleiła tanią tapetę, a po pięćdziesięciu latach papier był tak samo świeży jak w dniu założenia.

Drugi dom był również pusty. Łowcy rekinów mieszkali w trzecim, najbardziej oddalonym od hangaru. Doskonale rozumiałem powody, dla których pragnęli jak najdalej odsunąć się od swoich straszliwych narzędzi, i cuchnącego miejsca pracy. Gdyby to mnie dotyczyło, mieszkałbym w namiocie po drugiej stronie wyspy. Otworzyłem ostrożnie dobrze naoliwione drzwi, wszedłem i zapaliłem latarkę. Mieszkające tu kiedyś babcie z pewnością nie pochwałyby przedpokoju, w którym się znajdowałem, natomiast dziadkowie byliby niewątpliwie uradowani. Całą jego ścianę zajmowały regały przeznaczone na żywność. Było tam ze dwa tuziny skrzynek whisky i kilkadziesiąt

skrzynkę piwa. Williams mówił, że są to rybacy australijscy. W tej sytuacji uwierzyłem z łatwością. Trzy pozostałe ściany były pokryte rysunkami w technicolorze ze szczegółami zupełnie nie w stylu naszych babek...

Przecisnąłem się między meblami, których na pewno nie wykonał wybitny stolarz i otworzyłem drzwi wewnętrzne. Zobaczyłem mały korytarz. Dwoje drzwi po prawej stronie i troje po lewej. Szef chyba zarezerwował dla siebie największy pokój, a więc musiał spać za pierwszymi drzwiami na prawo. Wszedłem. Pokój zadziwił mnie komfortem. Piękne dywany, grube zasłony, para wygodnych foteli, wielkie łóżko, dębowa szafa, biblioteka. Nad łóżkiem wisiała lampa. Ci grubo ciosani Australijczycy wyraźnie lubili wygodę. Nacisnąłem wyłącznik znajdujący się obok drzwi i lampa zapłonęła. Na podwójnym łożu spał mężczyzna. Trudno jest określić wysokość leżącego człowieka. Wydawało mi się jednak, że ten nie mógłby się wyprostować pod sufitem - znajdującym się tutaj na wysokości stu dziewięćdziesięciu dwu centymetrów - nie rozbijając sobie przy tym głowy. Odwrócona w moją stronę twarz ukryta była częściowo pod włosami i pod najbujniejszą brodą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Człowiek spał jak zabity.

Podszedłem do łóżka i wpakowałem mu lufę rewolweru pod żebra z delikatnością dostosowaną do jego rozmiarów. Obudził się. Odsunąłem się na odpowiedni dystans. Przetarł oczy owłosionymi rękami, następnie oparł się pięściami o materac, aby się podnieść z pościeli. Przyznam, że spodziewałem się stroju ze skór zwierzęcych, tymczasem facet nosił elegancką, w dobrym tonie pidżamę. Sam wybrałbym ten kolor. Szanujący się obywatele w różny sposób reagują na obudzenie ich w środku nocy przez obcego człowieka, który w dodatku używa do tego celu lufy rewolweru. Są albo przerażeni, albo wściekli. Mój brodacz zachował się jednak zupełnie inaczej. Jego oczy, ukryte pod grubymi brwiami, rzuciły na mnie łakome spojrzenie tygrysa bengalskiego, przygotowującego się do dziesięciometrowego skoku zakończonych zasłużonym śniadankiem. Cofnąłem się jeszcze kilka kroków.

- Nie próbuj! - ostrzegłem.

- Schowaj ten rewolwer, mój mały. - Głos zdawał się wydobywać z głębi jaskini. - Schowaj, bo w przeciwnym razie będę musiał wstać i rąbnąć cię, żeby ci go odebrać.

- Proszę się nie denerwować - powiedziałem uspokajająco. - Jeżeli go schowam, nie uderzy mnie pan?

Zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział: - Nie. - Wyciągnął rękę w stronę nocnego stolika, wyjął z pudełka cygaro i zapalił je, nie spuszczając ze mnie wzroku. Kwaśny, ostry dym doszedł do mnie i musiałem zdobyć się na wielki wysiłek, żeby opanować chęć otworzenia okna, czego naturalnie nie wypadało robić w obcym domu. Nie dziwiłem się już, że może mieszkać w pobliżu hangaru. W porównaniu z jego cygarami cygara wuja Arthura miały zapach perfum Charlotty. - Proszę mi wybaczyć najście. Czy pan jest Tim Hutchinson?

- Tak. A ty, mój mały?

- Philip Calvert. Chciałem wykorzystać nadajnik jednego z pańskich statków, aby wysłać wiadomość do Londynu. Chciałem pana również prosić o pomoc. Będzie ona dla mnie niezwykle cenna. Bez pańskiej pomocy wielu ludzi oraz masa funtów może przepaść w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Wypuścił, niczym Wezuwiusz, chmurę trujących gazów, obserwował je przez chwilę, jak wznosiły się aż do popękanego sufitu, i wreszcie skierował wzrok na mnie.

- Kpisz sobie ze mnie, mój mały?

- Nie, ty owłosiona małpo. I niech pan wreszcie, Timusiu, przestanie z łaski swojej mówić do mnie „mój mały”!

Pochylił się do przodu, a w jego czarnych jak węgiel oczach ukazał się niepokojący błysk. W chwilę później roześmiał się zupełnie odprężony.

- Touché, jak mówiła moja francuska guwernantka. Jeżeli pan nie żartuje, Calvert, to co pan tu właściwie robi?

Ten jegomość, pomyślałem sobie, nie pójdzie na nic, jeżeli nie wyłożę mu całej prawdy. A jego pomoc była mi rzeczywiście niezbędna. I tak oto po raz drugi tej nocy i po raz drugi w życiu, przyznałem się, że jestem agentem tajnej służby. Na szczęście nie było tu wuja Arthura, który toczył walkę na morzu. Jego ciśnienie nie było tak dobre jak kiedyś. Tego rodzaju spowiedź, w dodatku dwukrotna i w tak krótkim odstępie czasu, mogłaby go pozbawić życia.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Służby tajne? ... Zgoda... Pod warunkiem, że nie uciekł pan ze szpitala dla wariatów. Na ogół ludzie z tych służb nie przyznają się do swego zawodu.

- Jestem zmuszony. A zresztą i tak by pan to odgadł po wysłuchaniu tego, co chcę powiedzieć.

- Ubieram się. Niech pan przejdzie do dużego pokoju. Znajdzie pan tam whisky, proszę się poczęstować. - Z ruchu brody wywnioskowałem, że się uśmiecha. - Załatwię to w ciągu dwóch minut.

Zostawiłem go samego, znalazłem whisky, poczęstowałem się i oprowadziłem siebie po galerii obrazów w Craigmore. Po chwili do pokoju wszedł Tim ubrany na czarno od stóp do głów. Prawdopodobnie gdy skończył dwanaście lat, miał już więcej niż metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu i rósł w dalszym ciągu. Uśmiechnął się do swojej kolekcji przedziwnych obrazów.

- Kto by tego oczekiwał? Zwłaszcza tu? Craigmore przyrównane zostało do galerii Guggenheima, kolebki kultury... Nie sądzi pan, że tę dziewczynę kolczyki okrywają aż nadto?

- Zwiedził pan wszystkie galerie obrazów świata, aby zebrać tę kolekcję? - spytałem nabożnie.

- Ach nie, nie jestem znawcą. Lubię tylko Renoira i Matisse'a... - Było to tak

nieprawdopodobne, że musiało być prawdziwe. - Pan się spieszy - stwierdził w końcu. - Proszę się wobec tego nie bawić w szczegóły.

Przedstawiłem mu jedynie sprawy zasadnicze. Trwało to jednak dość długo, gdyż w odróżnieniu od McDonalda i Charlotty, Hutchinson usłyszał nie tylko prawdę, lecz całą prawdę.

- Cóż za historia! - zawołał. - I w dodatku pod naszym nosem... A więc to pan był dziś po południu na pokładzie helikoptera? Stary druhu, miał pan przekłety dzień, nie mówiąc już o dalszym ciągu. - Chwilami trudno było stwierdzić, czy Hutchinson był Australijczykiem, czy Amerykaninem, później miałem okazję dowiedzieć się, że spędził wiele lat łowiąc tuńczyka u wybrzeży Florydy. - Proszę mi wybaczyć to moje „mój mały”. Nie było to zbyt miłe. Czego pan ode mnie żąda Calvert?

Powiedziałem mu: jego osobistej pomocy przez całą noc, gotowości statków i ich załóg w ciągu dwudziestu czterech godzin oraz korzystania z jego nadajnika przez pięć minut.

- Zgoda. Wzywam ludzi. Niech pan się zajmie radiostacją.

- Wolalbym raczej natychmiast udać się z panem na pokład „Firecresta”, zostawić tam pana i dopiero wtedy wrócić tu i nadać to, co mam do nadania.

- Wydaje się, że nie ma pan zbyt wielkiego zaufania do swojej załogi.

- Obawiam się, że w każdej chwili mogę zobaczyć kadłub mego statku demolujący pańskie drzwi.

- Mam lepszy pomysł. Wyciągnę za nogi dwóch moich ludzi i odpłyniemy na pokładzie „Charmaine”. To jest ta motorówka stojąca najbliżej hangaru, w którym są ćwiartowane rekiny. Ja skoczę na pokład pańskiego statku i będę pływał wokoło, a pan w tym czasie pobawi się radiem. Potem przesiądzie się pan na pokład „Firecresta”, a moi chłopcy przyprowadzą z powrotem „Charmaine”.

Zobaczyłem potężne fale morskie kłębiące się u wejścia do tak zwanego portu Craigmore.

- Czy uważa pan, że możliwe jest wyprowadzenie małego motorowego kutra podczas takiej nocy?

- Co pan ma do zarzucenia tej nocy? To śliczna noc. Nie może pan żądać niczego lepszego. Widziałem już moich ludzi, jak wychodzili stąd o szóstej wieczorem w czasie grudniowej burzy... Ale to była inna sprawa.

- Wypadek?

- Tak. I to poważny. Skończyły nam się zapasy. Moi ludzie musieli zjawić się w Torbay przed godziną zamknięcia sklepów z alkoholem. Proszę prosto, Calvert.

Nic nie odpowiedziałem, ale myśl, że ten człowiek będzie stał u mego boku przez cały dzień, przywróciła mi optymizm.

- Dwaj moi ludzie są żonaci - powiedział z wahaniem w głosie zatrzymując się. - Zastanawiałem się...

- Niczym nie ryzykują, a nagroda jest pokaźna.

- Niech pan nie psuje zabawy. Za taką sprawę, jak ta, nie przyjmuje się pieniędzy.

- Wcale nie chciałem pana kupić, panie Hutchinson. Mam dosyć ofiar w tej sprawie, nie chcę, żeby pan do nich dołączył. Ale towarzystwa ubezpieczeniowe wyznaczyły nagrodę i jestem upoważniony do zaofiarowania panu połowy.

- Ach tak! To już inna sprawa. Jeżeli chodzi o oddanie przysługi towarzystwom asekuracyjnym polegającej na odebraniu im części zysków, to rozumiem, zgoda. Ale protestuję przeciwko połowie, Calvert. Za jeden dzień pracy, a szczególnie po tym, co pan sam już zrobił, nie zgadzam się. Czwierć dla nas, a trzy ćwierci dla pańskich kolegów i dla pana.

- Wasza część to połowa. Druga połowa zostanie wykorzystana na odszkodowania dla ofiar tej całej awantury. Na przykład dla starszego małżeństwa z Eilean Oran, które stanie się bardziej bogate, niż mogłoby kiedykolwiek o tym śnić.

- A pan? Nic?

- Nie, dostanę pensję. Wolałbym jednak mówić o innych sprawach, bo to temat smutny. Funkcjonariusze nie mają prawa przyjmować gratyfikacji.

- Chce pan powiedzieć, że pozwala pan siebie bić, strzelać do siebie z karabinu maszynowego, topić i mordować na dziesięć różnych sposobów wyłącznie za nędzną pensję? Co panem kieruje? Dlaczego pan to, u diabła robi, Calvert?

- To nie jest zbyt oryginalne pytanie. Sam je sobie zadaję co najmniej dwadzieścia razy dziennie... a obecnie dużo częściej. Ale to nieważne, spieszmy się.

- Obudzę moich ludzi. Czuję, że pocieknie im ślina z ust na myśl o złotych zegarkach z wygrawerowanymi inicjałami, które im zaofiaruje towarzystwo ubezpieczeniowe. Koniecznie z wygrawerowanym napisem. Przy tym będziemy się upierać.

- Nagroda nie w naturze, lecz w gotówce uzależniona jest od wielkości łupu, który odzyskamy. Ładunek „Nantesville” zostanie odnaleziony w całości, to prawie pewne. Co do innych statków... Nagroda wynosi dziesięć procent. Pan otrzyma pięć. W najgorszym przypadku wyniesie to czterysta tysięcy funtów szterlingów do podziału z pańskimi łowcami rekinów. Maksymalna suma może osiągnąć nawet osiemset pięćdziesiąt tysięcy.

- Czy może pan to powtórzyć?

Sprawiał wrażenie człowieka, któremu na głowę spadła iglica londyńskiego Urzędu Patentowego. Powtórzyłem liczbę.

- Za taką sumę może pan spodziewać się diabelnie poważnej współpracy. Proszę nic więcej nie mówić. I nie zamieszczać w tej sprawie ogłoszeń w prasie. Jestem do pańskiej dyspozycji.

Tim Hutchinson został więc moim człowiekiem. Był mi bardzo potrzebny. Nawet pięćset tysięcy funtów nie byłoby za dużo za pomoc, którą ofiarował mi tej nocy podczas deszczu lejącego strumieniami, jakby oberwała się chmura, podczas mgły gęstniejącej tak, że nie mogłem rozróżnić kłębiących się i wpadających na siebie fal od tych, które rozбивały się na rafach. Hutchinson był przedstawicielem rzadkiej rasy, dla której morze stanowiło naturalne wręcz środowisko. Teoretycznie każdy może stać się taki sam jak on. Należy tylko urodzić się z tym nadzwyczajnym darem i pielęgnować go codziennie we wszystkich możliwych okolicznościach przez co najmniej dwadzieścia lat. Jest to taka sama historia jak z wielkimi asami sportu samochodowego, takimi jak Nuvolari czy Clark, którzy prowadzą wozy w sposób pozostający tajemnicą dla najbardziej nawet doświadczonych amatorów wyścigów. Hutchinson kierował kutrem w sposób, o jakim nie mógłby nawet marzyć żaden sternik wielkich regat oceanicznych. Marynarze tej klasy nie noszą nigdy oznak klubowych czy olimpijskich. Można ich znaleźć jedynie, i to niezmiernie rzadko, wśród łowców trudzących się na pełnym morzu. Jego potężne ręce operowały kołem sterowym i dławikiem z delikatnością ćmy. Widział w nocy jak puchacz, po szumie fal rozpoznawał, czy łamie się na wodzie, na rafie, czy na plaży. W sposób nieprawdopodobny odgadywał siłę i kierunek fal, które wyłaniały się z ciemności i mgły. W głowie miał maszynę obliczeniową, która rejestrowała natychmiast kierunki i szybkość wiatru, prądu i statku i podawała mu pozycję. Mógłbym przysiąc, że węchem wyczuwał ład, nawet wtedy, kiedy leżał on pod wiatr, podczas gdy my wszyscy staliśmy sparaliżowani w kłębach trującego dymu pochodzącego z potwornych cygar, które zdawały się być częścią jego samego. Dziesięć minut przebywania u jego boku wystarczyło do dokonania przerażającego odkrycia, że jeśli chodzi o morze i statki, człowiek w porównaniu z nim niczego nie wie i nie zna się na niczym.

Wyprowadził „Charmaine” z pełną szybkością między Scyllą a Charybdą wąskiego przejścia domniemanego portu. Rify szczyrzyły swoje ostre szpiculce z kłębiącej się piany w kilkumetrowej odległości od obu burt. Wydawało się, że nie zwraca na nie uwagi. W każdym razie na nie nie patrzył. Jego dwaj pomocnicy, cherlaczki po sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, ostentacyjnie ziewali. Hutchinson odnalazł „Firecresta” na sto metrów przedtem, zanim zacząłem wyobrażać sobie, że dostrzegam jakąś niewyraźną sylwetkę, i przybił do niego bez większego trudu.

Wygląda na to, że ja, nawet będąc w dobrej formie, mam więcej kłopotu z zaparkowaniem w biały dzień samochodu na ulicy. Wskoczyliśmy na pokład mego statku, napędzając strachu wujowi i Charlotte, którzy naturalnie nie widzieli i nie słyszeli naszego przybycia. Przedstawiłem im Hutchinsona, wyjaśniłem sytuację i wróciłem na pokład „Charmaine”. Po kwadransie, podczas którego przekazywałem wiadomości do Londynu, znów znalazłem się na „Firecreście”.

Wuj Arthur i Tim Hutchinson rozumieli się już jak dwaj złodzieje. Brodaty olbrzym australijski ze staroangielską kurtuazją tytułował wuja admirałem dosłownie co drugie zdanie. Wuj spijał z jego ust komplementy niby miód. Nie ulega wątpliwości, że od czasu do czasu potrzebna jest taka zmiana, w dodatku jeśli ma się takiego człowieka jak ja na pokładzie. W każdym razie czułem, że jest to forma podania w wątpliwość moich umiejętności żeglarskich i z pewnością miałem rację.

- Dokąd teraz płyniemy? - spytała Charlotta, zupełnie uspokojona, tak samo, jak wuj Arthur.

- Dubh Sgeir. Złożymy wizytę lordowi Kirkside i jego miłej córeczce.

- Dubh Sgeir - powtórzyła. - Myślałam, że klucz do zagadki znajduje się na Eilean Oran i Craigmor?

- W pewnym sensie. Klucz do małych, powiedziałbym wstępnych tajemnic. Ale nasza droga musi prowadzić do Dubh Sgeir, u stóp tęczy.

- Mówi pan zagadkami - powiedziała niecierpliwie.

- Rozumiem go doskonale - odpowiedział jowialnym tonem Hutchinson. - U stóp tęczy albo u jej podstawy, szanowna pani, czyli w miejscu, gdzie znajduje się żółty kolor złota, żółty skarb...

- Mam ochotę na kawę - oświadczyłem. - Pójdę przygotować cztery filiżanki.

- Ja natomiast pójdę się położyć - powiedziała Charlotta. - Jestem zmęczona.

- Piłem kawę zrobioną przez panią - zaprotestowałem grożąc jej palcem - teraz musi pani wypić moją.

- Dobrze. Ale proszę to zrobić szybko.

Zrobiłem nawet bardzo szybko i po chwili wróciłem, niosąc cztery filiżanki, do których nalałem wrzącej wody, nasypałem neski i cukru... i troszkę czegoś jeszcze do jednej z nich. Tim Hutchinson wypił kawę jednym łykiem.

- Nie widzę powodu, dla którego cała wasza trójka nie miałaby się położyć na krótki czas - powiedział. - Naturalnie, jeśli nie wydaje się wam, że musicie mi asystować.

Nikt tak nie myślał. Pierwsza udała się na spoczynek Charlotta, oznajmiając, że jest bardzo senna, w co uwierzyłem z łatwością. Po kilku chwilach wuj i ja poszliśmy za jej przykładem. Tim obiecał, że obudzi mnie, gdy zbliżymy się do zachodniej przystani Dubh Sgeir. Wuj owinał się kocem i zasnął na kozetce w kabinie radiotelegrafisty. Ja położyłem się w swojej kajucie.

W trzy minuty później wstałem, wziąłem trójganiasty pilnik, wyszedłem bez szmeru z kajuty i lekko zapukałem do drzwi Charlotty. Nie otrzymawszy odpowiedzi wszedłem do środka, zamknąłem drzwi za sobą i zapaliłem światło. Spała jak zabita. Nie udało się jej nawet dojść do tapczanu; leżała na dywanie kompletnie ubrana. Położyłem ją na materacach, okryłem dwoma kocami, a następnie uniosłem jeden z rękawów i zbadałem dokładnie ślady pozostawione przez sznur. Kajuta nie była zbyt wielka i wystarczyła mi minuta, żebym znalazł to, po co tutaj przyszedłem.

Zejscie z pokładu „Firecresta” na ląd bez akwalungu, który utrudniał każdy ruch, było naprawdę wielką przyjemnością. W dodatku Tim Hutchinson rzeczywiście wysadził mnie na molo. W jaki sposób umiał je odnaleźć w ciemności, w ulewnym deszczu i w gęstej mgle? Nigdy bym się nie dowiedział, gdyby mi tego później nie wytłumaczył. Wysłał mnie na dziób z latarką w dłoni i nagle wyłoniła się przede mną z ciemności betonowa ściana, tak jakby „Firecrest” został skierowany na molo za pomocą namiaru radiowego. Tim dał wstecz i ustawił dziób, ciężko opadający w

głębokie doliny fali, mniej niż metr od mola. Statek kołysał się na falach. Tim poczekał, aż znajdzie odpowiedni moment do skoku, potem dał całą wstecz i rozplątał się we mgle. Próbowałem wyobrazić sobie wuja Arthura dokonującego tego rodzaju manewru, ale, niestety, nie udało mi się. Moja wyobraźnia nie sięga tak daleko. Wuj spał snem sprawiedliwego, marząc prawdopodobnie o swoim apartamencie w Londynie.

Aby wspiąć się z betonowej przystani na szczyt skał, wykorzystałem stromy wąwóz, w którym kamienie obsuwały się spod nóg i gdzie nikt przedtem nie odważył się postawić stopy. Nie byłem specjalnie obciążony. Prócz wagi moich lat niosłem tylko latarkę, rewolwer i kłębek sznura. Nie dlatego, że miałem zamiar odegrać rolę Douglasa Fairbanksa na gzymsach zamku, ale dlatego, że doświadczenie nauczyło mnie, iż sznur jest koniecznym narzędziem podczas nocnych przechadzek po skalistych wyspach. Mimo małej wagi przyrządów ciężko oddychałem po wejściu na wierzchołek.

Pozostawiwszy zamek po prawej stronie skierowałem się na północ, idąc wzdłuż trawiastej alei, z której starszy syn lorda Kirkside wystartował w dniu swojej śmierci na samolocie w towarzystwie przyszłego szwagra. Dwanaście godzin temu przelatywałem nad tą aleją z Williamsem. Kończyła się ona urwiskiem i wydawało mi się, że nad jego brzegiem widziałem to, co chciałem zobaczyć. Teraz chciałem się upewnić.

Trawiasta wstęga była jednolita i płaska. Posuwałem się po niej szybko, nie używając silnej latarki, której zresztą nie odważyłbym się zapalić tak blisko zamku. Zamek wyglądał na uspioń - ciemny, bez żadnego światła - ale nic nie gwarantowało mi, że nie oczekują tam na mnie piraci czuwający na galeriach. Przynajmniej ja zrobiłbym to na ich miejscu.

Nagle potknąłem się o coś ciepłego, delikatnego, żyjącego i upadłem gwałtownie na ziemię. Minione godziny napięły moje nerwy jak postronki. Zareagowałem z szybkością błyskawicy. Wyciągnąłem nóż, nie pozwalając nieznajomemu stanąć na nogach... a raczej na łapach, gdyż miał ich cztery. Jego potworny zapach sprawił, że wziąłem go za uciekiniera z hangaru Hutchinsona. Dlaczego karmiony roślinami na kwiecistych łąkach kozioł roznosi tak straszliwy odór? Naturalnie, przeprosiłem mego czworonożnego przyjaciela, który nie zdecydował się użyć swoich rogów. Pomyślałem, że taki na przykład Errol Flynn nigdy nie miewa tego rodzaju spotkań, a nawet kiedy się przewraca, świece w świeczniku, który trzyma w ręku, nie gasną, podczas gdy moja lampa elektryczna w gumowej obudowie, z żarówką zamontowaną w gumie, z gwarantowanym, nie tłukącym się szkłem, rozwalila się.

Wyciągnąłem z kieszeni minilatarkę, coś w rodzaju świecącego ołówka i wypróbowałem ją pod marynarką. Była to jednak zupełnie niepotrzebna ostrożność. Jej promień był niewidoczny. Robak świętojański by się uśmieł. Wsadziłem ją do kieszeni i podążyłem dalej.

Gdy wydawało mi się, że jestem już blisko przepaści, zacząłem posuwać się na czworakach, świecąc sobie, jeśli można to nazwać świeceniem, moim ołówkiem. Po upływie pięciu minut dotarłem do krawędzi skały i znalazłem natychmiast to, czego szukałem. Ziemia była rozorana na szerokość pięćdziesięciu i na głębokość dziesięciu centymetrów. Była to świeża rana, no, może niezbyt świeża, gdyż tu i ówdzie pojawiły się już źdźbła młodej trawy. Świeżość tej bruzdy potwierdzała moje przypuszczenia. Sądzę, że wtedy właśnie biegł pas startowy samolotu skierowanego na morze na pełnych obrotach silnika, ale bez ludzi na pokładzie. Nie udało mu się wystartować i

spadł do wody, ryjąc na końcu ziemię swoim ogonem. Posiadałem już dostateczną liczbę elementów do zamiany moich hipotez na pewniki: rozorana trawa w Dubh Sgeir, uszkodzony kadłub statku biologów z Oxfordu i podkrążone oczy Susan Kirkside.

Lekki szmer kazał mi odwrócić głowę. Pięcioletnie dziecko, nawet słabo rozwinięte fizycznie, mogłoby mnie zepchnąć w przepaść, nim zdążyłbym mu w tym przeszkodzić. Wyciągnąłem szybko przed siebie minilatarkę i rewolwer, ale był to tylko mój przyjaciel kozioł. Widząc błyski w jego żółtych oczach zacząłem się obawiać, czy nie przyszedł po to, aby zemścić się za przerwany sen. Na szczęście nie. Przywiodła go tu ciekawość, a może nawet nagła przyjaźń. Odsunąłem się od przepaści, ostrożnie minąłem jego rogi, pogłaskałem go delikatnie i poszedłem dalej. Jeszcze kilka takich przygód, a umarłbym z pewnością na atak serca przed nastaniem świtu.

Deszcz uspokoił się nieco, tak samo jak i wiatr, natomiast mgła stała się jeszcze gęściejsza. Kłębiła się wokół mnie, przylepiała do odzieży i prawie uniemożliwiała poruszanie. Widoczność zmniejszyła się do czterech metrów. Przez chwilę niepokoiła mnie myśl o Hutchinsonie, zagubionym w tej białej wacie, wzruszyłem jednak ramionami. Byłem pewien, że dużo łatwiej będzie mu wydostać się z tej sytuacji niż mnie z mojej. Szedłem, starając się mieć wiatr na prawym policzku, w ten sposób bowiem posuwałem się w kierunku zamku. Czulem, jak moje ubranie pod płaszczem z nieprzemakalnego materiału coraz bardziej nasiąka wodą. Trudno. Administracja będzie musiała zatwierdzić niezły rachunek z pralni.

O mało nie wpadłem na mur okalający zamek, ale na szczęście zatrzymałem się. Czy byłem po prawej, czy po lewej stronie bramy wejściowej? Nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie. Szedłem w lewo, wzdłuż ogrodzenia, z zachowaniem wszelkiej ostrożności, starając się wymacać w ciemności furtkę. Wkrótce natrafiłem na załom muru. Było to wschodnie skrzydło. Znajdowałem się więc na lewo od głównego wejścia. Ruszyłem w kierunku odwrotnym.

Miałem szczęście, że nadchodziłem z tej właśnie strony, pod wiatr, gdyż w innym przypadku nie poczułbym zapachu tytoniu. Był to tytoń dość mizerny w porównaniu z mocnymi cygarami wuja Arthura i wręcz anemiczny w stosunku do przenośnych fabryk trującego gazu, jakich używał Tim Hutchinson, w każdym razie był to zapach tytoniu. Jakiś człowiek palił koło wrót. Wartownik nigdy nie powinien palić. Ten miał się dopiero o tym przekonać. Nikt mnie nie uczył poskramiania kozłów nad brzegiem przepaści, natomiast wbijano mi do głowy sposoby likwidowania wartowników.

Ująłem broń za lufę. Człowiek opierał się o róg bramy. Ogieniek papierosa pozwalał dość dokładnie umiejscowić położenie jego twarzy. Czekałem. Kiedy zaciągnął się po raz trzeci, gdy koniec papierosa rozżarzył się dostatecznie i maksymalnie utrudniał mu widzenie w ciemnościach, zrobiłem krok naprzód i zadałem silny cios kolbą w to miejsce, gdzie powinna znajdować się jego głowa, naturalnie jeżeli był normalnie zbudowany. Na szczęście mój człowiek nie odbiegał od normy.

Upadł na mnie, podtrzymałem go i wtedy coś boleśnie uderzyło mnie w bok. Pozwoliłem mu kontynuować samotnie podróż na ziemię i zająłem się narzędziem wepchniętym w mój płaszcz. Był to bagnet o ostrym zakończeniu, przymocowany do lee enfielda, karabinu o kalibrze 7,69. Zdziwiło mnie to, bo skąd tu wojskowy karabin? Nasi przyjaciele musieli być bardzo zaniepokojeni, ale w jaki sposób sprawdzić, co wiedzieli albo w co wierzyli, że wiedzą? Jeśli mieli przed sobą mało czasu, to

ja z pewnością nie miałem go więcej. Zbliżał się dzień.

Wziąłem karabin i skierowałem się w stronę przepaści, macając bagnetem teren przed sobą. W ten sposób asekurowałem się przed niespodziewanym dotarciem do miejsca, za którym jest już tylko wieczność. Miałem w końcu dość znaczną wprawę w niewpadaniu w przepaść. Znalazłem to miejsce, cofnąłem się i wyryłem kolbą dwie pięćdziesięciocentymetrowe bruzdy odległe od siebie o trzydzieści centymetrów, biegnące prawie do krawędzi przepaści. O świcie nowy wartownik zacznie szukać swojego poprzednika, zobaczy moje ślady i wywnioskuje, że tamten runął w dół.

Rozbrojony przeze mnie człowiek cicho jęczał. Doskonale. Gdyby był nieprzytomny, musiałbym go nieść, a tak zaoszczędził mi tego trudu. Wpakowałem mu chustkę do ust w charakterze knebla. Zrobiłem to niezbyt delikatnie i zupełnie niehumanitarnie, gdyż jeśli miał katar, to ryzykował śmierć przez uduszenie w ciągu najbliższych czterech minut. Nie miałem jednak czasu na badanie jego zatok i wolałem myśleć o swoim życiu niż o jego.

Nie próbował uciekać ani stawiać oporu, zwłaszcza że wcześniej spętałem mu luźno nogi, związałem ręce na plecach i wpakowałem w bok lufę rewolweru. Ruszył przede mną bez oporu. Kiedy znaleźliśmy się u stóp wąwozu prowadzącego do przystani, kazałem mu się położyć. Przywiązałem jego dłonie do kostek nóg i zostawiłem go tam. Oddychał dość swobodnie.

Powróciłem do bramy, przy której nie było innego strażnika. Przekroczyłem ją, minąłem wielkie podwórze i doszedłem do głównych drzwi. Były zamknięte tylko na klamkę. Otworzyłem je, żałując, że nie pożyczyłem od mojego więźnia latarki, którą zapewne miał. W hallu panowała absolutna ciemność. Obawiałem się, że przewrócę jakąś średniowieczną zbroję lub też wybiję sobie oko o kolec w tarczy, o miecz czy o parę jelenich rogów. Wyciągnąłem z kieszeni minilatarkę, która niestety wyzionęła już ducha. Bateria wyczerpała się, nie mógłbym nawet dojrzeć trzymanej przy samych oczach tarczy zegarka.

Poprzedniego dnia z powietrza zobaczyłem, że zamek był symetrycznie zbudowany wokół trzech boków kwadratu. Należało przypuszczać, że jeśli główne drzwi były w środkowej części, z widokiem na morze, to główne schody będą akurat naprzeciw. Wydawało mi się również, że mogę sobie pozwolić na poruszanie się bez wpadnięcia na miecze lub rogi. Moje przypuszczenia sprawdziły się... Wszedłem, po dziesięciu stopniach poczułem, że schody dzielą się na dwie odnogi. Ruszyłem w prawo. Sześć stopni, nowy zakręt, osiem stopni, korytarz. Na końcu majaczyło słabe światełko. Przebyłem dwadzieścia cztery stopnie bezszelestnie. Błogosławiłem architekta, który zalecił do budowy marmur. Szedłem w kierunku źródła światła. Sączyło się przez uchylone drzwi. Zaryzykowałem rzucenie okiem do wnętrza. Zobaczyłem brzeg szafy, kawałek dywanu, róg łóżka, z którego zwieszała się noga w bucie. W komnacie rozlegało się potężne chrapanie. Pchnąłem drzwi i wszedłem.

Przyszedłem, żeby zobaczyć się z lordem Kirkside, ale prawdopodobnie źle zrobiłem, gdyż lord Kirkside z pewnością nie kładłby się do łóżka w butach, spodniach, szelkach, czapce i z karabinem, do którego umocowany był bagnet. Nie widziałem twarzy śpiącego, gdyż daszek czapki spadał mu na nos. Duża latarka i w połowie opróżniona butelka whisky zdobiła nocny stolik. Nie było na nim szklanki. A zresztą szklanka była niepotrzebna. Sądząc po wyglądzie, miałem do czynienia z jedną z tych osób, które potrafią korzystać ze zwykłych radości, nie pozwalając się

omamić konwenansami nowoczesnej cywilizacji. Przede mną znajdował się wierny strażnik, który o świcie miał objąć wartę. Nikt jednak nie obudzi go o świcie... będzie spał aż do południa. Kiedy otworzy oczy, poczuje pragnienie... Wrzuciłem więc do butelki whisky kilka pastylek, otrzymanych od aptekarza w Torbay, i wyniosłem się, zabierając ze sobą latarkę.

Następne drzwi na lewo prowadziły do łazienki. Brudna umywalka, nad którą wisiało nie mniej brudne lustro, dwa lepiące się pędzle, słoiki z kremem do golenia, dwie nie umyte brzytwy, a na podłodze dwa ręczniki, które być może kilka wieków temu były białe. Wnętrze wanny także pozostawiało wiele do życzenia. A więc to tutaj wierni strażnicy dokonywali elementarnych ablucji... Kolejny pokój sypialny był tak samo brudny i niechlujny, jak pierwszy. Prawdopodobnie mieszkał tu amator papierosów, którego pozostawiłem na świeżym powietrzu wśród skał.

Przeszedłem na drugą stronę korytarza w lewej części budynku centralnego; tam powinien przebywać lord Kirkside. Istotnie. Pierwszy pokój należał właśnie do niego, utwierdziła mnie w tym zawartość szafy. Łóżko nie było posłane. W myśl prawa symetrii następne pomieszczenie powinno być łazienką. Nasz wierny strażnik nie czułby się tam dobrze. Kliniczna wręcz czystość miejsca zdradzała arystokratyczne pochodzenie jej użytkownika. Na ścianie wisiała mała szafka apteczna. Znalazłem w niej leukoplast, za pomocą którego zakleiłem większą część szkła swojej latarki, resztę plastra schowałem do kieszeni i wyszedłem. Następne drzwi były zamknięte na klucz. Ale w epoce, kiedy budowano zamek Dubh Sgeir, zamki yale jeszcze nie istniały. Wyciągnąłem z kieszeni najlepszy wytrych na świecie - pasek twardego celuloиду. Wprowadziłem go między drzwi a futrynę na wysokości zasuw. Pociągnąłem kłamkę w stronę zawiasów, wsunąłem dalej celuloid, następnie opuściłem kłamkę, powtórzyłem operację i znieruchomiałem. Nikt się jednak nie poruszył.

Uchyliłem drzwi i znów się zatrzymałem. Światło było zapalone. Zamieniłem latarkę na rewolwer, klęknąłem i gwałtownie pchnąłem drzwi. Ale nic się nie wydarzyło. Zerwałem się na nogi, zamknąłem drzwi i podbiegłem do łóżka. Susan Kirkside wprawdzie nie chrapała, ale spała tak samo głęboko, jak strażnik. Włosy miała przewiązane chustką z niebieskiego jedwabiu. Spojrzałem na jej twarz. Dwadzieścia jeden lat, powiedział jej ojciec, ale śpiącej, z podkrążonymi oczyma, dałbym najwyżej siedemnaście. Żurnal wypadł z jej rąk. Na nocnym stoliku szklanka wody sąsiadowała z proszkami na sen. Na zamku Dubh Sgeir trudno było zasnąć Susan Kirkside. Zauważyłem umywalkę w rogu pokoju. Umyłem twarz, uczesałem się, doprowadziłem do porządku i poruszyłem śpiącą. Straciłem parę minut, zanim osiągnęła stan świadomości. Prawdopodobnie powolność całego procesu uchroniła mnie od przeraźliwych krzyków, jakie wywołuje nieoczekiwana obecność w środku nocy nieznanego człowieka. Posłałem jej mój najbardziej uwodzicielski, odświętny uśmiech, ale czułem, że na próżno.

- Kim pan jest? - usłyszałem przerażony głos, zobaczyłem zaspane, rozszerzone strachem oczy.
- Proszę mnie nie dotykać... proszę mnie nie dotykać, bo zacznę krzyczeć...

Wziąłem ją za prawą rękę, aby pokazać jej, że istnieje wiele sposobów dotykania kogoś.

- Nie dotknę pani. Pani krzyki nie sprowadzą zresztą wielu osób. Proszę się nie bać. Proszę być na tyle rozsądną, aby mówić ze mną szeptem. Nie jesteśmy zainteresowani tym, aby wzbudzić czyjąś uwagę. Co pani o tym myśli?

Przyglądała mi się. Jej wargi poruszały się tak, jakby chciała coś powiedzieć. Strach zniknął powoli z jej oczu. Nagle usiadła na swoim posłaniu.

- Pan jest Johnsonem z helikoptera.

Ten ruch odkrył prześliczne ramiona.

- Ależ! - powiedziałam. - Proszę uważać. Nie znajdujemy się w Folies Bergeres!

Naciągnęła kołdrę aż pod brodę.

- W rzeczywistości nazywam się Philip Calvert. Pracuję dla rządu. Przychodzę jako przyjaciel. Potrzebuje pani przyjaciela, Susan, czy nie? Pani i pani ojciec? Chciałem powiedzieć: lord Kirkside.

- Czego pan chce? - wyszeptała. - Co pan tu robi?

- Przybyłem, aby położyć kres waszym troskom. Przybyłem, aby otrzymać zaproszenie na pani ślub z wielce szanownym panem Johnem Rollinsonem. Proszę zafiksować datę na koniec przyszłego miesiąca. W tym czasie będę miał kilka dni wolnych.

- Proszę wyjść!... Proszę wyjść! Może pan wszystko zaprzepaścić. Proszę pana, niech pan odejdzie. Jeżeli jest pan przyjacielem, niech pan opuści zamek. Błagam, niech pan odejdzie!

Zachowywała się tak, jakby rzeczywiście pragnęła, żebym odszedł.

- Jeżeli się nie mylę, ci ludzie zbyt mocno wbili pani coś do głowy. Pani wierzy ich obietnicom, Susan? Co za błąd! Nigdy nie pozwolą pani wydostać się ze swoich szponów. Nie zechcą was pozostawić w spokoju, gdyż nie mogą pozostawić za sobą kogokolwiek, kto mógłby ich zdradzić, włączając w to ludzi, z którymi mieli jakieś sprawy.

- Ależ tak! Byłam razem z ojcem, kiedy pan Lavorski obiecał mu, że nikomu nie stanie się nic złego. Pan Lavorski podkreślił: jesteśmy ludźmi interesu, a morderstwa nie mają nic wspólnego z interesami. On tak właśnie myślał. Widziałam to po nim.

- Lavorski? A więc to był Lavorski!... Być może, że wtedy tak właśnie myślał, ale w ciągu ostatnich trzech dni jego przyjaciele i on sam zabili cztery osoby, nie mówiąc już o tym, że mnie próbowali zamordować cztery razy.

- Pan kłamie. Wszystko to pan zmyśla. Takie rzeczy... już się nic zdarzają. Na litość, niech pan nas pozostawi w spokoju!

- Piękne słowa z ust córki szefa klanu starej Szkocji. Rozumiem. Niczego nie można z pani wyciągnąć. Gdzie jest pani ojciec?

Zarumieniła się po tej uwadze i wyrwała dłoń z mojej dłoni.

- Nie wiem. Pan Lavorski przyszedł po niego wczoraj o wpół do dwunastej w nocy, w

towarzystwie kapitana Imrie. Wyszedł, nie mówiąc mi, dokąd idzie. Nigdy się ze mną nie dzieli... Dlaczego powiedział pan, że nic nie można ze mnie wyciągnąć?

- Czy powiedział, kiedy wróci?

- Dlaczego powiedział pan, że nic nie można ze mnie wyciągnąć?

- Dlatego, że jest pani młoda, niezbyt zręczna, dlatego, że ma pani niewiele doświadczenia życiowego i że jest pani gotowa wierzyć w to wszystko, co morderca chce wpakować do pani małej główki. A przede wszystkim dlatego, że nie chce mi pani zaufać. Nie chce pani oprzeć się na jedynym człowieku, który może pani pomóc. Jest pani małym lekkomyślnym uparciuchem, panno Kirkside. Posunę się aż do tego, że powiem, iż szlachetnie urodzony pan Rollinson miał szczęście nie żeniąc się z panią!

- Co to znaczy?

Dziewczyny z wielkim trudem potrafią opanowywać wyrazy twarzy, ale twarz Susan nie zmieniła się.

- Nie ożeni się z panią, kiedy będzie nieboszczykiem - odpowiedziałem brutalnie. - A on umrze. Umrze dlatego, że Susan Kirkside pozwoli na to. Jest do tego stopnia ślepa, że nie umie odróżnić prawdy od kłamstwa.

Coś mnie nagle natchnęło, rozpiąłem kołnierzyk i wyciągnąłem szalik. Zbladła. Wiszące na ścianie lustro odbiło moją postać. - Jak to się pani podoba? - spytałem.

- Quinn - wyszeptwała.

Widziałem siebie w lustrze jej toaletki i mnie też to się nie podobało. Rękodzieło Quinna było w pełnym rozkwicie. Kalejdoskop barw całkowicie otaczał moją szyję.

- No, no! Zna pani jego nazwisko. Jego zna pani również?

- Znam ich wszystkich, prawie wszystkich. Kucharz opowiadał mi, jak w czasie jednej z wieczornych pijatyk w kuchni Quinn chwalił się, że grał kiedyś rolę dusiciela w teatrze, i że pewnego dnia, kiedy pokłócił się ze swoim partnerem o kobietę, zadusił go naprawdę. - Z wysiłkiem odwróciła przerażone oczy od mojej szyi. - Wzięłam to za przechwałkę - dokończyła.

- A Lavorskiego, Imrie i innych - za misjonarzy? ... Czy znała pani Jacquesa i Kramera?

- Tak.

- Zabiłem ich dziś wieczorem. Obydwóch. Skręcili kark jednemu z moich przyjaciół i próbowali zamordować mego szefa i mnie. Zabiłem jeszcze jednego, który również chciał nas zlikwidować. Prawdopodobnie nazywał się Henry... Czy rozumie pani teraz całą sytuację? Czy ciągle myśli pani, że tańczymy wkoło na zielonej łące śpiewając „kółko graniaste”?

Ta kuracja wstrząsowa podziałała aż za dobrze... Jej twarz stała się trupio biała.

- Wydaje mi się, że zwymiotuję - szepnęła.

- To nie jest odpowiednia chwila - odpowiedziałem zimno.

Czułem się bardzo podle. Pragnąłem wziąć ją w ramiona, ukołysać, pocieszyć: dajmy spokój śliczna, mała, jasna główko, nie bój się. Pozwól działać wujowi Philipowi, a wszystko znów będzie w porządku. Na szczęście miałem jeszcze siłę, aby kontynuować rolę brutala.

- Nie mamy czasu bawić się w ciuciubabkę. Chce pani poślubić Rollinsona czy nie? ... Tak? A więc dobrze! Kiedy wróci pani ojciec?

Spojrzała na umywalkę w kącie pokoju, jak gdyby zastanawiała się, czy zwymiotować, czy nie, a następnie zwróciła wzrok w moim kierunku i powiedziała:

- Nie jest pan wart więcej od innych. Morderca...

Wziąłem ją za ramiona i potrząsnąłem.

- Czy powiedział, kiedy wróci?

- Nie! - Spojrzała na mnie z obrzydzeniem.

Od dawna żadna kobieta nie patrzyła na mnie w ten sposób. Puściłem ją.

- Czy wie pani, co robią tu ci wszyscy ludzie?

- Nie.

Uwierzyłem. Jej ojciec musiał o tym wiedzieć, ale ukrył to przed córką. Lord Kirkside był zbyt chytrym lisem, aby myśleć, że niepożądani goście opuszczą jego dom nie likwidując mieszkańców. Może jednak miał nadzieję, że jeśli jego córka nie będzie nic wiedziała, jeżeli będzie mógł przysiąc, że nic nie wie i w niczym się nie orientuje, piraci pozostawią ją przy życiu. Jeśli w to wierzył, to powinien natychmiast skonsultować się z psychiatrą. Czy można było jednak robić mu wyrzuty? Gdybym był w jego skórze, gdybym tak jak on szamotał się w tym bagnie, czy nie chwyciłbym się każdego źdźbła słomy?

- Wie pani o tym, że pani narzeczony żyje - stwierdziłem. - Również pani starszy brat i jeszcze inni. Są zamknięci tutaj. Czy tak?

Potrząsnęła twierdząco głową.

- Ilu ich jest?

- Dwunastu. Co najmniej. Są tam również dzieci: trzech chłopców i jedna dziewczynka.

Liczba zgadzała się: dwóch synów McDonalda, chłopiec i dziewczyna, którzy znajdowali się na pokładzie przebudowanego statku ratowniczego. Nie wierzyłem w przekleństwa rzucane przez Lavorskiego na morderców, ale z drugiej strony nie byłem zdziwiony tym, że ludzie, którzy przez przypadek stali się niewygodnymi świadkami, jeszcze żyją. Przyczyna była nader prosta.

- Czy wie pani, gdzie są więzieni? W takim zamku jak ten nie brak chyba odpowiednich kryjówek.

- Znajdują się w bardzo głębokich lochach. Nie pozwolono mi się do nich zbliżyć od czterech miesięcy.

- No cóż, wszystko ma swój czas. Biorę panią ze sobą. Proszę się ubrać.

- Do lochów? - Oniemiała. - Czy pan zwariował? Ojciec mówił mi, że w nocy pilnuje ich co najmniej trzech strażników. - Stan osobowy straży został zmniejszony o dwóch, miała jednak o mnie już tak kiepską opinię, że... Milczałem. - Są uzbrojeni... Nie. Pan zwariował. Nie idę z panem.

- Zupełnie mnie to nie dziwi. Pani narzeczonemu umrze, gdyż jest pani obrzydliwym małym tchórzem. - Prawie zniechęciłem samego siebie za te słowa. - Lord Kirkside i szlachetny Rollinson! Co za szczęśliwy ojciec, co za szczęśliwy narzeczonemu!

Wymierzony przez nią policzek potwierdził moją wygraną. - Niech pani tego nie robi - powiedziałem nie rozcierając sobie nawet twarzy. - Obudzi pani strażnika. Proszę się ubrać.

Usiadłem u stóp łóżka patrząc w drzwi, rozmyślając o bardziej wzniosłych sprawach. Miałem już dosyć kobiet mówiących mi, jaki ze mnie obrzydliwy typ.

- Jestem gotowa - oznajmiła.

Włożyła na siebie swój mundur pirata: obcisły sweter i dżinsy, z których wyrosła, kiedy miała piętnaście lat. Wystarczyło jej trzydzieści sekund, aby to włożyć. Zdziwiająca.

CZWARTEK: OD CZWARTEJ TRZYDZIEŚCI DO ŚWITU

Zeszliśmy ręka w ręka po schodach. Byłem prawdopodobnie ostatnim człowiekiem, z którym chciałaby zostać sama na bezludnej wyspie, ale mimo tego trzymała się mnie mocno. U stóp schodów skręciliśmy w prawo. Od czasu do czasu zapalałem lampę, zresztą zupełnie niepotrzebnie. Susan знаła wszystkie kąty. W końcu hallu ruszyliśmy korytarzem w lewo, wzdłuż wschodniego skrzydła zamku. Osiem metrów dalej zatrzymała mnie przed drzwiami.

- Spiżarnia - wyszeptała. - Za nią kuchnia.

Pochyliłem się, aby zajrzeć przez dziurkę od klucza. Zupełne ciemności. Weszliśmy, następnie minęliśmy przejście, aby dostać się do kuchni. Poświeciłem dookoła latarką. Nie było nikogo.

Susan powiedziała mi o trzech strażnikach. Ten na zewnątrz - to była sprawa załatwiona. Następny kontrolował korytarze. Jaka była jego rola? Córka właściciela zamku nie знаła jej. Być może studiował astronomię albo czatował na spadochroniarzy. Podejrzywałem, że obserwuje morze wyglądając okrętów wojennych czy też statków rybackich, które mogłyby zbliżyć się i przeszkodzić w pracy uczciwym ludziom. Tej nocy zresztą nie zobaczy niczego. Jeśli chodzi o trzeciego, opiekował się drzwiami w głębi kuchni (jedyne wyjście z zamku, prócz wejścia głównego) i nieszczęsnymi więźniami zamkniętymi w lochach. Za kuchnią znajdowało się pomieszczenie do zmywania naczyń, a dalej schody prowadzące aż do korytarza. Z prawej strony sączyło się blade światło. Susan podniosła palec do ust. Zeszliśmy cicho. Rzuciłem okiem za oświetlony załom muru.

Korytarz? Ale skąd! Najbardziej strome schody na świecie. Dwie czy trzy kiepskie żarówki, dość daleko od siebie umieszczone, rozjaśniały grube, biegnące w dół mury, które zdawały się zbliżać do siebie jak szyny na torze kolejowym. Pierwsza żarówka znajdowała się na małym podeście w odległości piętnastu metrów od nas. Mieliśmy więc do pokonania około siedemdziesięciu stopni. Na dole pod nami widać było zejście poprzecznej galerii, skręcającej na prawo. Na środku siedział człowiek, trzymający na kolanach karabin. Jak widać lubili ciężką artylerię.

- Gdzie, do diabła, prowadzą te schody? - spytałem.

- Do hangaru na łodzie.

A gdzie mają prowadzić? Znakomity Calvert. Przelatywałeś nad Dubh Sgeir, widziałeś zamek, hangar na łodzie, stromą skałę między nimi i nie pomyślałeś ani przez chwilę o tym, że potrzebne są schody, aby połączyć zamek z hangarem.

- Czy ten korytarz na prawo prowadzi do lochów?

- Tak.

- Daleko trzeba chodzić po szampana.

- To nie są piwnice na wino, lecz stare zbiorniki wody.

- Nie ma do nich innego dojścia?

- Nie.

- Kiedy zejdziemy choćby pięć stopni, ten młody człowiek zamieni nas w sito. Czy pani go zna?

- To Harry. Ormianin, jak mi powiedział ojciec. Nie sposób wymówić jego nazwiska. Jest młody, ale okrutny i obrzydliwy.

- No! Czy był aż tak bezczelny, by podnieść oczy na córkę właściciela zamku?

- Tak... To straszne. - Dotknęła ust ręką. - Czuć go było czosnkiem.

- Wcale mu się nie dziwię. Sam spróbowałbym szczęścia, gdybym nie był bliski wieku emerytalnego. Proszę go zawołać i przeprosić.

- Co? !

- Pani źle przyjęła jego zaloty, a więc trzeba go przeprosić. Proszę mu powiedzieć, że źle pani oceniła jego charakter, wszystko, co pani chce. Że pani ojciec jest nieobecny, że to jedyna okazja itd...

- Nie.

- Susan!

- Nigdy w to nie uwierzy.

- Zarozumiałość mężczyzn nie ma granic. Przede wszystkim zacznij wchodzić po schodach, a kiedy znajdzie się w odległości dwóch metrów od pani, przestanie myśleć. To przecież mężczyzna.

- Pan jest również mężczyzną i znajduje się pan w odległości zaledwie dwudziestu centymetrów.

Odwieczna nielogiczność kobiet!

- Powiedziałem już, że osiągam wiek emerytalny. Szybko!

Ukryłem się w ciemnym kącie, schwyciwszy rewolwer za lufę. Zawołała go. Wszedł prędko po schodach, trzymając przed sobą karabin, ale kiedy poznał Susan, zapomniał o swojej broni. Dziewczyna zaczęła rozmowę. Mogła jednak zaoszczędzić sobie śliny. Harry był niecierpliwy. Skoczył do niej. Gorąca krew Ormian! Zrobiłem tylko jeden krok i dwa ruchy. Upadł, związałem go, a wobec tego, że nie miałem zapasowych chusteczek, rozdarłem przód jego koszuli i wepchnąłem mu go w usta. Susan śmiała się, ale był w tym śmiechu odcień hysterii.

- Co się stało? - spytałem.

- Harry to elegant! Proszę spojrzeć: jedwabna koszula. Nikogo pan nie szanuje, panie Calvert.
- Nikogo w rodzaju Harry'ego. Gratuluję. Nie było źle.
- Nie była to przyjemna rola. Tym razem czuć go whisky.
- Młodzi mają dziwny gust. Wyrośnie pani z tego. To w każdym razie lepsze od czosnku.

Zeszliśmy po schodach. Hangar na łodzie nie był hangarem w pełnym tego słowa znaczeniu. Była to raczej olbrzymia grotta, utworzona przez naturalną szczelinę w warstwie skalnej. W głębi groty, równoległe do linii brzegu, rozchodziły się dwa tunele, znikające za zasięgiem światła latarki. Z pokładu helikoptera wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Hangar o powierzchni sześciu czy ośmiu metrów kwadratowych, zbudowany w głębi niewielkiego sztucznego portu, wydawał się być schronieniem dla małych łodzi. Na miejscu okazało się, że „Firecrest” zmieściłby się tutaj z łatwością. Na prawym brzegu zobaczyłem cztery żelazne pachołki do cumowania statków. Widać było, że niedawno poszerzono powierzchnię wody i powiększono platformę służącą za przystań. Poza tym wygląd całego miejsca nie zmienił się prawdopodobnie od stu lat. Wziąłem tyczkę, aby zbadać głębokość, ale nie mogłem dosięgnąć dna. Statki, które dobijały do tej przystani, mogły wchodzić do niej i wychodzić nie zwracając uwagi na przyływ lub odpływ. Brama wyjściowa o szerokich odrzwiach sprawiała wrażenie niezwykle mocnej. Mała platforma po prawej stronie tworzyła coś w rodzaju progu.

Miejsce postoju było puste, jak zresztą przewidywałem. Nasi przyjaciele byli przezorni; rozłożyli sobie pracę. Mimo to zgromadzony tutaj materiał zdradzał rodzaj ich zajęć: kompresor powietrza zasilany silnikiem na ropę ze stalowym zbiornikiem z zaworami wypustowymi, ręczna dwucylindrowa pompa obustronnego działania, dwa hełmy ze skafandrami, giętke, nie załamujące się przewody powietrzne z metalowymi łącznikami, obciążone buty, skafandry do nurkowania, kable telefoniczne, ołowiane ciężarki i okulary takie, jakie sam miałem, sarta przygotowanych do użycia zbiorników ze sprężonym powietrzem. Nie byłem ani zdziwiony, ani zachwycony. Od dwóch dni wiedziałem, że wszystko to powinno się gdzieś znajdować, a od kilku godzin umiejscowiłem to „gdzieś”. Zdumiewała mnie tylko olbrzymia ilość wszystkiego - prawdopodobnie materiał wymienny! Wiedziałem jednak, że jeżeli czegoś brak naszym przeciwnikom - to z pewnością nie dobrej organizacji...

Nie zobaczyłem piwnic, w których trzymano więźniów, ani tej nocy ani żadnej innej.

Zacząłem z powrotem wspinać się po stromych schodach. Kiedy wszedłem na podest, gdzie stał Harry na warcie, ruszyłem korytarzem w lewo i dotarłem do wielkiej, niskiej, wilgotnej sali. Znajdował się w niej stół, zrobiony ze skrzyń po piwie, kilka stołków z tego samego materiału, a w rogu jakaś prycza. Na stole zobaczyłem napoczętą butelkę whisky. Prawdopodobnie w ten sposób Harry odświeżał sobie usta naperfumowane czosnkiem.

W głębi tego pomieszczenia były olbrzymie drewniane drzwi, zamknięte na ogromną żelazną zasuwę. Wszystkie wytrychy świata musiałyby się na niej złamać, ale mała dawka plastyku prawdopodobnie dałaby pożądaną efekt. Zapamiętałem to sobie i powróciłem do Susan, czekającej na mnie u szczytu schodów. Harry odzyskał przytomność. Usiłował protestować, ale jedwabny

knebel uniemożliwiał mu powiedzenie czegokolwiek, na szczęście zresztą dla córki właściciela zamku. Choć i tak jego oczy mówiły więcej niż trzeba. Susan Kirkside trzymała karabin z lufą skierowaną na więźnia, sprawiając przy tym wrażenie przestraszonej. Nie musiała się obawiać, Harry był związany jak indyk.

- Proszę mi powiedzieć, Susan, przecież ludzie z lochów znajdują się tam od tygodni, a niektórzy od miesięcy. Będą więc ślepi, jak nietoperze, i nie potrafią ustać na nogach, kiedy ich wyprowadzimy.

- Ależ nie! Codziennie wychodzą na powietrze, a my nie mamy prawa na nich patrzeć. Ja jednak robię to często. Papa sobie tego nie życzył. Sir Anthony również.

- Ho!... Ho!... nasz kochany Tony Skouras! Czy on tu przychodzi?

- Naturalnie. - Sprawiała wrażenie zaskoczonej moim zdziwieniem. - Lavorski i Dollmann pracują dla sir Anthony'ego. Czy pan nie wiedział o tym? Ojciec i sir Anthony są bardzo zaprzyjaźnieni... raczej byli. Często odwiedzałam go w Londynie.

- A teraz ich przyjaźń bardzo się ochłodziła?

Susan odpowiedziała konfidencjonalnym tonem:

- Sir Anthony stracił głowę po śmierci swej pierwszej żony. Ożenił się po raz drugi... Z jakąś francuską aktorką, która go zupełnie sobie podporządkowała. To zła kobieta. Drugie małżeństwo w niczym mu nie pomogło.

- Susan - powiedziałem ze śmiertelną powagą - jest pani nadzwyczajna! Nie zdaje pani sobie sprawy, jak żałuję, że jestem stary... Czy zna ją pani dobrze?

- Nigdy jej nie widziałam.

- Tego się właśnie domyślałem. I biedny sir Anthony nie orientuje się w tym, co teraz robi?

- Wszystko mu się płacze. Ale on jest... był taki miły.

- Ta plątanina doprowadziła do czterech trupów u nas i trzech u niego.

McDonald mówił o nim jak o dobroczyńcy ludzkości, Susan twierdzi, że jest bardzo miły. Ciekawe, co by powiedziała oglądając plecy Charlotty?

- W jaki sposób żywi się więźniów?

- Mamy dwóch kucharzy. To oni przynoszą im potrawy.

- Jaki jest jeszcze personel na zamku?

- Nie ma żadnego. Cztery miesiące temu zmusili ojca do zwolnienia całej służby.

- Teraz zrozumiałem, dlaczego tak a nie inaczej wyglądała łazienka strażnika. - Susan, mój przelot nad zamkiem w helikopterze został zasygnalizowany drogą radiową na „Shangri-la”. Gdzie jest nadajnik?

- Czy pan zawsze musi wszystko wiedzieć?

- Proszę bardzo, może mnie pani nazywać panem, który wszystko wie, jeśli to pani sprawia przyjemność, ale proszę mimo to odpowiedzieć.

- Jest w schowku pod głównymi schodami. Zamknięty na klucz.

- To głupstwo. Jeśli trzeba, otworzę wrota Banku Angielskiego. Proszę na mnie chwilę zaczekać.

Zszedłem do sali wartowników, znajdującej się przed wejściem do więzienia i powróciłem z butelką whisky, którą podałem Susan.

- Proszę to trzymać - powiedziałem.

- Czy naprawdę pan tego potrzebuje?

- Młoda i głupiutka! Naturalnie, Susan, jestem alkoholikiem.

Schwyciłem Harry'ego, rozwiązałem mu nogi i pomogłem wstać. Ten odruch dobrego samarytanina odpłacił kopnięciem, tyle że kwadrans bezwładu nie wpłynął na polepszenie jego refleksu; uniknąłem ciosu, on natomiast nie uniknął mojej riposty. Kiedy go postawiłem na nogi po raz drugi, był łagodny jak baranek.

- Dlaczego? ... Dlaczego pan go uderzył?

Niebieskie oczy znowu były pełne przerażenia.

- Dlaczego? ... Dobrze sobie! A jemu wolno?

- Wszyscy jesteście do siebie podobni!

- Och, dość tego! Proszę się zamknąć!

Czułem się stary, chory, zmęczony, a przede wszystkim niezdolny do dowcipnych odpowiedzi.

Nadawczo-odbiorczy blok tych panów był cudem marki RCA, w niklu, chromie i tak dalej... ostatni model, stanowiący wyposażenie marynarki wojennej co najmniej tuzina krajów. Nie traciłem czasu na rozmyślanie, skąd go mają. Ci ludzie umieli załatwić wszystko. Uruchomiłem aparat, wyregulowałem i wysłałem Susan, aby poszukała dla mnie żyłki.

- Nie chce pan, żebym słyszała pańską rozmowę.

- Proszę sobie myśleć, co się pani podoba, ale proszę mi wreszcie przynieść tę żyłkę.

Pobiegła.

Nadajnik obejmował wszystkie rodzaje częstotliwości, od dołu długich fal aż do szczytu ultrakrótkich. W ciągu dwóch minut uzyskałem odpowiedź od SPFX, który przez okrągły rok czuwał na nasłuchu. To doprawdy uprzejmie ze strony piratów, że dostarczyli mi tak doskonałego przyrządu.

Susan powróciła, nim zacząłem nadawać. Mówiłem do mikrofonu przez dziesięć minut, używając szyfru jedynie przy określaniu pozycji geograficznych i imion własnych. Mówiłem powoli, wyraźnie, nie powtarzając niczego, gdyż i tak każde moje słowo było rejestrowane na taśmie magnetofonowej. Wydałem szczegółowe rozkazy, sprecyzowałem częstotliwość radiową, opisałem dokładnie rozkład zamku, następnie nadałem kilka pytań, niezwykle ważnych, dotyczących ostatnich wydarzeń na francuskiej Riwierze.

Mniej więcej w środku mojego przemówienia Susan podniosła brwi tak wysoko, że całkowicie zginęły pod jej blond czupryną. Harry natomiast miał minę wołu prowadzonego na rzeź. Wyłączyłem aparat, ustawiając go w początkowym położeniu i wstałem.

- Nareszcie - powiedziałem. - Odchodzę.

- Pan... co?

Szaroniebieskie oczy rozszerzone do tej pory ze zdziwienia, rozszerzyły się jeszcze bardziej ze strachu. Brwi nie powróciły na swoje miejsce.

- Odchodzę. Jeśli pani myśli, że będę siedział w pani przeklętym zamku o minutę dłużej, aniżeli to konieczne, jest pani w błędzie. Dość na dzisiaj ryzykowałem. Czy myśli pani, że mam zamiar zostać tutaj do powrotu tych pracowników głębin?

- Pracowników głębin?

- Niech pani nie zwraca uwagi na to, co powiedziałem.

- Zapomniałem, że ona nie zna rodzaju zajęć naszych przyjaciół. - Calvert kłania się pani!

- Ma pan przecież rewolwer! - zawołała. - Może pan... może pan ich schwytać.

- Co schwytać? - Tam, do diabła! Nieważna gramatyka.

- Strażników. Śpią na drugim piętrze.

- Ilu ich jest?

- Ośmiu lub dziewięciu, nie jestem pewna.

- Ona nie jest pewna! Za kogo mnie pani bierze, młoda osóbko? Za nadcześniaka? A może

pragnie pani mojej śmierci? Dość żartów. Do widzenia. Proszę mnie dobrze słuchać, Susan: ani słowa o tym, co się zdarzyło. Nikomu. Nawet ojcu. W przeciwnym razie nie będzie Johny'ego w zakiecie i cylindrze. Jasne?

Schwyciła mnie za ramię.

- Mógłby mnie pan zabrać ze sobą. - Głos był stanowczy, ale w jej oczach czaił się strach.

- Mógłbym. Mógłbym panią zabrać i wszystko zawalić. Pani odejście byłoby jak wystrzał z rewolweru i zaprzepaściłoby sprawę. Możemy wygrać tylko w tym przypadku, jeśli nie dowiedzą się, że ktokolwiek był tu tej nocy. Przy najmniejszym podejrzeniu spakują manatki i znikną nad ranem. Teraz nie mogę zrobić nic więcej. Jeżeli odejdziemy, wymordują ludzi w lochach, to nie ulega wątpliwości. Nie mówiąc już o pani ojcu ani o McDonalddie, którego zlikwidują po drodze, żeby mu zamknąć usta. Czy tego właśnie pani pragnie, Susan? Tylko Bóg wie, jak chciałbym panią ze sobą zabrać! Nie jestem z drewna. Czy pani tego nie rozumie? Jeśli oni wrócą i zobaczą, że pani nie ma, pomyślą od razu: nasza mała Sue opuściła wyspę. Pani nie może teraz zniknąć.

- Dobrze... ale pan o czymś zapomina.

- Zawsze o czymś zapominałem. O czym?

- Harry. On musi zniknąć. W przeciwnym razie będzie mówił.

- Zniknie. Jak ten, który stał na straży przy bramie. Unieszkodliwiłem go po drodze.

W jej oczach znów zobaczyłem przerażenie, ale nie zwracałem na to uwagi. Zawinałem lewy rękaw i żyłtką zrobiłem małe nacięcie na przedramieniu. Nie za głębokie - potrzebna mi była cała moja krew - ale na tyle duże, aby zabarwić ostrze bagnetu na długość pięciu czy sześciu centymetrów. Następnie podałem plaster Susan, która bez słowa zrobiła mi opatrunek. Ruszyliśmy. Harry sam, ja z karabinem, Susan z butelką whisky. W hallu zamknąłem ponownie drzwi tym samym wytrychem, którym je otworzyłem.

Deszcz przestał padać, wiatr uspokoił się, natomiast mgła jeszcze bardziej zgęstniała, a temperatura opadła do zera. Była to złota szkocka jesień w całej swojej okazałości. Odnaleźliśmy miejsce nad brzegiem przepaści, gdzie pozostawiłem pierwszy karabin i bagnet. Używałem bez obaw latarki elektrycznej, natomiast rozmawialiśmy bardzo cicho. Strażnik na blankach nie mógłby nas zobaczyć z odległości pięciu metrów, nawet używając najlepszej nocnej lornetki, mógł nas natomiast usłyszeć. Głos we mgle zachowuje się bardzo dziwnie, raz jest zagłuszony, a raz rozprzestrzenia się bardzo daleko i bardzo wyraźnie.

Na wszelki wypadek położyłem Harry'ego na brzuchu, żeby nie próbował zepchnąć mnie w przepaść, i zacząłem poprawiać nieco scenografię. Skopałem obcasami i kolbą błotnistą glebę, wbiłem bagnet strażnika, który stał przed bramą, w ziemię, bagnet Harry'ego położyłem na boku w taki sposób, że zakrwawione ostrze wystawało ponad trawę, rozlałem dookoła whisky i postawiłem butelkę tak, aby została natychmiast zauważona.

- Co tu się wydarzyło? - spytałem Susan.

- To oczywiste. Pijacka bójka. Obaj mężczyźni pośliznęli się na wilgotnej trawie i spadli w przepaść.

- Co pani słyszała?

- Dwóch mężczyzn krzyczących w hallu. Wyszłam na próg. Kłócili się. Jeden z nich powiedział: „Harry, twoja kolej”. Harry na to: „Nie. Chcę to załatwić natychmiast. Wyjdź ze mną, jeśli uważasz się za mężczyznę”. Nie umiem powtórzyć grubiańskich przekleństw, jakimi się obrzucali. Potem przeszli razem przez dziedziniec, klnąc w dalszym ciągu, a ja wróciłam do łóżka.

- Doskonale. Właśnie w taki sposób to wszystko się odbywało.

Susan szła za nami aż do wierzchołka schodów, gdzie pozostawiłem moją pierwszą ofiarę. Oddychał jeszcze. Związałem obu ludzi w pasie w odległości metra jeden od drugiego i ująłem koniec sznura w rękę. Doświadczony alpinista opasałby się tym sznurem, ale ze mną była inna sprawa. Nie miałem zamiaru przekoziółkować razem z nimi po stromym zboczu, co byłoby nieuniknione, gdyż obaj moi górale mieli ręce związane na plecach.

- Dziękuję, Susan - powiedziałem. - Dziękuję pani za pomoc. Proszę położyć się do łóżka, ale nie zażywać środków nasennych. Wydawałoby się bowiem dziwne, gdyby spała pani jeszcze w południe.

- Chciałabym, żeby to już było jutro, panie Calvert. Nic zawiodę pana. Wszystko będzie dobrze, prawda?

- Naturalnie.

Patrząc na mnie nerwowo splatała dłonie.

- Mógł pan wrzucić tych ludzi do wody - powiedziała wreszcie. - Mógł pan skaleczyć w ramię Harry'ego, zamiast siebie... Proszę mi wybaczyć wszystkie przykre słowa, które panu powiedziałam... Robi pan tylko to, co jest konieczne... Jest pan naprawdę nadzwyczajny.

- Każdy wreszcie się o tym przekonuje - dodałem nieskromnie.

Nie usłyszała tego, zniknęła we mgle. Bardzo żałowałem, że nie mogłem podzielić jej zdania o sobie samym. Nie czułem się wcale taki nadzwyczajny, byłem wyczerpany zmęczeniem i niepokojem - najlepsze na świecie plany mogą wziąć w łeb kiedy w grę wchodzi tyle różnych okoliczności. Kilka razy kopnąłem moich więźniów, aby zmusić ich do wstania. Ulżyło mi to nieco.

Powoli schodziliśmy w dół niebezpiecznego wąwozu. Szedłem ostatni, trzymając latarkę w lewej ręce. W prawej miałem linkę, którą więźniowie byli związani. Dlaczego właściwie nie upuściłem krwi Harry'emu zamiast sobie? Przecież, do diabła, to jego krew powinna być na bagnecie!

- Przyjemna przechadzka? - zainteresował się kurtuazyjnie Hutchinson.

- Pełna niespodzianek w każdym razie. Panu z pewnością przypadłaby do gustu.

Marynarz nie odpowiedział, kierował „Firecrestem” poprzez mgłę i ciemność.

- Czy może mi pan zdradzić tajemnicę? - spytałem. - W jaki sposób obliczył pan położenie statku, aby móc powrócić i przybić do mola? Mgła jest dosłownie dwa razy gęstsza niż przedtem. Krążył pan prawie pół nocy, nie mając żadnego punktu obserwacyjnego, pchany przez fale, prądy itd... i przybywa pan na umówione miejsce, o umówionej godzinie... Nie mogę tego zrozumieć.

- Mam nadzwyczajny zmysł nawigacji, Calvert. Mam również mapę z zaznaczonymi głębokościami. Jeśli pan na nią spojrzy, zobaczy pan w tej okolicy mieliżnę na głębokości ośmiu sążni o długości mniej więcej jednej dziesiątej mili, leżącą trzy dwudzieste mili na zachód od starego mola. Popłynąłem na spotkanie wiatrowi i przyptywowi, czekałem, aż echosonda pokaże, że jestem na mieliźnie. Wtedy rzuciłem kotwicę. Na pięć minut przed godziną naszego spotkania podniosłem kotwicę i pozwoliłem wiatrowi i przyptywowi, aby mnie zniosły do miejsca, z którego odpłynąłem. Przecież to jasne jak dzień.

- Jestem rozczarowany... Czy to znaczy, że użył pan tej samej techniki, kiedy odnalazł pan port za pierwszym razem?

- Mniej więcej. Zamiast jednej mieliżny wykorzystałem pięć oraz kilka fal. No i teraz zna pan wszystkie moje tajemnice. Dokąd płyniemy?

- Czy wuj Arthur nic panu nie powiedział?

- Źle go pan ocenia. Oświadczył mi, że nigdy nie miesza się w pańskie sprawy podczas wykonywania... jak on to nazwał... operacji polowej. Wytłumaczył mi: ja koordynuję, Calvert realizuje.

- Czasami jest naprawdę do przyjęcia - stwierdziłem.

- Jeśli wierzyć temu, co mi opowiedział po pańskim odejściu, towarzyszenie panu to prawdziwy zaszczyt.

- Nie mówiąc już o zaszczycie liczącym czterysta względnie osiemset tysięcy funtów.

- Tak, naturalnie, nie mówiąc już o tym zaszczycie. Dokąd płyniemy?

- Do domu. Jeżeli potrafi go pan odnaleźć.

- Craigmores? Mogę... Wydaje mi się, że będę musiał zgasić cygaro. Nie widać już nawet bulajów. Wuj Arthur zajmuje się innymi sprawami. Przesłuchuje więźniów.

- Czy można z nich wiele wyciągnąć, zważywszy stan, w jakim się znajdują?

- Nie sędę.

- Trzeba przyznać, że skok między mołem a pokładem nie był zbyt łatwy ani bezpieczny. W dodatku przy takim kołysaniu... i z rękami związanymi na plecach.

- Złamana ręka i noga, ale i tak dobrze im poszło. Mogło być gorzej.

- Słusznie. Mogli w ogóle nie trafić na pokład. - Wysunął głowę przez lewy bulaj. - To nie moje cygaro zaciemniało horyzont - powiedział. - Mogę je palić dalej. Widzialność rzeczywiście spadła do zera. Będziemy musieli płynąć według przyrządów. Niech pan zapali lampę sufitową, to nam pozwoli łatwiej odczytywać mapę, wskazania echosondy i kompasu. A na pewno nie przeszkodzi radarowi. Spełniłem jego prośbę. Otworzył szeroko oczy, kiedy zobaczył mój strój. - Czy to karnawał? - zakpił.

- Proszę nie obrażać mojego szlafroka. Wszystkie trzy garnitury mam zupełnie mokre i zniszczone.

Wszedł wuj Arthur.

- Udało się panu? - spytałem.

- Jeden stracił przytomność - odpowiedział wuj z wyraźnym zadowoleniem. - Drugi jęczy tak głośno, że nie może mnie usłyszeć. Calvert, proszę mi pokrótce opowiedzieć o pańskiej wycieczce.

- O mojej wycieczce, admirale? Chciałem się położyć. Przecież raz już panu wszystko opowiedziałem.

- Pół tuzina zdań, które w dodatku źle słyszałem z powodu miauczenia pańskich dwóch więźniów. Chcę wszystko wiedzieć. I to dokładnie, Calvert.

- Jestem u kresu sił, admirale.

- Nigdy nie widziałem pana w innym stanie. Czy potrafi pan znaleźć butelkę whisky?

Hutchinson dyskretnie zakaszłał: - Jeżeli pan pozwoli, admirale...

- Bardzo proszę, mój chłopcze! - Chłopiec był o trzydzieści centymetrów wyższy od wuja. - Przy okazji, Calvert, proszę mi także podać szklankę ze zwykłą ilością.

Straszny jest ten wuj.

W pięć minut później życzyłem im dobrej nocy. Wuj Arthur był zagniewany. Prawdopodobnie oskarżał mnie o to, że przemilczałem momenty dramatyczne i opisowe całej sprawy. A ja byłem tak zmęczony, jak starzec z kosą po pobycie w Hiroszynie. Przechodząc spojrzałem na Charlotte. Mój aptekarz z Torbay, prawie śpiący krótkowidz, a przede wszystkim osiemdziesięciolatek, mógł się pomylić, tym bardziej że nie przepisywano zbyt często środków nasennych na tej wyspie. Nie doceniłem starego aptekarza. Wystarczyła minuta, aby doprowadzić Charlotte do mniej więcej

normalnego stanu. Obudziła się w chwili, kiedy w cudowny sposób odnaleźliśmy to, co mieszkańcy Craigmores nazywali swoim portem. Powiedziałem jej, żeby się ubrała - był to mały wybieg z mojej strony - i podążyła ze mną na ląd. W kwadrans później przybyliśmy do Hutchinsona, a po dalszych piętnastu minutach i zrobieniu opatrunków rannym, zamkniętym w pokoju, położyłem się wreszcie. Pokój, w którym się znajdowałem, prawdopodobnie należał do przewodniczącego komisji selekcyjnej Galerii Sztuki w Craigmores, gdyż były w nim zgromadzone najpiękniejsze eksponaty. Zasypiałem, myśląc o tym, że gdyby kiedykolwiek uniwersytet zdecydował się przyznać nagrodę akademicką pośrednikowi sprzedaży domów, pierwszą powinien otrzymać ten, kto potrafi sprzedać chatę na Hybrydach położoną w zasięgu zapachów hangaru do ćwiartowania rekinów. I w tej samej chwili otworzyły się drzwi, zapaliło światło, a w pokoju ukazała się Charlotta.

- Na litość boską, proszę pozwolić mi spać - powiedziałem błagalnie.

- Nie powinien był pan gasić światła - odezwała się do mnie z cieniem uśmiechu na ustach. Przyglądała się dziełom sztuki zdobiącym ściany.

- Te rysunki interesują mnie w tej chwili tak samo jak te, które niekiedy widzi się na drzwiach publicznych szaletów - odpowiedziałem. Otwierałem oczy tak szeroko, jak tylko mogłem. - Jestem zmęczony, a poza tym nie umiem przyjmować pań w środku nocy. Co mogę dla pani zrobić?

- Jeżeli pan się boi, może pan zawołać. Wuj Arthur mieszka obok. Czy mogę usiąść?

I oczywiście usiadła. Nosiła niemnącą się białą suknię, była starannie uczesana. I to wszystko. Z wyjątkiem, być może, pewnej rozbawionej ironii w głosie. Jej twarz i oczy sprawiały wrażenie obcych. Te mądre brązowe oczy, które wiedziały wszystko o życiu, śmiechu i odczuciu cierpienia, oczy, które zrobiły z niej najbardziej sławną aktorkę jej epoki, teraz odzwierciedlały smutek i beznadziejność. Również strach. Dziwne. Strach powinien był przy nas zniknąć, a ciągle czaił się w jej ciemnych oczach. Zmieniało to wygląd aktorki i postarzało ją. Delikatne zmarszczki, tak urzekające, podkreślające jej uśmiech w kącikach ust i powiek, zdawały się być pogłębione przez lata i zmartwienia. Twarz Charlotty Meiner zniknęła, a bez niej wydawało się, że Charlotta Skouras w ogóle nie ma twarzy. Siedziała przede mną niespokojna, starzejąca się kobieta, a mimo to przy niej galeria obrazów w Craigmores przestawała istnieć.

- Nie ufa mi pan, Philipie?

- Po co pani to mówi? Dlaczego miałbym pani nie ufać?

- I pan śmie o to pytać? Zachowuje się pan dziwnie. Nie odpowiada pan na moje pytania. - Zbývá mi pan byle czym, mówi co mu akurat przychodzi do głowy. Jestem dostatecznie dorosła, aby to widzieć. Co zrobiłam, aby zasłużyć na taki brak zaufania, Philipie?

- A więc w sumie oskarża mnie pani o to, że kłamię? No cóż! Czasami zniekształcam troszkę prawdę, być może nawet musiałem niekiedy posunąć się do kłamstwa. Nigdy jednak nie skłamałbym takiej osobie jak pani.

Rzeczywiście tak myślałem i nie zamierzałem kłamać... Chyba że byłoby to dla jej dobra, a to

już zupełnie inna sprawa.

- Dlaczego?

- Nie umiem pani wytłumaczyć. Mógłbym pani powiedzieć, że nie kłamię pięknej kobiecie, kiedy ją szanuję, ale pani odpowiedziałaby wówczas, że zniekształcam prawdę, aby była niezrozumiała. Popęłniłaby pani zresztą pomyłkę. Proszę tego źle nie rozumieć. Mógłbym pani powiedzieć, że nie kłamię dlatego, że jest mi przykro widzieć panią opuszczoną, bez nikogo, kto mógłby ją pocieszyć w chwilach, kiedy tego pocieszenia najbardziej pani potrzeba. Mogłaby pani jednak również pomyśleć o tym inaczej. Ze złej strony. Mógłbym pani powiedzieć, że nie kłamię przyjaciołom, ale zaryzykowałbym wówczas, że panią rozgniewam. Charlotty Skouras nie kumają się z zawodowymi rządowymi mordercami. Widzi pani, Charlotto, że nie wiem, co powiedzieć. Ale to nieważne. Proszę mi wierzyć, że nie zrobię pani nigdy żadnej krzywdy i nikt pani tej krzywdy nie robi, jak długo będę się przy pani znajdował. Być może nie wierzy mi pani... być może pani kobieca intuicja strajkuje...

- O nie. Robi nawet godziny nadliczbowe. - Spojrzenie jej było zdecydowane, a twarz nieprzenikniona. - Wierzę - ciągnęła - że mogę oddać życie w pańskie ręce.

- Ryzykuje pani, że mogę je sobie przywłaszczyć.

- Nie miałyby to wielkiego znaczenia. A jeśli nie pragnę, aby pan mi je zwracał? - Tym razem spojrzała na mnie bez strachu, następnie opuściła wzrok na złożone dłonie. Przyglądała się im tak długo, że sam poszedłem za jej przykładem, nie dojrzałem w nich jednak nic szczególnego.

- Spytał mnie pan, po co przyszedłem? - odezwała się wreszcie z uśmiechem, który do niej nie pasował.

- Nie. Powiedziała mi pani. Chciała pani usłyszeć ode mnie pewną historię, a konkretnie początek i koniec tej historii.

- Tak - przyznała. - Kiedy debiutowałam w teatrze, grałam małe role, ale wiedziałam, jakie mają znaczenie dla całej sztuki. Tutaj również moja rola jest bardzo mała, ale nie wiem, o co w niej chodzi. Ukazuję się na trzy minuty w drugim akcie, nie znając tego, co wydarzyło się w pierwszym. Powracam na minutę do czwartego aktu, nie znając trzeciego. I nie mam pojęcia o rozwiązaniu całego dramatu. To poniżające dla kobiety.

- Czy pani naprawdę nie zna początku?

- Proszę mi wierzyć... Zapewniam pana.

Uwierzyłem jej, gdyż wiedziałem, że to prawda.

- Proszę przynieść mi coś na wzmocnienie, znajdzie to pani w dużej sali. Czuję się coraz bardziej słaby.

Zgodziła się chętnie i dodało mi to na tyle siły, by mogła usłyszeć to, co chciała.

- Był kiedyś triumwirat - zacząłem. - To stwierdzenie, jakkolwiek nie jest zupełnie ścisłe, jest wystarczająco bliskie prawdy... sir Anthony, Lavorski, jego księgowy, a przede wszystkim doradca finansowy oraz John Dollmann, administrator Towarzystw Okrętowych związanych z Towarzystwami Naftowymi pani męża, ale nie zintegrowanych z nimi z przyczyn podatkowych. Myślałem początkowo, że McCallum, szkocki adwokat, oraz Jules Biscarte, paryski bankier, pracują razem z nimi, ale to był błąd, w każdym razie, jeżeli chodzi o Biscarte'a. Zaproszono go pod pretekstem dyskusji o interesach, w rzeczywistości, żeby wydostać z niego informacje, które by pozwoliły triumwiratowi przygotować nową aferę. Biscarte zorientował się i uciekł. O McCallumie nie wiem nic.

- Nie znam Biscarte'a. Ani on, ani McCallum nie nocowali na „Shangri-la”, lecz zatrzymali się w hotelu „Columbia” przez kilka dni i dwa razy byli zaproszeni na kolację. Nie byli na pokładzie od tamtej nocy, kiedy pan się na nim zjawiał.

- Nie bardzo im się podobał sposób, w jaki mąż panią traktował.

- Mnie tym bardziej. Wiem, po co zaproszono McCalluma. Mój mąż chce zbudować rafinerię w Clyde. Roboty mają rozpocząć się najbliższej zimy i McCallum poszukuje odpowiednich terenów. Anthony sądzi, że w końcu roku zgromadzi kapitał potrzebny do rozpoczęcia prac przy tej inwestycji...

- Z pewnością. To jest najładniejszy zwrot na określenie złodziejskiego proceduru, z jakim kiedykolwiek się spotkałem. Dobrze. Lavorski - wydaje mi się, że będę mógł tego dowieść - jest jednocześnie inicjatorem i mózgiem wszystkich machinacji. Pewnego dnia zrozumiał, że królestwo Skourasa potrzebuje nowej krwi - wolnych, świeżych pieniędzy - i znalazł sposób zmiany sytuacji, wykorzystując to, co miał pod ręką.

- Mojemu mężowi nigdy nie było brak pieniędzy. Zawsze miał najpiękniejsze statki, najpiękniejsze samochody i najpiękniejsze domy...

- Nie mówię tego w tym sensie. Brakowało mu pieniędzy tak samo, jak połowie milionerów, którzy wyskakiwali z okien drapaczy chmur w Nowym Jorku w okresie wielkiego krachu. Proszę mi nie przerywać. Nie wiem, czy zna się pani cokolwiek na sprawach finansowych. - Świetna uwaga w ustach funkcjonariusza o głodowej pensji. - Lavorski wpadł na genialny pomysł, aby rzucić się na wielkie piractwo - przechwytywanie statków transportujących ładunki od miliona do wielu milionów funtów. Nie mniej.

Zdziwienie otworzyło jej usta. Szkoda, że nie miałem takich zębów jak ona. Przez lata służby połowę straciłem dzięki staraniom wrogów wuja Arthura. A diabelski wuj, o dwadzieścia pięć lat starszy ode mnie, chwalił się ciągle wszystkimi zębami.

- Pan to wszystko zmyśla - wyszeptała.

- To wszystko wymyślił Lavorski. Jeśli chodzi o mnie, nie wystarczyłoby mi wyobraźni. Cel, jaki miał być osiągnięty, został skonkretyzowany. Do rozwiązania pozostały jeszcze trzy problemy: w jaki sposób zdobyć informacje, gdzie i kiedy cenne ładunki wychodzą w morze? W jaki sposób

przechwycić te statki? W jaki sposób ukryć je przez kilka dni, potrzebne do rozbicia skarbców i przechwycenia łupów? Pierwszy problem nie nastroczał wiele trudności. Przekupili kilka ważnych osobistości ze świata bankowego. Dowodzi tego próba dokonana na Biscarte'em. Wątpię, czy kiedykolwiek uda nam się postawić tych ludzi przed Trybunałem, możliwe jest jednak aresztowanie i postawienie w stan oskarżenia ich głównego informatora, ich asa atutowego, naszego dobrego znajomego, lorda Charnleya, przysięgłego maklera. Proszę zauważyć, że aby pirackie przedsiębiorstwo kwitło, potrzebna mu jest współpraca Lloyda, raczej nie Lloyda - gdyż mogą być pociągnięty do odpowiedzialności za obrazę - lecz współpraca z kimś z Lloyda. Kogoś takiego jak lord Charnley, który dzięki swojemu zawodowi orientuje się we wszystkich morskich ubezpieczeniach Lloyda... Proszę na mnie tak nie patrzeć, gdyż gubię wątek mojej opowieści... Duża liczba cennych ładunków jest asekurowana przez Lloyda. Pewną częścią zajmuje się Charnley. Zna ich wartość, nadawcę oraz nazwę statku i datę odpłynięcia.

- Ale przecież lord Charnley jest bogatym człowiekiem!

- To tak na zewnątrz wygląda. Z początku rzeczywiście był bogaty. Ale przecież mógł postawić na złego konia w swoich asekuracyjnych interesach lub też nieszczęśliwie grać na giełdzie. W każdym razie potrzebował pieniędzy. Pieniądz podobny jest do alkoholu. Jedni go znoszą, inni nie i ci właśnie, im więcej go mają, tym więcej go pragną. Dollmann rozwiązał problem numer dwa - porywanie statków. Nie sprawiło mu to zbyt wiele trudności. Mąż pani wysłał swoje tankowce do dziwnych miejscowości, mało cywilizowanych. Dlatego też niekiedy zatrudnia ciekawe osoby, też mało cywilizowane. Dollmann sam nie rekrutował załóg porywaczy. Posłużył się pośrednikiem, kapitanem Imrie, który ma bogatą przeszłość i którego upoważnił do wybrania spośród załóg Skourasa ludzi odpowiednich do tej roboty. Kiedy ekipa piratów została skompletowana, Skouras, Lavorski i Dollmann czekali już tylko na wypłynięcie w kurs cennego ładunku. W takich chwilach umieszczali panią w hotelu z pokojówką. Zamiast pani na pokładzie zjawiali się panowie piraci i ich ofiary. Dzięki pewnym podstępom, o których pani jeszcze opowiem, Imrie i spółka zdobywali statki, „Shangri-la” przewoził załogi na ląd, podczas gdy tamci odprowadzali uprowadzone statki do ustalonej kryjówki. Gdzie ukryłaby pani statek?

- Ja... Skąd mogę wiedzieć? W Arktyce, w samotnym fiordzie norweskim, na bezludnej wyspie... to nie takie proste. Statek to wielki przedmiot.

- Nie. Nie ma nic prostszego. Teoretycznie można ukryć statek wszędzie; wystarczy otworzyć jego zawory wężowe i zawory zwrotne oraz wywołać eksplozję kilku ładunków.

- Po prostu?

- Tak, po prostu. Wydaje mi się, że obecnie najbardziej uczęszczanym i przeładowanym morskim cmentarzyskiem świata są okolice zachodniej części cieśniny na wschód od Dubh Sgeir - małe, spokojne miejsce, noszące sympatyczną nazwę Beul nan Uamh - wejście do grobowca. W chwili, kiedy morze jest spokojne, kiedy nie ma odpływu czy przyływu, doprowadza pani swoją zdobycz na wybrane miejsce, otwiera zawory i... gul, gul, gul... Porównując pory przyływów i odpływów z kalendarzem zniknięć statków widać zupełnie wyraźnie, że pięć statków zatopiono około północy. Zniknęły o północy, jak mówią poeci. Nie odbyło się to naturalnie bez płaczu i zgrzytania zębów zainteresowanych towarzystw asekuracyjnych. Wejście do grobowca... czy można

znaleźć lepsze miejsce i lepszą nazwę? Nazwa wydrukowana jest wielkimi literami na mapie. Jednak dla Calverta najciemniej jest pod latarnią.

Nie słuchała mnie dalej.

- Dubh Sgeir? - spytała. - Ale to przecież wyspa lorda Kirkside.

- Właśnie dlatego wybrano kryjówkę w tej okolicy. Wybór został dokonany przez pani męża, w każdym razie przez jego pośrednika. Dopiero niedawno dowiedziałem się o więzach przyjaźni łączących Skourasa z lordem Kirkside. Spotkałem go wczoraj, ale trzymał język za zębami, tak samo, jak i jego czarująca córka.

- Pan spotyka wiele osób. Nie znam jej wcale.

- Wielka szkoda. Uważa, że jest pani polującą na złoto awanturnicą. To czarująca dziewczyna. Ale przerażona. Obawia się o swoje życie i o życie kilku innych osób.

- Dlaczego?

- Jak pani myśli, w jaki sposób udało się naszemu triumwiratowi przekonać lorda Kirkside, aby pomógł w tych małych kombinacjach?

- Być może przekupując go.

- Przekupić dżentelmena! W dodatku Szkota i szefa klanu! Myli się pani. Za żadne pieniądze świata lord Kirkside nie dałby się namówić nawet do takiego przestępstwa, jakim byłaby na przykład jazda autobusem bez biletu. Co ja mówię! Kirkside nie spostrzegłby tego autobusu, nawet gdyby przejechał po jego brzuchu. Ten starszy pan jest nieprzekupny. Pani czarujący przyjaciele porwali więc jego starszego syna - młodszy mieszka w Australii - i aby uniknąć ewentualnego ciosu ze strony Susan Kirkside, porwali jej narzeczonego. Wyobrażam sobie i jestem prawie pewien, że wiele się nie myślę, iż ci dwaj młodzi ludzie są uważani za martwych.

- Nie, nie... mój Boże, nie!... - Trzymała dłoń przy ustach, a głos jej drżał.

- Mój Boże, tak. Jest to logiczne i skuteczne. Z tych samych powodów porwali synów McDonalda i żonę McEacherna - aby zapewnić milczenie i współpracę.

- Ale... przecież ludzie nie mogą tak sobie zniknąć!

- Nie mamy do czynienia z urwisami, Charlotta, tylko z bardzo doświadczonymi, inteligentnymi kryminalistami. Wszystkie zniknięcia są zakamuflowane jako śmierć w wypadku. Kilku innych nieszczęśników istotnie zginęło. Byli to ludzie, których przypadek sprowadził w małych prywatnych łodziach w pobliże morskiego cmentarzyska w chwili, kiedy porwany statek był przygotowywany do zatonięcia.

- A czy policja nie była zdziwiona tym, że tyle statków utonęło w tym samym miejscu?

- Dwa z tych statków zostały odprowadzone czy też przeholowane pięćdziesiąt mil dalej i rzucone na rafy. Trzeci mógł zginąć gdziekolwiek. Czwarty opuścił Torbay i zniknął, ale jedno zniknięcie nie wystarczyło, aby wzbudzić podejrzenie.

- To musi być prawda... To musi być prawda... - Powtarzała te słowa potrząsając równocześnie głową, jakby temu nie wierzyła. Wreszcie powiedziała: - Wszystkie te sprawy ząbują się i wszystko wyjaśniają. Po co je jednak teraz zgłębiać? Oni są doskonale zorientowani. Sądzę, iż wiedzą o waszych domysłach, że coś jest nie tak, i to coś w Loch Houron... Odpłyną.

- Dlaczego pani sądzi, że nasze podejrzenia kierują się na Loch Houron?

- Wuj Arthur powiedział mi o tym wczoraj wieczorem w sterówce... Czy pan sobie tego nie przypomina?

Rzeczywiście, zapomniałem, brak snu bardzo często przynosi ze sobą przedziwne uwagi, zdradzieckie uwagi... Na szczęście wuj Arthur tej nie słyszał. - To już zmierzch Calverta - powiedziałem. - Tracę głowę. Naturalnie, że oni odpłyną. Ale nie przed upływem dwóch dni. Wierzą, że mają jeszcze wiele czasu przed sobą. Minęło zaledwie osiem godzin od chwili, kiedy przekazaliśmy im przez McDonalda, że udajemy się do Clyde po posiłki.

- Rozumiem - skinęła głową. - A co robił pan tej nocy w Dubh Sgeir?

- Niewiele. - Jeszcze jedno kłamstwo. - Jednak dosyć, aby pozbyć się ostatnich wątpliwości. Dotarłem wpław aż do hangaru na łodzi. Przeklęty hangar, trzy razy większy niż na to wygląda i wypełniony wyposażeniem dla nurków.

- Dla nurków?

- Niech pani nie udaje naiwnej. Jak pani sądzi, w jaki sposób można wydobyć rzeczy z zatopionego statku? Używają łodzi dla nurków, dla której hangar w Dubh Sgeir służy za dom.

- Czy to wszystko... co pan tam znalazł?

- A co chciałaby pani innego tam zobaczyć? W rzeczywistości miałem zamiar obejrzeć sobie zamek. Są tam nie kończące się schody, które prowadzą z hangaru aż na górę. Ale na dwóch trzecich wysokości mojej wspinaczki zauważyłem miłego, młodego człowieka z karabinem w rękę. Coś w rodzaju strażnika, tak mi się wydaje. Opróżniał butelkę. Nie przeszkadzało mu to jednak strzec drogi. Podziurawiłby mnie jak sito. Dałem spokój i odszedłem.

- Bogowie! Znajdujemy się w ładnej sytuacji! Pan nie ma radia. Nie może pan wezwać pomocy. Co zrobimy! Co pan zrobi, Philipie?

- Udam się tam wieczorem na pokładzie „Firecresta”. Oto, co zrobię. Pistolet maszynowy jest ukryty pod tapczanem w salonie. Wuj Arthur i Hutchinson mają rewolwery. Zrobimy rekonesans. Wrota hangaru źle się zamykają. Jeżeli nie zobaczymy światła, będzie to oznaczało, że nurkowie są zajęci wylawianiem ostatniego ładunku. Będziemy na nich czekać. Kiedy powrócą, otworzą wrota. Światło stanie się widoczne z odległości trzech kilometrów. Zamkną wrota. Następnie zaczną

ładować do szalupy łup pochodzący z czterech pierwszych statków. Skierujemy wówczas „Firecresta” na zamknięte wrota. Muszą pęknąć. Pistolet maszynowy w małej zamkniętej przestrzeni - mogę panią zapewnić - potrafi wyrządzić wiele szkody.

- Zabiją pana. - Usiadła na moim łóżku, obok mnie, jej oczy powiększyło przerażenie. - Niech pan tego nie robi, Philipie! Philipie! Proszę pana. Zostanie pan zabity. Philipie. Proszę.

Była pewna mojej śmierci!

- Nie mam innego wyboru, Charlotto. Godziny są policzone zarówno dla nas, jak i dla nich.

- O Philipie, Philipie... proszę...

Płakała. Z trudem w to uwierzyłem.

- Nie.

Na moje usta spadła łza, słona jak morska woda.

- Nie, Charlotto. Może mnie pani prosić o wszystko, tylko nie o to. Ja muszę tam pójść.

Wstała powoli, przez chwilę się wahała, jej ramiona drgały od płaczu, twarz błyszczała od łez. Zgasiła światło.

- Pański plan jest najbardziej szaleńczy, o jakim kiedykolwiek słyszałam - powiedziała wychodząc wolnym krokiem.

Leżałem wyciągnięty, z szeroko otwartymi oczyma i przez kilka chwil myślałem o tym określeniu. Był to rzeczywiście najbardziej zwariowany plan, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Ale na szczęście nie miałem zamiaru wprowadzić go w życie.

CZWARTEK: OD POŁUDNIA DO PIĄTKU O ŚWICIE

- Dajcie mi spać!

Zacisnąłem powieki. Jestem martwy. Wydawało mi się, że to nie ręka mną potrząsa, lecz wielka koparka. W końcu otworzyłem oczy.

- Która godzina?

- Minęło południe. Nie mogę panu pozwolić na spanie do wieczora.

- Południe? Prosiłem, żeby mnie wyciągnąć za nogi o piątej rano. Czy pan wie...

- Proszę tu spojrzeć! - Hutchinson podszedł do okna. Zwlokłem się sztywno z łóżka i poszedłem za nim. Podczas snu przeszedłem operację. Znieczulenie nie było potrzebne ze względu na mój stan. Usunięto mi kości z nóg. Czuję się podle. Hutchinson kiwnął głową w stronę okna.

- Co pan o tym myśli?

- A co mogę myśleć, kiedy nic nie widać w tej przeklętej mgle?

- Właśnie - mgła... Komunikat meteorologiczny o drugiej w nocy? Czy zapomniał pan o nim? Mgła miała się rozpląnąć nad ranem.

Mgła rozpląnęła się, ale w moim mózgu. Zerwałem się na równe nogi i zacząłem gorączkowo ubierać się w najmniej przemoczoną odzież. Była wilgotna i zimna, nie zwracałem jednak na to uwagi. Myślami byłem zupełnie gdzie indziej. Piraci zatopili „Nantesville” w poniedziałek wieczorem podczas odpływu, ale nurkowie z pewnością nie mogli natychmiast rozpocząć pracy. Następnej nocy również, gdyż sądząc po stanie wody wokół Torbay, Beul nan Uamh było nieosiągalne. Ale rozpoczęli wczoraj wieczorem. Rozpoczęli, gdyż w hangarze na Dubh Sgeir nie było ich łodzi. Armatorzy, do których należał „Nantesville”, twierdzili, że stara kasa pancerna nie mogła więcej niż kilka godzin opierać się nowoczesnym palnikom. Lavorski i współpracownicy na pewno mieli odpowiednie wyposażenie. Przenoszenie sztab złota mogło odbyć się ostatniej nocy. Przy jednoczesnej pracy trzech nurków działających na zmianę z drużyną złożoną również z trzech nurków przeładowywanie powinno iść pełną parą. Mimo wszystko jednak nie tak szybko, aby wydobyć osiemnaście ton w ciągu jednej nocy. Moje własne doświadczenia, jeszcze z okresu pracy w ratownictwie morskim, zanim wuj Arthur się mną zaopiekował upewniły mnie w tym przekonaniu. Lavorski i spółka potrzebowali jeszcze jednej nocy, aby zakończyć pracę. Ale ta mgła warta była wszystkich nocy na świecie; piraci mogli spokojnie kontynuować swój proceder.

- Niech pan idzie potrząsnąć wujem Arthurem. Proszę mu powiedzieć, że ruszamy. Wraz z „Firecrestem”.

- Będzie chciał tu przyjść.

- Musi tam zostać. Wie o tym dobrze. Niech pan mu powie: Beul nan Uamh.

- Nie Dubh Sgeir? Nie do hangaru?

- Nie możemy zaatakować przed północą. Przecież pan wie o tym.

- Zapomniałem... Nie możemy przed północą.

Beul nan Uamh bynajmniej nie potwierdziło swojej reputacji. Fala pchana słabym wiatrem z południowego zachodu nie była zbyt wysoka. „Firecrest” minął Ballare, osiągnął północny cypel wschodniego brzegu Dubh Sgeir i popłynął na południe z szybkością prawie że zerową. Zamknęliśmy rury wydechowe pod wodą i w związku z tym warkot diesla w sterówce był prawie niesłyszalny, nawet przy otwartych drzwiach. Nie zostawiliśmy jednak otwartych drzwi jedynie po to, aby wsłuchiwać się w odgłos własnego silnika. Osiągnęliśmy środek niewielkiej powierzchni wody, położonej na wschód od wirów Beul nan Uamh, w cudowny jakiś sposób spokojnej, którą zauważyłem poprzedniego dnia z pokładu helikoptera Williama. Hutchinson sprawiał wrażenie trochę zaniepokojonego. Po raz pierwszy.

Płynął orientując się wyłącznie według echosondy i mapy. Nie patrzył na bawelnianą atmosferę wokół statku, jedynie czasem na busolę.

- Czy sądzi pan, że tu jest rafa na głębokości czternastu sążni? Nie mogą zatapiać statków w innym miejscu. Proszę spojrzeć. Poza linią dziesięciu metrów dno jest prawie płaskie, a omasztowanie sterczałoby z wody podczas odpływu. Od dziesięciu do dwudziestu - nachylenie dna jest zbyt duże. W okolicach trzydziestu metrów dno opada gwałtownie do sześćdziesięciu metrów. Wrak mógłby ześliznąć się, a do pracy na głębokości sześćdziesięciu metrów konieczne jest specjalne wyposażenie.

- Ta rafa, coś w rodzaju płaskowyzu, jest niezwykle wąska. Maksimum dwieście metrów. W jaki sposób mogą być pewni, że zatopiony statek właśnie tam osiadzie?

- W idealnie spokojnej wodzie nie ma problemu.

Hutchinson wyłączył silnik i wyszedł. „Firecrest” powoli dryfował przez mgłę. Nie widzieliśmy nic poza jego kadłubem. Po chwili Hutchinson wrócił.

- Obawiam się, że miał pan rację - powiedział. - Słyszę silnik.

Natężyłem słuch i rozróżniłem charakterystyczny szum kompresora. - Dlaczego powiedział pan, że obawia się, iż mam rację?

- Dlatego, że zgaduję, co pan chce zrobić... Pan chce również opuścić się na dno, prawda? - Przewrócił lewar na „wolno naprzód” i skrzył na prawo, w kierunku głębokiej wody.

- To nie o to chodzi, że ja chcę. Nie jestem aż takim wariatem. Ale... Jeżeli nie zrobię tego, „Nantesville” będzie rozładowany dziś po południu, szalupa dla nurków popłynie po resztę łupu do Dubh Sgeir wieczorem i ci panowie znikną z towarem dobrze przed północą.

- Niech pan weźmie połowę naszej doli, Calvert. Połowę! My przecież nic nie robimy.

- Zgadza się na zimne piwo w „Columbii” w Torbay. A teraz proszę doprowadzić „Firecresta” w dobre miejsce i utrzymać go tam. Nie mam zamiaru spędzać reszty życia w Atlantyku, kiedy powrócę z „Nantesville”.

Wyczytałem w jego oczach, że ma zamiar przyjąć moją odpowiedź w trybie warunkowym: „Jeżeli kiedykolwiek wynurzy się pan z „Nantesville... „ Nic nie odpowiedział. Okrążył szalupę od południa i zachodu pozostając na granicy odległości dźwięku, następnie ustawił się dziobem w kierunku źródła głosu.

- Jesteśmy mniej więcej w odległości jednej dziesiątej mili - zakomunikował.

- Trudno być tego pewnym w tej mgle.

- Niech pan zarzuci kotwicę.

Zarzuciłem kotwicę. Ale nie normalną, zawieszoną na łańcuchu, lecz małą, umieszczoną na zewnątrz na nylonowej linie o długości około czterdziestu sążni. Kotwica opuściła się cicho na dno. Umocowałem koniec linki, następnie powróciłem do sterówki i zacząłem zakładać na plecy cylindry.

- Szalupa znajduje się na północnym wschodzie. Zakotwaczyłem tutaj, gdyż za chwilę fala się uspokoi. Pozostawiam diesel na małych obrotach. Usłyszysz pan jego podwodną rurę wydechową w odległości dwudziestu metrów. Niech pan życzy sobie, aby mgła się nie podniosła, gdyż wówczas będę zmuszony do ucieczki, a pan do osiągnięcia Dubh Sgeir wplaw.

- A jeśli będą pana gonić?

- Nie ma mowy. Musieliby pozostawić swoich nurków. A gdyby znaleziono dwóch lub trzech nieboszczyków na „Nantesville”...

- Troszeczkę taktu, Hutchinson. Proszę mi teraz nie opowiadać o trupach nurków...

Było ich trzech na pokładzie „Nantesville”. Poruszali się z największą szybkością, jaką można osiągnąć w świecie pod ciśnieniem, w świecie o powolnych ruchach, w świecie głębin. Dotarcie do nich nie było trudne. Płynąłem na powierzchni kierując się szumem kompresora, aż do odległości trzech metrów od łodzi, następnie zanurkowałem i odnalazłem kolejno kable, liny sygnałowe i grubą linę stalową. To właśnie jej szukałem. Popłynąłem powoli wzdłuż niej, aż do chwili, kiedy zobaczyłem odbłask światła. Wtedy cofnąłem się w bok i nadal schodziłem w dół, aż do momentu, kiedy moje nogi oparły się o coś twardego. Był to pokład „Nantesville”. Właśnie tu zamontowano podwodny reflektor. Z zachowaniem tysięcznych ostrożności zbliżyłem się do źródła światła. Było ich dwóch. Stali w obciążonych ołowiem butach nad otwartym lukiem. Ubrani byli klasycznie: w hełm i skafander z rurą doprowadzającą powietrze i linką komunikacyjną, połączoną prawdopodobnie z cienkim kablem telefonicznym. Nasze skafandry różniły się. Ten, który nosiłem, nie pozwoliłby na pracę w podobnych warunkach, a to z powodu niewielkiej rezerwy sprężonego powietrza, natomiast oni mogli pozostawać przy wraku przez półtorej godziny i poświęcać trzydzieści do czterdziestu minut na wynurzenie się, naturalnie etapami. Nie miałem zamiaru być tam tak długo, ba, nie chciałem tam nawet przebywać minuty, tak głośno i szybko biło moje serce. Czy się

bałem? Ależ skąd! Taki jak ja nigdy się nie boi, powiedziałem sobie. To tylko ciśnienie wody, które odbiera mi oddech. Stalowa lina, wzdłuż której się opuszczałem, była umocowana do pierścienia, połączonego łańcuchami z czterema rogami kwadratowej metalowej siatki. Dwaj nurkowie wyciągali z ładowni żelazne skrzynki z uchwytyami z drewna i żelaza mniej więcej co dwie minuty i umieszczali je na siatce. Były małe, ale sprawiały wrażenie bardzo ciężkich. Nic dziwnego! Cztery sztaby złota po trzysta kilogramów w każdej... Cała fortuna.

Na „Nantesville” znajdowało się około trzystu sześćdziesięciu takich skrzynek. Próbowałem określić czas całej operacji. Na siatce można było umieścić szesnaście skrzynek i na tę czynność należało poświęcić szesnaście minut. Wyciągnięcie siatki, wyładowanie oraz droga powrotna - dziesięć minut. A więc dwadzieścia sześć minut na szesnaście skrzynek, w sumie czterdzieści skrzynek na godzinę lub sześćdziesiąt na półtoragodzinne zanurzenie. Nurkowie tracili czterdzieści minut na wynurzenie się (pierwsza dekompresacja trwała dwanaście minut, następna dwadzieścia cztery minuty) i dwadzieścia na przekazanie swoich kostiumów kolegom ze zmiany, co w sumie dawało godzinę. W skrócie - manipulacje przy sześćdziesięciu skrzynkach wymagały dwóch i pół godziny. Wyładowywanie odbywało się z szybkością dwudziestu czterech skrzynek na godzinę. Ile jeszcze skrzynek pozostało w ładowniach? Musiałem to natychmiast sprawdzić, gdyż dysponowałem zaledwie dwoma butlami powietrza, w których początkowe dwieście atmosfer było już poważnie naruszone.

Zobaczyłem, jak lina się napina i stalowa siatka wędruje do góry, a dwaj nurkowie prowadzą ją za pomocą drągów, aby się nie zaczepiła o jakiegokolwiek przeszkody mogące się znajdować w pobliżu.

Zbliżyłem się aż do przeciwległej krawędzi otworu ładowni i pogrążyłem ostrożnie, zresztą niepotrzebnie aż z taką ostrożnością, gdyż lampa nurków rzuciła tylko mały krąg światła. Moje dłonie, zlodowaciałe już i obrzmiałe, napotkały rurę powietrzną i linę sygnałową. Szybko się cofnąłem. Pod sobą, po prawej stronie, zauważyłem wędrujące światło. Kilka poruszeń ramionami pozwoliło mi dotrzeć do jego źródła. Poruszało się, gdyż było umocowane do hełmu trzeciego nurka, znajdującego się w pancernym skarbcu. Skarbiec nie został otwarty kluczem przygotowanym przez firmę Yale, ale przy pomocy specjalnych palników, które wycięły w boku otwór o wielkości stu osiemdziesięciu na sto dwadzieścia centymetrów.

Zbliżyłem się do tego otworu i zajrzałem do środka. Umieszczona u sufitu lampa pozwoliła mi dostrzec skrzynki, ustawione rzędem pod otworem. Pozostało ich jeszcze sto dwadzieścia.

Coś przesunęło się po moim ramieniu, była to cienka linka nylonowa. Manewrował nią nurek numer trzy, aby zaczepić ją o rączkę skrzynki. Natychmiast się odsunąłem. Był odwrócony do mnie plecami. Wydawało mi się, że człowiek ten ma jakieś trudności. Mimo to udało mu się okręcić i zawiązać kilka węzłów na uchwycie skrzynki, następnie wyciągnąć nóż, przymocowany do pasa. Pomyślałem - po co? Ale nie trwało to długo. Pochylony numer trzy mógł dostrzec mnie kątem oka lub zostać zaalarmowany przez nagłe naciągnięcie się nylonowej linki, lub wyczuć coś, gdyby miał szósty zmysł bardziej wyostrojony niż mój.

Kiedy nurek przemieszcza się na głębokości dwudziestu, trzydziestu metrów, jego ruchy przypominają zwolniony film. Mimo tej powolności powiedziałbym, że numer trzy skoczył w moją

stronę z szybkością błyskawicy. W każdym razie, jak na mój gust, skoczył zbyt szybko. Byłem bardzo powolny - nie na skutek wagi mojego skafandra, ale przez obciążenie mojego mózgu. Kiedy wpadł na mnie, wykazałem refleks i reakcję worka z cementem. Trzymał swoje piętnaście centymetrów ostrza szpicem do góry, dłoń miał opuszczoną, a duży palec na wierzchu rękojeści. Był to sposób, w jaki tylko nieprzyjemni ludzie, mający zbrodnicze zamiary, trzymają ten rodzaj broni. Po jakiego diabła sięgnął po nóż? Było to prawdopodobnie zupełnie podświadome. Nie potrzebował noża dla zlikwidowania jednego czy dwóch ludzi takich jak ja. Był to Quinn we własnej osobie.

Przyglądałem się intensywnie, jak zahipnotyzowany. Oczekiwałem, że naciśnie dzwonek swojego telefonu. Ale skąd! Quinn nigdy nie potrzebował pomocy. Jego usta rozchyliły się w uśmiechu rajskiej rozkoszy. Maską do nurkowania, którą nosiłem, sprawiała, że nie można mnie było poznać, ale prawdopodobnie odgadywał, z kim ma do czynienia. Jego twarz miała wyraz twarzy świętego w momencie najwyższej ekstazy. Pozwolił się unieść wodzie, podkurczywszy kolana, aż znalazł się w pozycji czterdziestu pięciu stopni do linii równoległej i wtedy nagle rzucił się na mnie nabierając prawym ramieniem rozmachu.

W tym momencie ocknąłem się z hipnozy i odepchnąłem się lewą nogą od zewnętrznej ściany skarbcza. Rura doprowadzająca powietrze do Quinna przeszła obok mnie. Pociągnąłem za nią ze wszystkich sił w nadziei, że pozabawię mego przeciwnika równowagi. Ostry ból przeszył mi bok sięgając ramienia. Poczułem, że zostałem mocno pociągnięty za prawą rękę. Upadłem na wznak na pokład i przestałem widzieć Quinna; nie dlatego, że straciłem przytomność lub dlatego, że on się oddalił, ale dlatego, że zniknął w środku białej piany, burzącej się i bulgocącej. Rury powietrzne o dużej odporności są skonstruowane tak, by przetrzymać najgorszy sposób obchodzenia się z nimi, ale nie tak, aby wytrzymać cios bardzo ostrego sztyletu, zadany przez najsilniejszego człowieka, jakiego znałem. Quinn - zamiast mnie - przeciął swój własny dopływ świeżego powietrza.

Nic nie mogło go uratować od utopienia się pod ciśnieniem trzech czy czterech atmosfer. Woda wypełniała już pół jego kombinezonu. Wziąłem do rąk linkę, na wpół świadomie okręciłem nią jego gwałtownie poruszające się nogi. Chciałem być poza zasięgiem potężnych ramion, które jeszcze teraz mogły mnie unieruchomić lub złamać mi kark. Poza tym pomyślałem, że kiedy dwaj nurkowie, ściągnięci tu przez wypływające pęcherzyki powietrza, przybędą, aby sprawdzić, co się wydarzyło, dojdą do wniosku, że Quinn zaplątał się w nylonową linkę i że przeciął rurę powietrzną, próbując uwolnić się z pułapki. Wiązać nogi umierającego, zamiast mu pomóc, to nie jest zbyt rycerskie... Nie miałem jednak żadnych wyrzutów sumienia - ani w tej chwili, ani później. Quinn był tylko szaleńcem, potworem mordującym dla samej przyjemności mordowania. Nie myślałem zresztą o nim, lecz o więźniach, którzy również ryzykowali życie w lochach zamku. Pozostawiłem go i szybko się uniosłem, aby się ukryć pod sufitem ładowni.

Nurkowie numer jeden i numer dwa opuszczali się, rozwijając linkę sygnałową. Kiedy ich hełmy znalazły się poniżej moich nóg, przekroczyłem otwór w ładowni, uchwyciłem linkę utrzymującą siatkę i zacząłem drogę w górę. Odpoczywałem około dziesięciu minut na głębokości dwudziestu pięciu metrów. Kiedy mój głębokościomierz, umieszczony na przegubie, wskazał głębokość czterech metrów, zatrzymałem się na trzy minuty w celu dekompresji. Quinn już nie żył. Pozwoliłem się wynieść na powierzchnię zupełnie spokojnie i odnalazłem „Firecresta” bez trudności. Hutchinson pomógł mi wdrapać się na pokład, za co mu byłem głęboko wdzięczny.

- Jestem bardzo rad, że pana widzę, mój stary! - powiedział. - Nigdy nie wierzyłem, że pewnego dnia Hutchinson zepsuje sobie tyle krwi, ale przyznam się, że od pół godziny dosłownie nie żyję! Jak się panu powiodło?

- Bardzo dobrze... Mamy czas. Co najmniej pięć do sześciu godzin.

- Podnoszę kotwicę.

W trzy minuty później ruszyliśmy w chwili, gdy statek znajdował się pośrodku Beul nan Uamh, zwrócony dziobem na północny wschód, przeciw prądowi, zszedłem do sterówki. Zasłony były starannie zsunięte, zresztą zupełnie niepotrzebnie. Rozebrałem się i próbowałem przemyć paskudną ranę, która ciągnęła się od dołu moich żeber aż do ramienia. Dobiegł mnie odgłos włączenia automatycznego pilota i za chwilę pojawił się Hutchinson. Co myślał o mojej ranie? Gęsty zarost nie pozwolił mi odczytać wyrazu jego twarzy, ale milczenie było aż nadto wymowne.

- Co się wydarzyło? - spytał mnie wreszcie.

- Quinn. Spotkałem go w skarbcu.

Bez słowa pomógł mi przykleić gazę. Kiedy opatrunek został zakończony, powiedział:

- Quinn nie żyje. To nie było pytanie.

- Przeciął sobie rurę doprowadzającą powietrze - wyjaśniłem i następnie opowiedziałem o całym zajściu.

Nie wymieniliśmy nawet dziesięciu słów aż do Craigmore. Nie uwierzył mi. I nigdy nie uwierzy.

Wuj Arthur również mi nie uwierzył i nie uwierzyłby nawet w dniu śmierci. Ale on zareagował zupełnie inaczej: wiadomość bardzo go zadowoliła. Był rzeczywiście bezlitosny w takich sprawach. Najciekawsze, że wydało mi się, iż przywłaszcza sobie pięćdziesiąt procent zasługi w tej rzekomej egzekucji.

- Zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu - powiedział sącząc filiżankę herbaty - poprosiłem Calverta, aby odszukał to indywiduum i zniszczył je wszelkimi sposobami, jakie może zastosować. Muszę przyznać, że wybrał sposób naprawdę elegancki: przecięcie nożem rury... Czysto i dokładnie, mój chłopcze.

Charlotta Skouras uwierzyła mi. Dlaczego? Nie wiem. Ale mi uwierzyła. Zdjęła bandaż, przemyła ranę i zrobiła ładny opatrunek. Nie musiałem drzeć ze strachu, że burzę jej wyobrażenie na temat silnej woli tajnych agentów. Zamiast wrzeszczeć jak opętany, opowiedziałem jej całą historię, następnie podziękowałem za troskę i za zaufanie. Uśmiechnęła się do mnie.

W sześć godzin później, o dwudziestej drugiej czterdzieści, na dwadzieścia minut przed przewidzianą godziną odpłynięcia „Firecresta”, nie uśmiechnęła się już do mnie. Patrzyła ponurym wzrokiem kobiety zdecydowanej uzyskać coś i przeświadczonej jednocześnie, że nigdy to się nie

stanie.

- Bardzo żałuję, Charlott - powiedziałem do niej - ale to nie ma sensu. Nie może pani się tam udać z nami. Nie ma mowy.

Miała na sobie sweter i czarne spodnie, ubiór szczególnie wskazany do nocnej eskapady.

- Nie jedziemy na piknik - perswadowałem. - Sama powiedziała pani tego ranka, że nie obejdzie się bez strzelaniny. Nie chcę, żeby panią zabito.

- Pozostanę na dole, Philipie. Poza zasięgiem strzałów. Proszę mi pozwolić wam towarzyszyć. Bardzo pana o to proszę.

- Nie.

- Przecież powiedział pan, że zrobi dla mnie wszystko!

- Aby pani pomóc - tak, ale nie - aby panią zabito. Nie chcę, żeby pani przydarzyło się cokolwiek złego. Charlott.

- Naprawdę? Tak wiele dla pana znaczę?

Skinąłem głową z uśmiechem.

- Tak panu na mnie zależy?

Znów skinąłem głową. Przyglądała mi się długo oczyma pełnymi pytań, z wargami drżącymi od słów, których nie wypowiedziała. Następnie zrobiła krok w moją stronę, objęła mnie ramieniem za szyję, próbując mnie udusić. Przynajmniej ja tak sądziłem, mając zupełnie rozregulowany umysł po częstych spotkaniach z Quinnem. W rzeczywistości uczepliła się mnie, jak drogiej istoty, z którą żegna się ostatecznie. Może była jakimś medium, jasnowidzem, może widziała już biednego, nieruchomego Calverta, pływającego grzbietem do góry na ciemnych wodach w hangarze w Dubh Sgeir? Ja również mogłem sobie z łatwością wyobrazić taki obrazek. Powoli traciłem oddech i chciałem zareagować tak, jak powinienem w takich okolicznościach, gdy nagle oderwała się ode mnie, wypchnęła mnie z kajuty i zamknęła drzwi na klucz.

- Nasi przyjaciele są w domu - powiedział Tim Hutchinson.

Płynęliśmy wzdłuż południowych brzegów Loch Houron. Daleko na południe od Dubh Sgeir zatrzymaliśmy silnik. Dryfowaliśmy szybko po fali przyptywowej w kierunku północno-wschodnim.

- Miał pan rację - odezwał się znów Hutchinson. - Przygotowują się do ucieczki w świetle księżyca.

- Calvert ma zwykle rację - oświadczył wuj Arthur, dając w ten sposób do zrozumienia, że to on mnie wykształcił. - A co teraz, mój chłopcze?

Mgła przerzedziła się, zwiększając widzialność do stu metrów. Widziałem światło w kształcie litery T, była to szpara między nie domykającymi się drzwiami hangaru.

- Jesteśmy na miejscu. „Firecrest” ma cztery i pół metra szerokości, wrota sześć metrów, nie ma na nich znaku nawigacyjnego ani żadnego innego. Jest przyływ o szybkości czterech węzłów. Panie Hutchinson, czy jest pan pewien, że potrafimy dostać się do hangaru na tyle szybko, aby rozbić wrota i zatrzymać się, nim roztrzaskamy statek o skałę w głębi?

- Nie ma sposobu, aby się o tym dowiedzieć - odpowiedział Tim i wcisnął przycisk rozrusznika.

Diesel zaskoczył z łatwością. Hutchinson skręcił na najmniejszych obrotach na południe, popłynął czterysta metrów w tym kierunku, następnie czterysta metrów na zachód, powrócił na północ, szeroko otworzył przepustnicę silnika i zapalił cygaro. Przygotowywał się do walki. W świetle zapałki zobaczyłem człowieka spokojnego, skupionego... i nic poza tym.

Przez minutę sterował o kilka stopni w lewo od północy, biorąc poprawkę na znoszenie statku przez prąd. Przed nami była ciemność. Nagle ukazała się jaśniejsza litera T, troszkę na prawo od kadłuba, tak jak należało się tego spodziewać. Świetlista litera zbliżała się do nas. Wziąłem do lewej ręki pistolet maszynowy, otworzyłem lewe drzwi sterówki i zamocowałem je w pozycji otwartej. Czekałem. Prawą rękę oparłem o framugę, jedną nogą stałem na pokładzie, a drugą w sterówce. Z napiętymi mięśniami i lekko zgiętymi kolanami czekaliśmy na uderzenie. Wuj Arthur miał zająć taką samą pozycję po prawej stronie. „Firecrest” powinien był zatrzymać się dość gwałtownie...

W odległości czterdziestu metrów od wrót Hutchinson popuścił nieco dławiki i skręcił. Litera T przesunęła się jeszcze bardziej na prawo, by wreszcie ustawić się w linii prostej z nami i z pasem ciemnej wody na zachód od fosforyzującej, spienionej bieli oznaczającej punkt, w którym fala przyływu rwała obok zewnętrznego końca wschodniego falochronu. Po dwudziestu metrach Hutchinson znów otworzył przepustnicę silnika i „Firecrest” skoczył w stronę, gdzie musiał być niewidoczny dla nas falochron. Wydawało się, że znajdowaliśmy się zbyt na lewo, że za chwilę rozbijemy się dziobem o falochron. Nagle Hutchinson pchnął ster w prawo. W wyniku działania steru wspartego prądem przyływu statek skierował się na prawo i przeszliśmy bez naruszenia farby na łodzi wuja Arthura. Hutchinson wyłączył silnik. Pomyślałem, że gdybym do końca życia ćwiczył, nie byłbym zdolny do takiego manewru.

Uprzedziłem Hutchinsona, że pachołki znajdują się po prawej stronie hangaru i wobec tego tam powinna być zacumowana łódź nurków. Hutchinson poszedł więc pod kątem w kierunku części świetlnej szpary, następnie skierował ster w lewo, aby zaatakować wrota w samym środku. Na chwilę przed uderzeniem włączył silnik na „całą wstecz”. Plan nie przewidywał roztrzaskania dziobu „Firecresta” o ścianę hangaru, a tym samym zatopienia i łodzi, i nas.

Nasze wejście do hangaru nie było zbyt widowiskowe. Miałem nadzieję, że pęknie główny rygiel i że otworzą się oba drzwi, ale ustąpiły zawiasy i wpłynęliśmy do wnętrza pociągając za sobą wrota z niesłychanym hałasem. Równocześnie straciliśmy dobry węzeł szybkości. Przedni maszt, w którego aluminiowej osłonie ukrywała się teleskopowa antena wuja Arthura, zaczepił o okap i z nieprzyjemnym metalicznym dźwiękiem złamał się tuż pod poziomem sterówki, w wyniku

czego straciliśmy następny węzeł. Śruba, która obracała się z pełną szybkością w tył, odebrała nam również jakiś węzeł. Mimo to mieliśmy jeszcze trochę szybkości, kiedy kadłub wcisnął się jak róg między lewą keję hangaru a prawą stronę kadłuba szalupy nurków. W chwilę później unieruchomiło nas brutalne uderzenie. W hangarze rozległ się huk pękającego drewna. Na szczęście były to wrota wiszące na naszym dziobie, a nie burty naszego statku, chronione w dodatku przez zawieszane na nich opony. Psyche Arthura musiała być równie posiniaczona i poszarpana jak poszycie klepkowe jego ukochanego „Firecresta”. Hutchinson dodał gazu, aby nie pozwolić statkowi cofnąć się po uderzeniu, włączył silny reflektor nie po to, aby oświetlić hangar, oświetlony już dostatecznie, lecz po to, by oślepić widzów.

Wyszedłem na pokład z pistoletem maszynowym w rękach. Zobaczyliśmy, jakby to przewodniki turystyczne opisały, scenę krzątania lub dokładniej tego, co było krzątaniem, nim nasze pojawienie się unieruchomiło ludzi na ich stanowiskach. Z ładowni szalupy tkwiącej po prawej stronie klasycznego statku rybackiego o długości dwunastu metrów, bliźniaczo podobnego do „Charmaine”, przyglądały nam się trzy pary oczu. Na pokładzie dwóch ludzi trzymało skrzynkę. Trochę dalej trzeci podnosił ramiona do innej skrzynki, kołyszącej się na linie żurawia. I ta właśnie skrzynka była jedynym ruchomym przedmiotem. Osobnik obsługujący windę ładunkową, podobny do pseudocelnika Thomasa, przyciskał jeden z drążków do piersi, odpychając drugi wyciągniętym, sztywnym ramieniem, tak jakby lawa Wezuwiusza unieruchomiła go dwadzieścia wieków temu. Inni ludzie pochyleni nad wodą, w głębi hangaru, przerwali wyciąganie umocowanej na linie wielkiej skrzyni, którą dwaj płetwonurkowie pomagali wyciągnąć nad wodę. Po lewej stronie nadzorował operację kapitan Imrie wraz z Dollmannem i Lavorskim. To był wielki dzień, realizacja ich wielkiego dzieła. Nie chcieli stracić kęsa łupu.

Mnie interesowało szczególnie właśnie to trio. Posunąłem się naprzód po pokładzie, aby uzyskać większe pole ostrzału i pokazać tym panom, że znajdują się w zasięgu mojego ognia.

- Zbliżcie się wszyscy trzej - rozkazałem. - Kapitanie Imrie, proszę powiedzieć swoim ludziom, że jeśli się poruszą, zabiję pana. Zlikwidowałem już czterech kolesiów, mogę do tej liczby dodać jeszcze trzech. Zresztą taki nędznik jak pan zasługuje raczej na śmierć niż na piętnaście lat więzienia, które przewidują nowe prawa. Wierzy mi pan, kapitanie?

- Tak. - Jego gardłowy głos był głęboki i poważny. - Pan zabił Quinna dziś po południu.

- Zasługiwał na śmierć.

- Powinien był dostać pana na „Nantesville”. Nie bylibyście wówczas tutaj.

- Przejdziecie na „Firecresta”. Jeden po drugim. Przede wszystkim pan, Imrie. Jest pan w tej chwili najbardziej niebezpieczny. Następnie Lavorski. Następnie...

- Stać nieruchomo!... Zupełnie nieruchomo! - usłyszałem za plecami. Głos był zupełnie bezbarwny, ale pistolet naciskający na mój kręgosłup mówił sam za siebie. - Krok do przodu i proszę podnieść prawe ramię, nie dotykając pistoletu maszynowego. - Podporządkowałem się, trzymając broń już tylko za lufę. - Położyć pistolet na pokładzie.

Jako maczuga nie przydałby mi się na nic. Usłuchałem. Dwa czy trzy razy pozwalałem się schwycić w pułapkę, więc żeby pokazać, że jestem prawdziwym zawodowcem podniosłem obie ręce nad głowę i wolno się odwróciłem.

- No, no! Charlotta Skouras! - W tym przypadku wiedziałem również, jak postąpić. Wiedziałem, co robić, co mówić i jakim tonem - omamiony agent, kpiący, ale mimo to gorzki. - Co za spotkanie! W jaki sposób, do diabła, udało się pani tutaj dostać, droga przyjaciółko?

Była wciąż ubrana w ciemny sweter i spodnie, ale nie tak schludne jak zeszłym razem, gdy je widziałem, bo gruntownie przemoczone. Twarz trupio bladą i bez wyrazu. Brązowe oczy - nieruchome.

- Wyszedłem z pokoju przez okno i ukryłem się w tylnej kabinie.

- Znakomicie. Powinna była pani zmienić odzież.

- Proszę zgasić reflektor - rozkazała Hutchinsonowi.

- Niech pan jej zrobi tę przyjemność - powiedziałem.

Posłuchał i zostaliśmy na łasce piratów.

- Proszę wrzucić rewolwer do wody, admirale - odezwał się Imrie.

- Niech pan posłucha rady tego dżentelmena - poradziłem.

Wuj Arthur wykonał polecenie. Imrie i Lavorski skierowali się do nas, pewni siebie. Mogli się tak czuć, gdyż w tajemniczy sposób zakwitły rewolwery w dłoniach trzech ludzi w ładowni, dźwigowego i dwóch innych, którzy ukazali się spoza sterówki szalupy.

- Byliśmy oczekiwani! - stwierdziłem widząc tę organizację.

- Naturalnie, że tak - odpowiedział jowialnie Lavorski. - Nasza przyjaciółka, Charlotta, uprzedziła nas co do minuty o waszym przybyciu. O tym pan nie pomyślał, Calvert?

- Skąd pan zna moje nazwisko?

- Dzięki Charlotcie, biedny głupcze. Naszym jedynym błędem było niedocenienie pańskich zdolności.

- Pani Skouras posłużyła wam jako wtyczka.

- Powiedzmy raczej: jako przynęta - odpowiedział mi Lavorski, zacierając ręce. Prawdopodobnie niedługo zacznie się śmiać do łez, kiedy będą mnie ćwiartować.

- Połknął pan tę przynętę, haczyk, pływak i całą resztę, Calvert. Czarująca przynęta, wyposażona w mały nadajnik radiowy i rewolwer w worku plastikowym. Zresztą nadajnik pochodzi

z waszego prawego diesla... Ha! ha! ha! Od chwili opuszczenia Torbay nie zrobiliście ruchu, którego byśmy nie znali. Co pan o tym myśli, panie tajny agencie, Philipie Calvert?

- Nic dobrego. Co z nami zrobicie?

- O, teraz się bawimy w grzeczne dziecko... Pytamy naiwnie, co z nim zrobimy... Chyba pan wie, Calvert. Ja natomiast chciałbym wiedzieć, w jaki sposób odnalazł pan tę kryjówkę?

- Nie odpowiadam mordercom.

- Świetnie - zgodził się Lavorski. - Umieścimy więc pierwszą kulę w stopie admirała, po minucie drugą w łydce, następnie trzecią w udzie, następnie...

- Zrozumiałem - przerwałem. - Mieliśmy nadajnik na pokładzie „Nantesville”.

- O tym wiedzieliśmy. Ale w jaki sposób odnalazł pan Dubh Sgeir?

- Dzięki statkowi geologów z Oxfordu. Był zakotwiczony od dziobu i rufy w małej, naturalnej zatoczce bez skał, a mimo to został mocno uszkodzony. Niemożliwe żeby ta dziura powstała sama w takim miejscu. W związku z tym ktoś pomógł jej powstać. Byli za blisko was. Baliście się, bo wystarczyło, by odbili od przystani, a znaleźliby się na wprost hangaru i zakotwiczonej łodzi nurków. To posunięcie było bardzo niezdarne...

- Wiedziałem, że on to zauważy! - warknął Lavorski odwracając się w stronę Imriego. - Odradzałem wtedy. Co jeszcze, Calvert?

- Donald McEachern na Eilean Oran. To jego trzeba było porwać, a nie jego żonę. Następnie Susan Kirkside. Nie powinniście pozwolić jej na spacer z podkrążonymi oczyma. Czy ktokolwiek widział młodą, tryskającą zdrowiem dziewczynę z takimi podkrążonymi oczyma? Zdrowa, dwudziestojednoletnia, bez żadnych zmartwień... Wreszcie ślad pozostawiony przez ogon samolotu na skraju przepaści, w tym miejscu, gdzie wyekspediowaliście do wody maszynę starszego syna Kirkside'a. Należało zatrzeć ślad. Widziałem go z pokładu helikoptera.

- Czy to wszystko?

Skinąłem głową. Lavorski spojrzał na Imriego.

- Myślę, że mówi prawdę - stwierdził kapitan. - Nikt nie puścił pary z gęby. Zresztą o tym właśnie chcieliśmy się przekonać... Zaczynamy od Calverta?

Szybko, skutecznie, znakomita ekipa, pomyślałem sobie. - Jeszcze dwa pytania - powiedziałem. - Chciałbym wiedzieć o dwóch sprawach przed śmiercią. Z pewnością mnie zrozumiecie, między zawodowcami można się porozumieć.

- Zgoda, ale tylko dwie minuty. Spieszmy się.

- Gdzie znajduje się sir Anthony Skouras? Powinien być tutaj.

- Jest w zamku, na górze, z lordem Kirkside i lordem Charnleyem. „Shangri-la” stoi zakotwiczony w małej zachodniej przystani.

- Dziękuję. Drugie pytanie. Czy zgadza się, Lavorski, że pan z Dollmannem wymyśliliście te wszystkie machinacje, że wymusiliście na Charnleyu zdradę tajemnic Lloyda? Że Dollmann wybrał Imriego do rekrutacji ekipy zbirów? I że wszyscy jesteście odpowiedzialni za porwanie i zatopienie statków, z których następnie wydobywaliście cenne ładunki? Odpowiedzialni równocześnie bezpośrednio i pośrednio za śmierć naszych ludzi?

- Jest już trochę za późno, aby przeczyć faktom - odpowiedział śmiejąc się głośno Lavorski. - To było dobrze rozegrane, prawda John?

- Bardzo dobrze. Ale tracimy czas - warknął z zimną wściekłością Dollmann.

Odwróciłem się do Charlotty mierzącej ciągle do mnie z rewolweru.

- Mam umrzeć - powiedziałem jej. - Wobec tego, że dzieje się to z pani winy, niech pani dokończy dzieła, które pani zaczęła.

Ująłem jej prawą rękę, pociągnąłem ją tak, aby broń oparła się o moją pierś i opuściłem ramiona.

- Pospiesz się - powiedziałem.

Stłumiony wydech naszego diesla mącił ciszę. Wszystkie oczy skierowane były na mnie. Stałem odwrócony plecami do całego towarzystwa, będąc pewien, że wszyscy patrzą na mnie, zresztą w tym właśnie celu dokonałem dramatycznego gestu.

Wuj Arthur zrobił krok przez prawe drzwi.

- Czy pan zwariował, Calvert! Zabije pana. Ona jest jedną z nich...

Ciemne oczy aktorki zastygły, innego określenia na to nie było. Były to oczy kobiety, która widzi, jak świat ucieka jej spod nóg. Palec oderwał się od cyngla, dłoń powoli się rozwarła, rewolwer upadł ze szczękiem, który ustokrotnił się echem w hangarze i otaczających go galeriach. Ująłem lewą rękę damy.

- Wydaje mi się - powiedziałem - że pani Skouras nie stanęła na wysokości zadania. Trzeba będzie znaleźć kogoś innego do... - Okrzyk bólu Charlotty zagłuszył moje słowa, kiedy uderzyła nogami o wysoki próg sterówki, do której ją wrzuciłem, być może gwałtowniej niż wymagała tego elegancja. Ale nie była to chwila, kiedy można byłoby ryzykować. Hutchinson czuwał. Schwycił damę i usunął ją z drogi znikając również. W następnej sekundzie rzuciłem się szczupakiem za nimi w otwarte drzwi z szybkością zawodnika drużyny rugby, który czuje, że chwytą go dwanaście rąk w odległości dwóch metrów od linii bramkowej. Mimo to zostałem pokonany. Przez wuja Arthura. Wykazał wysokiej klasy instynkt samozachowawczy...

Nagle rozległ się głos, wzmocniony przez akustykę groty, w której hucząc, odbijał się od

ściany:

- Nie strzelajcie!... W przeciwnym razie zginiecie. Pistolety maszynowe skierowane są na każdego z was. Odwróćcie się powoli i spójrzcie.

Podniosłem się na kolana i spojrzałem na zewnątrz przez bulaj sterówki, następnie wstałem i wyszedłem na pokład. Schyliłem się po mój pistolet maszynowy, był to zresztą najbardziej śmieszny i niepotrzebny ruch, jaki zrobiłem kiedykolwiek, gdyż jeśli w hangarze było czegoś za wiele - to z pewnością ogromnej liczby pistoletów maszynowych. Było ich dwanaście, zawieszonych na dwunastu ramionach, trzymany przez dwanaście par rąk, najsilniejszych i najbardziej zdecydowanych rąk, jakie można sobie wyobrazić. Rąk komandosów. Dwunastu wspaniałych ludzi, ustawionych w półkole w głębi hangaru, potężnych, spokojnych, zdecydowanych, w wełnianych beretach na głowach, w bluzach i spodniach o szaroczarnych barwach maskujących, w gumowych butach...

Ich ręce i twarze były koloru węgla. Oczy świeciły białą niczym w przedstawieniu, w którym występują biali ucharakteryzowani na Murzynów.

- Ręce do góry! Rzućcie broń! - rozkazał jeden z tych ludzi, niczym nie wyróżniający się spośród pozostałych.

Koniec zabawy - pomyślałem z ulgą.

- Żadnych głupstw. Rzućcie broń i nie ruszajcie się brzmiała komenda. - Moi ludzie są strzelcami wyborowymi i otworzą ogień przy najmniejszym alarmie. A zapewniam, że umieją tylko zabijać, nie nauczono ich ranić czy kaleczyć.

Piraci uwierzyli mówcy, ja również. Broń spadła na pokład. Zapanowała cisza.

- Splećcie dłonie na karku!

Zrobili to. Z wyjątkiem jednego: Lavorskiego.

Do diabła, ale ci chłopcy byli doskonale wytrenowani! Nie padło ani jedno słowo, nie zrobiono żadnego ruchu, ale strzelec stojący najbliżej Lavorskiego zbliżył się cicho na bezszelestnych podszwach i kolba pistoletu maszynowego zrobiła niewielki ruch. Kiedy Lavorski wstał z twarzą we krwi, wydawało mi się, że widzę dziurę w miejscu, gdzie człowiek ma zęby. Splótł ręce na karku.

- Pan Calvert? - spytał dowódca komandosów.

- Tak, to ja.

- Jestem kapitan Rawley z komandosów marynarki.

- Zamek?

- W naszych rękach.

- „Shangri-la”?

- Również.

- Więźniowie?

- Dwóch moich ludzi poszło na górę, aby ich uwolnić.

- Ilu strażników ma pan na górze? - spytałem Imriego. Kapitan splunął na pokład bez odpowiedzi. Człowiek, który zatroszczył się o Lavorskiego, podniósł pistolet maszynowy.

- Dwóch - odpowiedział Imrie pośpiesznie.

- Czy dwóch pańskich ludzi wystarczy, kapitanie Rawley?

- Mam nadzieję, że strażnicy nie będą na tyle głupi, żeby stawiać opór, panie Calvert.

Zaledwie skończył mówić, gdy krótki terkot broni maszynowej rozległ się w górze schodów. Rawley wzruszył ramionami.

- Teraz już się niczego nie nauczą! Robinson, proszę pójść na górę i otworzyć drzwi. Sierżancie Evans, ustawcie tych ludzi przy murze w dwóch szeregach, na przemian: jeden stoi, drugi siedzi.

Evans ustawił piratów. Nie ryzykowaliśmy już teraz, że możemy być wzięci w dwa ognie i wysiedliśmy na ląd. Przedstawiłem wuja Arthura kapitanowi Rawleyowi oczywiście z pełnym wojskowym rytuałem. Salut, oddany przez kapitana admirałowi, przynosił zaszczyt całej armii angielskiej. Wuj rozpromienił się aż po uszy

- Nadzwyczajnie, mój chłopcze - powiedział do Rawleya. - Nadzwyczajnie! Niech pan dobrze przejrzy listę wyróżnień na pierwszego stycznia. Z pewnością pana zainteresuje. Ale co to! Widzę kilku naszych przyjaciół.

W grupie, która ukazała się u szczytu schodów, brak było zwartości. Na czele szło czterech nieznajomych, o twarzach twardych lecz wyraźnie zgnębionych - bez wątpienia bandziory Imriego. Za nimi schodzili sir Anthony Skouras i lord Charnley, eskortowani przez czterech ludzi, których pewne dłonie wskazywały, że są spod znaku ekipy Rawleya. Na końcu szedł lord Kirkside i jego córka, Susan. Co myśleli żołnierze, nie umiałbym powiedzieć, w każdym razie inni nie ukrywali całkowitego zaskoczenia.

- Mój drogi Kirkside! Mój drogi przyjacielu! - zawołał wuj Arthur zbliżając się, aby uścisnąć rękę właściciela zamku. - Jestem szczęśliwy, że znajduję pana żywego i zdrowego. Koniec koszmaru.

- Co się dzieje? - spytał lord Kirkside. - Czy pan ich wszystkich... schwytał? ... Wszystkich? ... Gdzie jest mój syn? Gdzie jest Rollinson? ... Co to?

W górze rozległa się przytłumiona eksplozja. Wuj Arthur spytał wzrokiem Rawleya.

- Ładunek plastyku, admirale.

- Doskonale, doskonale! Za minutę zobaczy ich pan, Kirkside. - Z tymi słowami skierował się w stronę skalnej ściany, gdzie stary Skouras stał w szeregu obok piratów, z dłońmi splecionymi na karku. Wziął go za ramiona, ustawił je w normalnej pozycji i potrząsnął jego prawą dłonią tak mocno, jakby chciał ją wyrwać ze stawów.

- Postawiono pana po złej stronie, mój stary Toni. Proszę pójść za mną. - Wuj Arthur przeżywał jedną z najwspanialszych godzin w swoim długim życiu. Przyholował Skourasa do lorda Kirkside. - Co za straszliwy koszmar - powiedział.

- Co za koszmar. Ale teraz to już koniec.

- Dlaczego pan to zrobił? - spytał drżącym głosem Skouras. - Zło, które panu...

- Czy pan mówi o pani Skouras? - przerwał wuj Arthur spoglądając na zegarek. - Chcę powiedzieć, o Madeleine, o prawdziwej i jedynej pani Skouras? Wsiadła z samolotu Nicea - Londyn przed trzema godzinami. Jest obecnie w londyńskiej klinice.

- Co to wszystko znaczy? Pan nie wie, co mówi! Moja żona...

- Pańska żona jest w Londynie, mój stary Toni. Wiemy doskonale o tym, że obecna tu Charlotta nazywa się Charlotta Meiner i nigdy nie nosiła innego nazwiska.

Przyglądałem się Charlocie i zobaczyłem na jej twarzy zaskoczenie: nic nie rozumiała. Nagle w jej oczach zatlił się nieśmiały płomyk nadziei.

- Wiemy, co się wydarzyło - powiedział wuj. - Na początku roku, kiedy zaczęło się nagminne znikanie statków, Lavorski i Dollmann porwali i ukryli pańską żonę, Madeleine Skouras, aby w ten sposób zmusić pana do współpracy. Zazdrościli panu pańskich milionów i pańskiej potęgi, Toni. Wymyślili całą tę piracką aferę, posuwając swoją bezczelność nawet do inwestowania łupów w pańskie cesarstwo. Madeleine udało się uciec. Ich sytuacja stała się tragiczna. Na nieszczęście znali oni głębokie więzi przyjaźni, łączące Madeleine Skouras z aktorką, Charlottą Meiner. Zagrozili więc pani Skouras śmiercią Charlotty, jeśli nie zniknie po raz drugi. Madeleine poddała się. Ogłosili jej śmierć na Riwierze Francuskiej, następnie strzeliła im do głowy wspiana myśl, aby zawiesić dwa miecze Damoklesa nad pańską głową i zmusić pana, by podporządkował się ich każdemu skinieniu. Postanowili zatrzymać Charlottę i Madeleine, rozprzestrzeniając jednocześnie słuchy o pańskim małżeństwie z Charlottą, co z jednej strony definitywnie grzebało Madeleine, a z drugiej ułatwiało im kontrolę.

Wuj Arthur był zbyt delikatny, aby poinformować, że zaburzenia psychiczne, na które cierpiała Madeleine Skouras, spowodowane przez uszkodzenie mózgu podczas wypadku samochodowego dwa lata temu, pogłębiły się w okresie jej „śmierci” tak, że nieszczęśliwa nigdy już nie opuści szpitala.

- W jaki sposób udało się panu to odgadnąć? - spytał lord Kirkside.

- Myśmy nic nie odgadli. Należy oddać sprawiedliwość moim współpracownikom -

odpowiedział wuj Arthur głosem dającym do zrozumienia, że to on ich wszystkiego nauczył. - We wtorek o północy Hunslett przekazał mi drogą radiową listę osób, na temat których Calvert domagał się natychmiastowych i dokładnych danych. „Shangri-la” przechwyciło tę depeszę, nie rozumiejąc jednak, o co chodzi, gdyż nazwiska przekazujemy zawsze kodem. Następnie Calvert powiedział mi, że tego wieczoru sir Anthony odegrał przed nim komedię. Nie wszystko jednak było grą. Ból po śmierci Madeleine wydał się Calvertowi prawdziwy. Człowiek, który tak kocha żonę - jak mi powiedział - nie żeni się w dwa czy trzy miesiące później bez ważnej przyczyny. Przyczynę widział tylko jedną: Madeleine Skouras żyje, została porwana, a sir Anthony jest przedmiotem szantażu. Zadzwoń do policji francuskiej, która otworzyła grobowiec Madeleine Skouras na cmentarzu w Beaulieu, sąsiadującym z kliniką, w której rzekomo umarła biedna kobieta. Trumna wypełniona była szczapami drewna. Pan o tym wiedział, Toni?

Stary Skouras skinął głową, sprawiając wrażenie, jakby śnił.

- W pół godziny później policja francuska zidentyfikowała lekarza, który podpisał zezwolenie na pogrzeb i tego samego wieczora odnalazła go, oskarżając o morderstwo. We Francji na oskarżenie takie pozwalał brak ciała w trumnie. Lekarz natychmiast zaprowadził przedstawicieli władzy do swojej kliniki i przekazał im więzioną tam Madeleine Skouras. Ten miły lekarz, przełożona pielęgniarek i jeszcze kilka innych osób znajdują się obecnie w więzieniu w Nicei. Mój biedny Toni, dlaczego pan nas nie wezwał?

- Mieli w swoich rękach Charlotte. Grozili, że natychmiast zamordują Madeleine. Co by pan zrobił?

- Nie wiem - odpowiedział szczerze wuj Arthur. - W każdym razie Madeleine Skouras czuje się bardzo dobrze. Dziś o piątej rano potwierdzono to Calvertowi drogą radiową... Nadajnikiem, który zainstalował w zamku Lavorski.

Sir Anthony Skouras i lord Kirkside, wstrząśnięci, milczeli, Lavorski wypluwał ciągle kawałki zębów, a Dollmann sprawiał wrażenie uderzonego maczugą. Charlotta otworzyła oczy - więcej niż ogromne - i przyglądała mi się nimi w sposób szczególny.

- To prawda - odezwała się Susan. - Byłam razem z nim. Prosił mnie, abym nikomu o tym nie mówiła. - Podeszła do mnie, wzięła za rękę, mile się uśmiechając. - Proszę mi wybaczyć to wszystko, co powiedziałam tej nocy. Jest pan najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam, naturalnie wyłączając Rolly'ego.

Na schodach rozległy się kroki. Odwróciła się i nagle zapomniała o najwspanialszym mężczyźnie, jakiego kiedykolwiek spotkała.

- Rolly! - zawołała. - Rolly!

Widziałem, jak Rollinson napiął mięśnie. Na schodach znajdowali się wszyscy: młody Kirkside, szlachetnie urodzony Rollinson, bracia bliźnięta McDonaldownie, załogi małych zaginionych statków i wreszcie niska, pomarszczona staruszka w długiej, czarnej sukni i czarnym szalu zarzuconym na głowę. Podeszedłem do niej i uścisnąłem jej rękę.

- Pani McEachern - powiedziałem - za chwilę odprowadzę panią do domu. Pani mąż czeka na panią.

- Dziękuję, młody człowieku - odpowiedziała spokojnym głosem. - Cieszę się z tego.

Wysunęła swoją dłoń z mojej i ujęła mnie za ramię, jakby to była jej własność. Charlotta zrobiła dokładnie to samo. Naturalnie pozwoliłem jej na to i przyznam się, że pozwoliłem z całą przyjemnością.

- Znał pan moją grę, Philipie? Rozszyfrował ją pan od samego początku?

- Tak - wyręczył mnie wuj. - Ale nigdy nie chciał mi tego jasno wytłumaczyć.

- Nie było to trudne, znając fakty, oczywiście. To sam sir Anthony uczulił mnie na panią. Pomówmy więc przede wszystkim o nim. Kiedy we wtorek wieczorem przybył na pokład „Firecresta”, próbował we mnie wmówić, że jakiś nieznany osobnik rozbił mu aparat radiowy, tak samo jak i mnie, i w konsekwencji to nie on był winien przestępstwa. Wyciągnąłem z tego jednak zupełnie odwrotny wniosek. Ofiara - powiedziałem sobie - udałaby się do Torbay, by złożyć skargę w policji, względnie telefonowałaby do Glasgow, a nawet do Londynu. Jeśli pojawił się tu, oznacza to, że sam dokonał przestępstwa. Następna niezręczność - proszę mi wybaczyć, sir Anthony - wzmocniła moje podejrzenie. Sugerował pan, że niszczyciel aparatów radiowych zdemolował być może obie publiczne kabiny telefoniczne w Torbay. Ale gdyby nawet tak się stało, nie odizolowałoby to wyspy, gdyż wielu mieszkańców ma własne telefony w mieszkaniach. Myślał pan, że to może być podejrzan, jeśli zacznie pan mówić o przecięciu samych linii telefonicznych. Wywnioskowałem więc, że i za to ponosi pan odpowiedzialność. Poza tym McDonald mówił mi o panu w samych superlatywach, podczas gdy na pokładzie „Shangri-la” zachowywał się pan potwornie. Coś w tym wszystkim nie grało. Jest również prawdą, że melodramat, którym popisał się pan na pokładzie, przekonał mnie dosłownie tylko na minutę. Człowiek, który mówi o swojej pierwszej żonie z tak ogromną tkliwością po trzydziestu latach wspólnego pożycia, nie może przekształcić się w kata w stosunku do swojej drugiej żony, i to zaledwie w kilka tygodni po ślubie. Tym bardziej w stosunku do tak czarującej osoby jak Charlotta.

- Ach!... Dziękuję, Philipie.

- Kiedy posłał pan Charlotte po portret Madeleine, sir Anthony, wiedziałem, że pana do tego zmuszono. Kto? Lavorski i Dollmann. A jeśli pani się na to zgodziła, pani, dumna Charlotta Meiner, znaczyło to, że została również do tego zmuszona. Prawdopodobnie przez te same osoby. Innymi słowy, przedstawienie na pokładzie „Shangri-la” było zmontowane z wielu sztuk. Sir Anthony grał swoją rolę, a Charlotta swoją. Nasuwa się pytanie: dlaczego? Dlatego, że mały aparat radiowy ukryty w maszynowni „Firecresta”, który tak dobrze informował Lavorskiego o naszych ruchach, musiał po pewnym czasie zostać ujawniony. Potrzebne więc było nowe źródło informacji. Na przykład Charlotta, wyposażona w nadajnik. Ale jak posłać ją na nasz statek? To bardzo proste. Zamieniono ją w ofiarę na „Shangri-la” i rozkazano, by uciekła. Kiedy znaleźliśmy Hunsletta, oczekiwałem pojawienia się Charlotty. I rzeczywiście, przybyła z podbitym okiem, dla lepszego efektu. Zresztą farba zaczyna już znikać, co można zauważyć jeśli się lepiej przypatrzeć oku... I z trzema okropnymi pręgami od uderzenia biczem. Do plastikowej torebki włożyli pani pistolet i mały

nadajnik. „Proszę być posłuszna, Charlotto, w przeciwnym razie Madeleine Skouras będzie cierpieć... „

- Właśnie dokładnie tak mi powiedzieli - wyszeptała aktorka.

- Podczas wojny wzrok sir Arthura został poważnie uszkodzony. Ale nie mój. Mam bardzo dobre oczy, co pozwoliło mi zauważyć autentyczność pręg po uderzeniu biczem, ale również ślady ukłuć po znieczulającej blokadzie, którą zaaplikowano pani przed biczowaniem.. A więc istniała odrobina człowieczeństwa w całej tej sprawie.

- Mogłem znieść wiele rzeczy - szepnął głuchym głosem Skouras - ale tego - nie.

- To pan właśnie domagał się znieczulenia, sir Anthony. Wiem o tym. Tak samo, jak domagał się pan zagwarantowania życia tym wszystkim, którzy zostali porwani. Osiągnął pan swój cel, grożąc przekazaniem całej sprawy policji, bez względu na konsekwencje. Wracając do śladów na pani plecach, odgadłem od razu prawdę. Przejechałem po pani paznokciem, Charlotto. Powinna była pani skoczyć z bólu do sufitu. A pani nawet nie drgnęła. I to po słonej wodzie. Potwierdziło to moje przypuszczenia. Wobec tego, że na szczęście była pani razem z nami, Charlotto, chciałem wykorzystać panią dla naszych celów. Powiedziałem, że opuścimy Torbay przed godziną pierwszą. Natychmiast pobiegła pani do swojej kabiny, aby uprzedzić o tym Lavorskiego. Ten wysłał Quinna, Jacquesa i Kramera na godzinę przed terminem, który podała nam pani na jego rozkaz. Chcieli nas zaskoczyć. Muszę tu stwierdzić, że Madeleine Skouras ma w pani oddaną przyjaciółkę. Miała pani tylko jeden wybór: jej życie albo nasze. Zdecydowała się pani bez wahania. Ale ja oczekiwałem tych panów. Jacques i Kramer zginęli. Poinformowałem panią następnie, że płyniemy do Eilean Oran i Craigmore. I znów szybko pobiegła pani do swojej kabiny i przekazała to Lavorskiemu. Zresztą nie mogło go to zaniepokoić... Później mówiłem pani o Dubh Sgeir. I znów podreptała pani do kabiny, ale... tym razem nie mogłem zgodzić się na to, aby uprzedziła pani swoich przyjaciół, którzy zorganizowaliby komitet powitalny. I dlatego poczęstowałem panią kawą z mojej własnej mieszanki. Zasnęła pani natychmiast po wejściu do kabiny, na dywanie.

- Na dywanie? ... A więc wszedł pan do mojej kajuty?

- Don Juan jest dzieckiem w porównaniu ze mną. Wchodzę i wychodzę z pokoiów pań, nic sobie z tego nie robiąc. Proszę się spytać Susan Kirkside. Jednym słowem położyłem panią na łóżku, ale przy tym przyjrzałem się pani rękom. Ślady sznura zaczęły już znikać. Prawdopodobnie zrobiono je za pomocą gumowej rurki na chwilę przed moim przybyciem z Hunslettem na „Shangri-la”.

Skinęła twierdząco głową.

- Wracając do mojej wizyty w pani kabinie... przy okazji stwierdziłem, że ma pani nadajnik i rewolwer. W Craigmore zjawiała się pani po to, by ze mnie wszystko wyciągnąć, ale od tej chwili zaczął się u pani kryzys. Powiedziałem pani prawdę, zaufałem pani. Oczywiście, powiedziałem tylko to, co miała pani przekazać Lavorskiemu. Spełniła pani moją niemą prośbę, jak miła, mała dziewczynka. I znów podreptała pani do swej maleńkiej białej sypialni.

- Philippe Calvert - powiedziała oschle - jest pan najobrzydliwszym kłamcą, oszustem, naj...

- Lavorski ma przecież swoich ludzi na pokładzie „Shangri-la” - wtrącił nagle Skouras, który powoli odnajdował swoje miejsce wśród ludzi. - Oni mogą...

- Zarobić dożywocie - powiedziałem. - Są już skuci albo w inny sposób unieszkodliwieni.

- A więc odnaleźli „Shangri-la”? To przecież niemożliwe w tej gęstej mgle i podczas nocy...

- A propos - odezwałem się - jak się sprawuje motorówka ze „Shangri-la”?

- Motorówka? Jest uszkodzona. Skąd pan o tym wie?

- Wszyscy wiedzą doskonale o tym, że cukier kryształ nie jest zbyt dobry dla silników spalinowych. Chcę zauważyć, że każdy inny cukier również, jeśli wrzucić go do zbiorników paliwa, ale niestety, w środę wieczorem miałem pod ręką tylko kryształ. Zawory na pewno są zniszczone. Korzystając z okazji przymocowałem niewielki automatyczny nadajnik radiowy, zasilany suchymi bateriami po wewnętrznej stronie tylnej ściany komory kotwicy. Miejsce, do którego nie zagłęda się nawet raz na rok. Od chwili wciągnięcia motorówki na pokład podążaliśmy za wami krok za krokiem.

- W jaki sposób? Nie rozumiem pana.

- Proszę przyrzeć się panom Lavorskiemu, Dollmannowi i Imrie. Ci rozumieją mnie doskonale. Znam częstotliwość tego nadajnika. Podałem ją więc szyprom ligrów naszego przyjaciela, Hutchinsona, którzy naturalnie ustawili swoje gonio na tę właśnie częstotliwość. I oto cała sztuka. Wystarczyło przekręcić ramkę, poszukać najgłośniejszego i najwyraźniejszego sygnału i odczytać położenie. Nie można się pomylić. I oni rzeczywiście się nie pomylili.

- Szyprowie Hutchinsona? - powtórzył zdumiony Skouras.

Na szczęście nie grzeszyłem zbytnią skromnością. W przeciwnym bowiem razie nie wiem, co by się ze mną stało, tym bardziej że z jednej strony miałem uwieszoną na moim ramieniu panią McEachern, z drugiej Charlottę i masę oczu skierowanych na mnie. Nie wszystkie były przyjazne.

- Tim Hutchinson - wyjaśniłem - ma dwa wielkie motorowe barkasy, które służą do polowań na rekiny. Wczoraj wieczorem przed udaniem się do Dubh Sgeir wykorzystałem radiostację jednego z nich, aby wezwać pomoc. Chodziło właśnie o uzbrojonych panów, których widzi pan przed sobą. Londyn odpowiedział mi, że przy takiej pogodzie i widzialności równej zeru nie może wysłać mi ani statku, ani helikoptera. Oświadczyłem, że jeśli idzie o helikoptery, to dobrze się składa, gdyż za wszelką cenę chciałem uniknąć udziału tych głośnych maszyn w operacji. Obowiązywała przecież absolutna dyskrecja. Jeśli natomiast chodzi o transport morski, zapewniłem, że dam sobie z tym radę. Znałem bowiem ludzi, dla których sprawa widzialności była fraszką. Ludźmi tymi byli szyprowie Tima Hutchinsona. To oni właśnie popłynęli do Clyde po Rawleya i jego ludzi. To oni ich tu przetransportowali. Obawiałem się, że mogą przybyć za późno i dlatego przesunąłem ostatni akt aż do północy. O której godzinie pan tu przybył, kapitanie Rawley?

- O wpół do dziesiątej.

- Straciliśmy z mojej winy dwie godziny. Szkoda. Niestety, bez radia nie mogłem zmienić swoich poleceń. Czy wylądowaliście natychmiast?

- Tak jest. Na łodziach pneumatycznych. Zajęliśmy wyznaczone stanowiska i od tej chwili... czekaliśmy.

Lord Kirkside chrząknął, pewnie myśląc o mojej nocnej eskapadzie z jego córką.

- Ale... proszę mi powiedzieć, panie Calvert, jeśli mógł pan nadawać ze statków Hutchinsona, to nie rozumiem, po co zrobił pan to samo stąd, w kilka godzin później.

Mój nocny pobyt w pokoju córki wyraźnie go niepokoił.

- Gdybym tego nie zrobił, znajdowałby się pan obecnie w królestwie zmarłych - odpowiedziałem. - Nie mogłem nakreślić planu zajęcia zamku bez zwiedzenia jego wnętrza. Dlatego też, aby przekazać dokładny opis miejsc i ruchów, jakie należało wykonać, wykorzystałem aparat nadawczy Lavorskiego... Kapitanie Rawley, proszę pilnować naszych więźniów aż do brzasku. Nad ranem przybędzie tu statek ochrony rybołówstwa i weźmie ich na pokład.

Spadochroniarze zebrali ich na galerii po lewej stronie, skierowali na nią światło trzech reflektorów. Czterech z nich stanęło na warcie z pistoletami maszynowymi w ręku.

- Teraz rozumiem, dlaczego sir Arthur pozostał ze mną dzisiejszego popołudnia, kiedy pan udał się razem z Hutchinsonem na „Nantesville” - odezwała się Charlotta. - Obawiał się pan, że będę rozmawiała z marynarzami i poznam całą prawdę.

- Nic nie można przed panią ukryć.

Puściła moje ramię i obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem.

- Wiedział pan, kim byłem, od samego początku, i przez całe trzydzieści godzin pozwolił mi pan cierpieć, podczas gdy jedno tylko słowo...

- Tak musiało być, Charlotto. Pani mnie oszukiwała, a ja z kolei panią.

- Jednym słowem: powinnam panu być wdzięczna!

- Mam nadzieję! - krzyknął wuj Arthur. - I to jeszcze jak!

Ach! Warte zanotowania. Wuj Arthur mówiący uszczypliwym tonem do arystokracji, nawet, jeśli tylko przez małżeństwo mogła być za taką uważana, to wielka sprawa.

- Jeśli Calvert nie chce wytłumaczyć przyczyn swego postępowania - odezwał się wuj - to ja zrobię to zamiast niego. Miał powody, aby działać właśnie w taki sposób. Po pierwsze, gdyby przerwała pani nadawanie informacji, Lavorski zacząłby coś podejrzewać. Być może pozostawiłby tonę lub dwie złota w ładowniach „Nantesville”, by uciec przed naszym przybyciem. Ludzie tego pokroju czują niebezpieczeństwo jak nikt inny na świecie. Po drugie, nigdy nie przyznaliby się do

swoich zbrodni nie będąc pewni wygranej. Po trzecie, Calvert musiał stworzyć taką sytuację, aby uwaga wszystkich skierowana była na „Firecresta”, co pozwoliło kapitanowi Rawleyowi zająć odpowiednie stanowiska i przeszkodzić w niepotrzebnym przelewie krwi. Być może pani krwi, droga przyjaciółko Charlotta. Po czwarte, a to jest szczególnie ważne, gdyby nie informowała pani swoich „przyjaciół” o naszych ruchach dosłownie minuta po minucie, aż do chwili naszego przybycia na miejsce - zostawiliśmy nawet otwarte drzwi sterówki, aby mogła pani lepiej nas słyszeć odbyłaby się tu zacięta walka i Bóg wie ilu spośród nas mogłoby zginąć. Dzięki pani wiedzieli, że mają w rękach wszystkie sznurki, że pułapka została doskonale przygotowana, że Calvert wpadł do niej głową i nogami i że jest pani gotowa strzelić mu w plecy. Po piąte, a to jest powód najważniejszy, komandosi byli ukryci - jedni na galerii w odległości stu metrów od tego miejsca, inni w zakamarkach zamku. Kto mógł dać im sygnał do ataku, aby zjawili się w odpowiednim momencie i co najważniejsze, jednocześnie? Kto, jeśli nie pani, Charlotta? Każdy z nich miał przy sobie odbiornik radiowy nastrojony na częstotliwość pani nadajnika. Każde pani słowo było im znane... Zналиśmy częstotliwość z tej prostej przyczyny, że pani nadajnik należał do nas. Został skradziony z pokładu „Firecresta”. Dla większej pewności Calvert sprawdził jego częstotliwość w pani kajucie po tym, jak panią uśpił. Przekazał jego częstotliwość komandosom w całym planie operacyjnym.

- Jest pan strasznym krętaczem, człowiekiem niegodnym zaufania - powiedziała do mnie Charlotta odsuwając się, z oczyma błyszczącymi od łez. Może zresztą od czegoś innego, tego już nie wiem.

Poczułem się bardzo zażenowany.

- Co za szaleństwo - dodała po chwili, biorąc mnie znów za ramię. - Rewolwer mógł wystrzelić! Mogłam pana... zabić, Philipie!

Pogłaskałem jej dłoń.

- Nie myślała przecież pani o tym - odezwałem się.

W tych okolicznościach uważałem za niestosowne poinformować ją, że gdyby rewolwer wystrzelił, nigdy już nie miałbym zaufania do trójkątnego pilnika.

Mgła powoli przeredzała się. Nadchodził świt nad czarnymi, spokojnymi wodami, kiedy Tim Hutchinson dał całą wstecz, kierując następnie kadłub „Firecresta” na Eilean Oran. Byliśmy na pokładzie we czwórkę, Hutchinson i ja, pani McEachern oraz Charlotta. Radziłem jej, aby skorzystała z łóżka w zamku, ale zignorowała moją radę. Pomogła starej Szkotce wejść na pokład i nie wykazywała żadnego zamiaru zejścia na ląd. Ta uparta osoba przysporzy mi jeszcze wielu kłopotów w latach, które nadejdą. Byłem tego pewien.

Wuj Arthur nie zaszczycił nas obecnością. Stado mustangów nie miałoby dość siły, aby wyciągnąć go z murów zamku. Siedział sobie w wielkim salonie Dubh Sgeir przed kominkiem, na którym płonęły kłody drewna, trzymając w ręce szklankę doskonałej whisky. Czuł się jak w przedśionku raj, opowiadając o swoich wyczynach arystokratycznym słuchaczom, chłonącym jego słowa z otwartymi ustami, zachwyconym, tracącym z wrażenia oddech. Jeśli mam trochę szczęścia, to może wymieni raz czy dwa moje nazwisko podczas tej opowieści. Ale nie byłbym tego zbyt pewien.

Pani McEachern nie czuła przedśionka raj. Już tam była. Spokojna, starsza pani z pomarszczoną twarzą, która uśmiechała się całą drogę do domu w Eilean Oran.

Oby Donald McEachern pomyślał o tym, że należy zmienić koszulę - zaniepokoiłem się.